



9 772084 962703

Nr 3 (17) 2017

Cena 10 PLN /w tym 5% VAT

ISSN 2084-9621 nr indeksu: 284017

Fabryka Silesia

KWARTALNIK



500 LAT REFORMACJI

AFSARI, BARON, KACZMAREK, KUBICA,
LEISTER, MACHEJ, SCHMETTAN-DEMEL, POHLE,
ROSENBAUM, SŁAWEK I INNI

×
Mapa
 + **Obrzędowa** +
Górnego
Śląska



+ **Materiały archiwalne poszukiwane!** ×

Poszukujemy archiwalnych fotografii i nagrań związanych z obrzędowością doroczną na Górnym Śląsku.



Przygotowujemy Mapę Obrzędową Górnego Śląska, która będzie gromadziła materiały dotyczące zwyczajów kultywowanych na terenie historycznej ziemi górnośląskiej.

Wybrane zbiory znajdą się na stronie internetowej projektu oraz w publikacji i na wystawie fotografii.

Osoby zainteresowane przekazaniem archiwaliów prosimy o kontakt:

Hanna Kostrzewska
hkostrzewska@rik.katowice.pl
32-2017-770

„Mapa Obrzędowa Górnego Śląska” to dwuletnie badanie etnograficzne realizowane przez Regionalny Instytut Kultury w Katowicach. Badanie i prace dokumentacyjne prowadzone są na terenie województwa śląskiego oraz opolskiego i dotyczą żywych do dziś zwyczajów i obrzędowości dorocznej. Mają ukazać skalę zmian, jaka zaszła na ziemi górnośląskiej na przestrzeni ostatnich lat oraz pokazać, jakie motywacje przyświecają społeczeństwu pielęgnującym lokalne tradycje. Efektem prac badawczych będzie kompleksowe opisanie i udostępnienie zdobytej wiedzy, a także szereg działań edukacyjnych.





Nr 3 (17) 2017

Wydania internetowe: www.fabrykasilesia.pl
ISSN 2084-9621, nr indeksu: 284017

Wydawca:

Regionalny Instytut Kultury w Katowicach –
Instytucja Kultury Województwa Śląskiego
ul. PCK 19, 40-057 Katowice
www.rik.katowice.pl
Dyrektor: Adam Pastuch, tel.: (32) 251-75-63

Adres redakcji:

40-057 Katowice, ul. PCK 19
Tel.: (32) 201-77-74
E-mail: redakcja@fabrykasilesia.pl
Facebook: www.facebook.com/fabryka.silesia

E-wydanie na: publio.pl i virtualo.pl

Redaktor naczelny:

Krzysztof Karwat (kkarwat@fabrykasilesia.pl)

Administracja, sekretariat, sprzedaż hurtowa:

Beata Przybylska (bprzybylska@fabrykasilesia.pl)

Rada Redakcyjna:

Zbigniew Kadłubek, Waldemar Szymczyk,
Ingmar Villqist

Realizacja poligraficzna:

LAVENDE Jolanta Budzyńska

Korekta: Grażyna Kwiek

Na okładce:

Relief przedstawiający Marcina Lutra.
Dom parafialny przy kościele im. Jana Chrzciciela
w Świętochłowicach.
Zdjęcie: Artur Michalski

Sprzedaż: w siedzibie redakcji, sklepie internetowym
(www.fabrykasilesia.pl/sklep) oraz na terenie całego
kraju w punktach dystrybucyjnych: Kolportera,
RUCH-u oraz w sieci EMPIK-ów.

Reklamy i promocje: (cennik w sekretariacie)



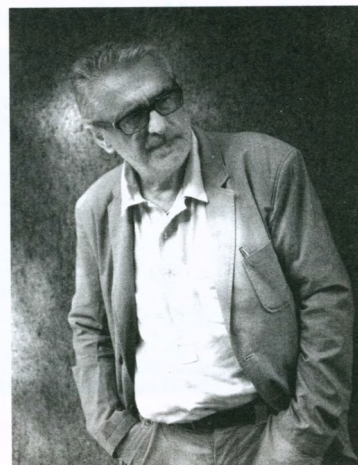
FUNDACJA WSPÓŁPRACY
POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG
FÜR DEUTSCH-POLNISCHE
ZUSAMMENARBEIT

Wydano z finansowym wsparciem
Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.
Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der
Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit.

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych.
W materiałach przyjętych do druku, także fotogra-
ficznych bądź graficznych, zastrzega sobie prawo
do zmian i skrótów. Rozpowszechnianie tekstów
zamieszczonych w kwartalniku, także z jego wydania
internetowego, bez zgody wydawcy jest zabronione.
Nakład: 1500 egz.

Wiedziałem, że nie
zdołamy w pełni opisać
fenomenu ewangelicyzmu,
nawet tylko w kontekście
dziejów Śląska. Pół tysiąca
lat... Jak je zmieścić
na 100 kolumnach?!

A jednak wyzwanie
było fascynujące. Mam
nadzieję, że Czytelnicy
podzielą z nami tę emocję.



Dla większości Polaków świat protestantyzmu to *terra incognita*.
My poszliśmy jeszcze głębiej, czyli na obszary zupełnie nieznanne,
w niektórych przypadkach dostępne wyłącznie dla nielicznych
specjalistów. To przypadek kilku bloków poświęconych twórczości pisarzy
polskojęzycznych (m.in. Gdaczusza), czeskojęzycznych (Trzanowskiego)
czy niemieckojęzycznych (m.in. Schmettan-Demel) – by pozostać tylko
w obrębie dawnego Księstwa Cieszyńskiego. A przecież odwołujemy się
też do wielu zapomnianych intelektualistów z innych epok i przestrzeni
kulturowych.

Niemal z każdego eseju, wiersza czy prozy spoziera na nas historia,
odległa albo ta wczorajsza. A jednak mam wrażenie, że udało nam
się skierować uwagę na nasze czasy. Temu służą szkice biograficzne
poświęcone wybitnym śląskim pastorom, swobodnie poruszającym się
w wielokulturowej, wielojęzycznej i wielowyznaniowej przestrzeni Śląska.
Na siłę nie nawołujemy w nich do ekumenizmu i ponadnarodowego
dialogu, bo „Fabryka” nie jest pismem religijnym, choć czułym na
chrześcijańskie korzenie Europy i chętnie – nie tylko w kontekstach
rocznicowych – do nich się odwołuje. Nie epatujemy też stereotypami
typu: Polak – katolik, Niemiec – protestant.

A jednak wypada pamiętać, że Mikołaj Rej – nazywany „ojcem literatury
polskiej” – był kalwinistą, Walenty Roździeński – „ojciec śląsko-polskiej
poezji” – luteraninem, zaś wielu humanistów niemieckich trudu godzenia
uniwersalnej łaciny z językiem narodowym podejmowało się na Śląsku.

Krzysztof Karwat
redaktor naczelny

4 | MARCIN LUTER

Mały katechizm (fragmenty)



6 |

Czy rzeczywistość się „spostantyzowała”

Z teologiem JERZYM SOJKĄ rozmawia JAN SZTURC



Żyjemy w czasach indywidualizmu i to, co stanowiło specyfikę protestantyzmu kilka wieków temu, obecnie w cywilizacji Zachodu stało się nastawieniem powszechnym. Dzisiaj protestantyzm szuka także tego, co wspólnotowe.

12 | ZBIGNIEW MACHEJ

Śpiewaniem Boga wychwalajcie

Jirzik Trzanowski, edytor, redaktor, tłumacz i współautor czeskiego kancjonału *Cithara sanctorum*, najważniejszego tego rodzaju dzieła wydanego w językach słowiańskich, urodził się w ewangelickim Cieszynie w 1592 roku.

18 | JIRZIK TRZANOWSKI

Trzy pieśni z kancjonału

Cithara sanctorum

22 | JUDITH LEISTER

Woń uroczych łąk

40 pism po łacinie, których autorem był Andreas Volanus, wykłady przez Rzym syn śląskiego szlachcica i polskiej szlachcianki, znają największe autorytety doby reformacji.

26 | BEATA STUCHLIK-SUROWIAK

Księgi „dla prostych i nieumiejętnych ludzi”

Kiedy na mocy kończącego wojnę trzydziestoletnią traktatu westfalskiego (1648) władcy habsburscy rozpoczęli rekatolizację Śląska, jedynie Wrocław oraz księstwa: brzeskie, legnickie i oleśnickie, w których władzę sprawowali samodzielni książęta ewangelicy, mogły liczyć na tolerancję.

30 | SEBASTIAN ROSENBAUM

Pastor Pohle i „kontrowersja górnosłaska”

Ks. Pohle pracował wśród wiernych polsko- i niemieckojęzycznych, wśród górników i hutników rodzącego się w rejonie tarnogórskim państwowego przemysłu.

33 | KS. JOHANN WILHELM POHLE

Górnosłazak, broniony przed swoimi przeciwnikami



36 | ANNA SEEMANN-MAJOREK

W służbie biednych i cierpiących

Ewa von Tiele-Winckler porzuciła bogate życie na salonach. Wybrała skromność, prostotę i ciężką pracę.

40 | RYSZARD KACZMAREK

„Spokojni ludzie” z Hołdunowa

Ponure wydarzenia zakończyły się spaleniem części budynków, a Hołdunów od tej pory przez kolejne dziesięciolecie był pokazywany jako dowód bezprawia powstańców.

44 | SEBASTIAN ROSENBAUM

Między wiarą a zwątpieniem



Heinz Piontek urodził się i pierwsze 18 lat życia spędził w Kluczborku. Wcielony do Wehrmachtu, walczył na froncie zachodnim i wschodnim, dostał się do amerykańskiej niewoli w Bawarii, potem osiadł na ćwierćwiecze w szwabskiej prowincji, a kolejne kilka dekad, do śmierci, mieszkał w Monachium.

50 | GRAŻYNA KUBICA

Pierwszy cieszyński Heimatroman

Edith urodziła się 10 czerwca 1890 roku i mieszkała z rodzicami w samym centrum Cieszyńska, w pałacu, który jej pradziad, adwokat Anton Demel, kupił od hrabiego Larischa.

56 | EDITH SCHMETTAN-DEMEL

Siedmioro dzieci pastora Kattenschlaga

62 | ZBIGNIEW KADŁUBEK

Obrazek z Krukiem

Piękna krzyżacka wieś Dobrzyń na Mazurach. Tu się urodził 4 maja 1941 roku Erwin Kruk. Może był to ostatni Mazur, jaki chodził po tej planecie.

64 | KAZIMIERZ BRAKONIECKI

List zamiast nekrologu

Pamięci poety Erwina Kruka

68 | TADEUSZ SŁAWEK

Poetyckie lekcje Tadeusza Szurmana

Tadeusz Szurman jako motto do jednego z wierszy użył cytatu z pism Józefa Tischnera.

72 | WALDEMAR SZYMCHYK

500 drzew na 500-lecie

Po czym poznać domy ewangelików w Szczepku? Po rododendronach w kolorach białym, różowym i czerwonym. To pomysł pewnego księdza na uczczenie 500-lecia reformacji.

76 | GRAŻYNA BARBARA SZEWCZYK

Książd z pogranicza

Książd Rudolf Baron urodził się 3 września 1921 w Golasowicach, w powiecie pszczyńskim. Zmarł 27 grudnia 2003 roku w Neumünster w północnych Niemczech.

80 | RUDOLF BARON

Wspomnienia

Katowice, 8.03.2002. Jest piątek. Moim starym golfem (rocznik 1981) jadę do Golasowic, aby pomodlić się przy grobie ukochanego wuja Adama. Kiedy mijam po drodze Żory, budzi się we mnie nagle chęć zobaczenia szkoły, której kiedyś byłem uczniem.

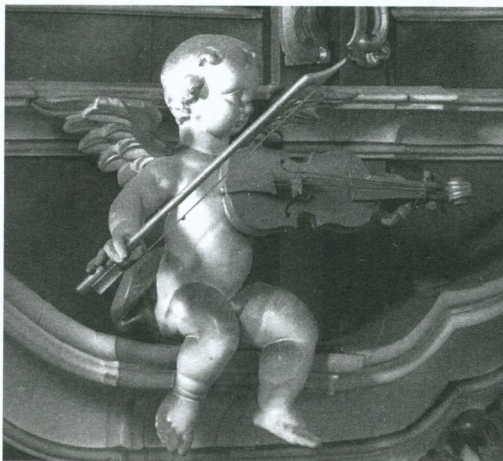
84 | MONIKA KASSNER

Sola Scriptura

Co czuje konwertyta po zmianie wyznania? Jedni uważają się za zwolnionych od wielu powinności i przymusów. Inni, poprzez proste obrzędy i czytelność zasad wiary ewangelickiej, odczuwają bliskość Boga i czują się silniejsi w wierze.

88 | ARIANE AFSARI

Nie tylko Luter, nie tylko Niemcy



Jubileusz reformacji we wschodniej części Europy? O co chodzi? Skąd taki pomysł? Cóż nasi wschodni sąsiedzi mają z tym wspólnego? Otóż bardzo wiele!

94 | ZBIGNIEW KADŁUBEK

Luter, czyli o odwadze

Jednym z największych nauczycieli odwagi był Marcin Luter. Gdy się mówi o energii luteranizmu działającej na Górnym Śląsku, wspomina się wkład ewangelików w polskość.

96 | INGMAR VILLQIST

Don Kichot

Kocham Śląsk i go nienawidzę. To herezja, wiem; nie wolno mi tak mówić, nie wolno tak myśleć; nie wolno o tym pisać. Autocenzura.

98 | KRZYSZTOF KARWAT

Miraż ekumenizmu

Redakcyjny kolega prosi mnie na stronę i teatralnym szeptem pyta: – Krzysztof, przepraszam cię, czy ty jesteś ewangelikiem? Jeśli nie chcesz, nie musisz odpowiadać.

100 | KSIĄŻKI

Nadesłane i wypatrzone



Bielsko-Biała. Jedyny w Polsce pomnik Marcina Lutra.

Marcin Luter

Mały katechizm

(fragmenty)

Do spisania tego oto katechizmu, czyli nauki chrześcijańskiej w krótkiej, prostej i przystępnej formie, zmusiła mnie i przynagliła opłakana i żałosna sytuacja i potrzeba, jaką poznałem, gdy w ostatnim czasie byłem wizytatorem. Na miłość boską, jak smutne rzeczy widziałem, szczególnie na wsiach, gdzie prości ludzie nie wiedzą nic na temat nauki chrześcijańskiej, a niestety wielu księży nie posiada odpowiednich umiejętności i nie chce uczyć innych. A przecież wszyscy powinni nazywać się chrześcijanami, być ochrzczeni i rozkoszować się korzystaniem z sakramentu.

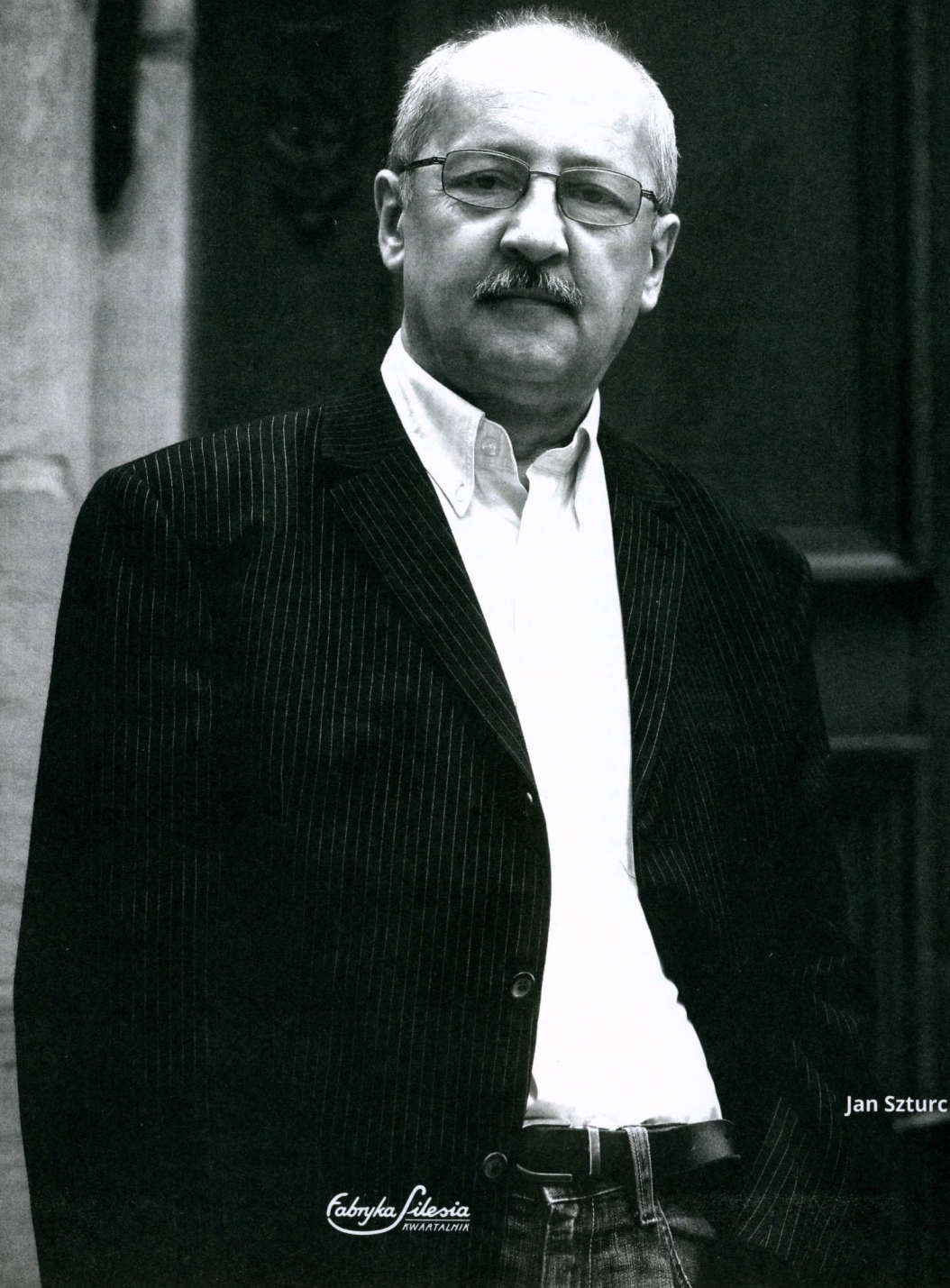
Tymczasem nie znają ani *Ojciec nasz*, ani wyznania wiary, ani też dziesięciu przykazań, lecz żyją nierozumnie i lekkomyślnie. Tam zaś, gdzie dotarła Ewangelia, nauczyli się po mistrzowsku nadużywać wszelkiej wolności. Chociaż nikogo nie da się ani nie powinno się zmuszać do wiary, to jednak powinno się tak prowadzić i kierować ludzi, aby wiedzieli, co jest właściwe, a co niewłaściwe według tych, u których mieszkają, żywią się i chcą żyć. Kto chce bowiem mieszkać w jakimś mieście, musi znać jego prawo i przestrzegać go, skoro chce z niego korzystać, obojętnie, czy wierzy, czy też w swoim sercu jest błądnym i bałwanem.

Przed wszystkim zaś kładź nacisk na nauczanie tej części i tego przykazania, które wśród powierzonych ci ludzi jest najbardziej lekceważone. Na przykład siódme przykazanie o kradzieży musisz starannie wpajać rzemieślnikom, handlowcom, ale również rolnikom i innym pracownikom, gdyż wśród takich ludzi panuje wszelka nieuczciwość i złodziejstwo. Podobnie czwarte przykazanie musisz głęboko wpajać dzieciom i wszystkim zwykłym ludziom, aby byli spokojni, wierni, posłuszni, łagodni. Zawsze podawaj im wiele przykładów z Pisma Świętego świadczących o tym, że Bóg ludzi takich jak oni i karał, i błogosławił.

W szczególności sposób nakłaniania też sprawujących władzę i rodziców, by dobrze wypełniali swoje obowiązki, i posyłali dzieci do szkoły. Wskaż im, jak mają to robić, i jak wielki grzech popełniają, gdy tego nie czynią. Niszczą w ten sposób Królestwo Boże i swoje państwo. Okazują się w ten sposób najzacieklejszymi wrogami Boga i ludzi. Podkreślaj bardzo mocno, jak straszliwe szkody wyrządzają, gdy nie wspierają kształcenia i wychowania przyszłych księży, katechetów, urzędników oraz innych, i że Bóg ich strasznie za to ukarze. Konieczne jest, by o tym mówić w kazaniach. Rodzice i zwierzchność greszą w ten sposób nie do opisania, a i diabeł ma w tym swój straszliwy plan.

Przekład z jęz. niemieckiego: **ks. Marcin Brzóska**

– proboszcz parafii ewangelicko-augsburskiej św. Jana Chrzyciela w Świętochłowicach
i parafii Odkupiciela w Rudzie Śląskiej-Wirku



Jan Szturc

Fabryka Silesia
KWARTALNIK

Czy rzeczywistość się „sprotestantyzowała”

Z teologiem **JERZYM SOJKĄ**
rozmawia **JAN SZTURC**



Jerzy Sojka

Fabryka Silesia
KWARTALNIK



Postawmy sprawę ostro: ewangelicy w Polsce stanowią getto, a niekiedy wręcz ciekawostkę muzealną. Są postrzegani jako „obcy”, o czym świadczą badania socjologiczne. Aż 64 proc. obywateli naszego kraju uważa nas za nie-Polaków. Chociaż i tak ewangelicy wypadają lepiej w porównaniu z innymi wyznaniami chrześcijańskimi i religiami oraz ateistami. Może dlatego, że jest nas tak mało? Może sami zamykamy się w swoim kręgu wyznaniowym, powodując się na przykład kompleksami?

– Tak, to prawda – protestanci żyją w Polsce w skrajnej diaspory. Kluczowe więc staje się pytanie: kim jesteśmy? Odpowiedź dla mniejszości jest trudna, gdyż na przykład zasoby kulturowe związane z protestantyzmem nie zawsze są łatwo dostępne. Ale najważniejsze jest, by budować pozytywną tożsamość wychodzącą od stwierdzenia, że jednak wiemy, kim jesteśmy. Jest to poważne zadanie i wyzwanie, ponieważ protestanci w Polsce na pytanie, kim są, najczęściej odpowiadają poprzez wyjaśnienie, czym różnią się od wyznawców Kościoła rzymskokatolickiego. Powinniśmy zaś odpowiadać, mówiąc o tym, co jest kluczowe w byciu protestantem, co stanowi pozytywną treść.

Ewangelicy powinni zatem sformułować ofertę dla społeczeństwa, ofertę religijną, ale także społeczną i kulturową. Pisali o tym publicyści protestanccy, na przykład prof. Tadeusz Zieliński, który nawet sformułował szczegóły takiej oferty, jednak bez większego odzewu nawet w samych środowiskach protestanckich. Rodzi się więc pytanie: czy dzisiaj ewangelicy w Polsce są w stanie sformułować taką ofertę, która naprawdę byłaby atrakcyjna dla reszty społeczeństwa?

– Wydaje mi się, że pytanie nie powinno brzmieć: czy, ale jak to zrobić. Musimy zdać sobie sprawę z tego, że pojawienie się takiej oferty to być albo nie być polskiego protestantyzmu.

Jednak ciągle pozostajemy z pytaniem: czy potrafimy ją sformułować? Zaś później pojawi się następne: czy będziemy umieli się z nią przebić?

– Chcę mocno podkreślić, że musimy uciec od myślenia wyłącznie o tym, jak się skutecznie wypromować. Przecież protestantyzm jako taki ma swoje zasoby, ma poważne tradycje teologiczne i społeczne, które mogą być atrakcyjne. Ale najpierw trzeba je rozpoznać, a potem dopiero zastanowić się, co z nich jest istotne w naszym współczesnym polskim kontekście, bo często myślimy na odwrót: szukamy elementów, które mogą się „sprzedać”, zamiast zastanowić się, czym mogą być protestanci dla naszego społeczeństwa, w naszej rzeczywistości. Cierpi na tym nasza wiarygodność, gdyż po-

Protestantyzm ma poważne tradycje teologiczne i społeczne, które mogą być atrakcyjne. Ale najpierw trzeba je rozpoznać, a potem dopiero zastanowić się, co z nich jest istotne w naszym współczesnym polskim kontekście.

dejście takie skutkuje pewną akcyjnością działań, a zarazem bycie protestantem staje się protestem przeciwko czemuś, a nie składaniem świadectwa o tym, czym jest protestantyzm.

Systematyczna działalność wymaga odpowiedniej infrastruktury – stowarzyszeń wyznaniowych, ale także szerszej obecności w kulturze, mediach, a także aktywności w różnych ruchach społecznych. To wymaga otwartości środowisk protestanckich, które – sądzę, że na skutek spuścizny po PRL-u – nie są chętne na takie otwarcie; największy Kościół dał sobie radę, ale te mniejsze nie miały szans. Złożyły się na to indywidualne doświadczenia z ksenofobią wyznaniową, w szkole, miejscu pracy oraz w rodzinie, jeśli tylko jest zróżnicowana wyznaniowo, co w warunkach diaspory jest niemal normą. Zatem protestant w Polsce niełatwo znajduje dla siebie odpowiednie formy aktywności. Wszystko to zamknęło Kościoły mniejszościowe w murach budynków kościelnych i parafialnych, tłamsząc potrzebę szerszej aktywności wśród ogółu społeczeństwa.

– O to właśnie chodzi, by swą tożsamość kształtować w praktyce. Często zapominamy, że jednym z zasadniczych kierunków działań reformacji było nie kreowanie chwytliwych idei teologicznych czy społecznych, ale przede wszystkim głęboka troska o to, by znalazły one swoje miejsce w zastanym życiu społecznym. Podam dwa przykłady, które pokazują przełożenie idei reformacyjnych na praktyczną, pozytywną działalność ewangelików w Polsce dzisiaj. Po pierwsze, działalność charytatywna. Reformacyjna teologia odrzuciła rolę dobrych uczynków jako podstawy zbawienia i tym samym podkopała ówczesne struktury pomocowe dla tych, którzy sami sobie nie poradzą.

Odpowiedzią Lutra było nie tylko wezwanie do troski o bliźniego, ale przede wszystkim stworzenie konkretnych instytucji, które umożliwiły koordynowanie tej pomocy. Co więcej, w protestantyzmie całe zbory są angażowane w tę pomoc, której przykładem mogą być właśnie stworzone w okresie reformacji tzw. wspólne kasy pomocowe. Po drugie, edukacja. Troską reformatorów było, by i Kościół, i władza świecka brały odpowiedzialność za edukowanie ludzi. Można powiedzieć, że jeśli idzie o dzisiejszą rzeczywistość polskiego protestantyzmu, to zarówno działalność charytatywna, jak i edukacyjna udały się. Stworzono odpowiednie instytucje i stowarzyszenia, które realizują te zadania.

Pomówmy o roli indywidualizmu. Według słynnych tez Maxa Webera z 1906 roku protestantyzm kładzie nacisk na indywidualne, wręcz osobiste aspekty życia religijnego, ale także społecznego ewangelików. Twierdzi się nawet, szczególnie chętnie w środowiskach protestanckich, że dzięki wyeksponowaniu tych cech protestanci częściej wykazują się innowacyjnością, przedsiębiorczością itp., na co dowodem ma być wyższy poziom rozwoju gospodarczego i społecznego krajów o przewadze ludności protestanckiej, takich jak Skandynawia, Niemcy, kraje Beneluxu, Wielka Brytania, Stany Zjednoczone itd. Jednak niektórzy współcześni protestanci obserwatorzy, jak np. wybitny socjolog prof. Jan Szczepański, twierdzą, że o ile w ogóle takie tezy można formułować, to jedynie w odniesieniu do dość odległej przeszłości.

– Moim zdaniem prof. Szczepański ma o tyle rację, że pewne cechy charakterystyczne przypisywane tylko protestantom to kwestia przeszłości. Ale powodem tego jest fakt, że obecnie rzeczywistość nam się w jakimś stopniu „sprotestantyzowała”. Przełomem wprowadzonym przez reformację była indywidualizacja religijności – najważniejsza była

już nie instytucja, ale moje „ja” przed Bogiem. Natomiast dzisiaj żyjemy w czasach indywidualizmu i to, co stanowiło specyfikę protestantyzmu kilka wieków temu, obecnie w cywilizacji Zachodu stało się nastawieniem powszechnym. W tym kontekście bardzo ciekawe stało się dające się dzisiaj obserwować zjawisko, że protestantyzm szuka w swej tradycji nie tylko tego, co indywidualne, ale także tego, co wspólnotowe. Podobnym przykładem na opuszczanie utartych protestanckich ścieżek w konfrontacji ze współczesnością jest szukanie w tradycji nie tyle czynników, które gruntują kapitalizm, co raczej podstaw do jego krytyki.

Czy nie można powiedzieć odwrotnie? Czy nie dokonuje się w pewnym stopniu rekatolicyzacja protestantyzmu? Bo nastąpiło jakby odwrócenie podejścia do rzeczywistości w stosunku do tego, co obserwowaliśmy jakieś 200 lat temu...

– W mojej ocenie – nie. Protestantyzm zachowuje w tym procesie właściwe dla siebie punkty wyjścia. Dla mnie istotą dzisiejszej oferty protestanckiej jest para pojęć: „wolność” i „odpowiedzialność”. Religijną istotą protestantyzmu jest doświadczenie bycia uwolnionym i obdarowanym przez Boga, gdyż zasadniczą prawdą biblijną wypowiedzianą na nowo przez reformację jest to, że człowiek otrzymuje od Boga wszystko, jeśli idzie o zbawienie – nie musi niczego robić własnymi siłami. To ma uwolnić jego energię, by służyć bliźniemu. Nie według jakiegoś utartego schematu, ale zgodnie z przykazaniem miłości. Ścisłe związane jest z tym pojęcie protestanckiej odpowiedzialności, pod którym kryje się poszukiwanie jak najlepszego wyrazu tej miłości w konkretnych warunkach. Praktyczną realizacją tak rozumianej „wolności w odpowiedzialności” jest w mojej ocenie wspomniane już szukanie w protestantyzmie punktów wyjścia do krytyki różnych negatywnych elementów kapitalizmu, czy też wysiłki na rzecz promowania i ochrony praw człowieka, albo też zachowania środowiska naturalnego.

Żyjemy w czasach indywidualizmu i to, co stanowiło specyfikę protestantyzmu kilka wieków temu, obecnie w cywilizacji Zachodu stało się nastawieniem powszechnym. Dzisiaj protestantyzm szuka także tego, co wspólnotowe.

Postawił pan tezę, że Zachód się „sprotestantyzował”, jeśli idzie o aspekty ogólnocywilizacyjne. Czy z tego można wyciągnąć wniosek, że oferta protestancka, która została skierowana do świata, została już przez niego przynajmniej w tej części przyjęta? Czy protestantyzm wykonał już tę część swojej misji?

– Siłą protestantyzmu jest to, że z jednej strony domaga się indywidualizacji, ale z drugiej przypomina, że ta indywidualizacja wymaga nieustannej pracy nad relacjami międzyludzkimi, nad kształtem społeczeństwa, jego religijnością. Dzisiaj to właśnie powinniśmy oferować: przypominać, że



każdy człowiek powinien mieć odniesienie do drugiego człowieka oraz do Boga – tylko takie całościowe umieszczenie w sieci relacji daje poczucie spełnienia. Protestantki indywidualizm nie jest więc zrywaniem tych relacji, ale ich świadomym kształtowaniem, wezwaniem do pracy nad tym, kim jestem i jak żyję z innymi i z Bogiem.

Zwróćmy uwagę na inny istotny aspekt protestantyzmu. Otóż desakralizuje on życie społeczne. Polskie społeczeństwo z jednej strony jest bardzo przywiązane do sakralności, nawet w swej ludowej wersji katolicyzmu wysuwa obrzędowość na pierwszy plan, ale z drugiej strony – kontestuje jego przejawy w życiu społecznym czy publicznym. Jak w tym kontekście sytuuje się protestantyzm? Przecież w samym protestantyzmie te dwa nurty również są widoczne, i to już od czasów reformacji.

– Szansą, którą stwarza nam protestanckie myślenie prowadzące do desakralizacji rzeczywistości, jest stworzenie przestrzeni dla intelektu. Człowiek jest skazany na samodzielne kształtowanie rzeczywistości, co stanowi dla niego i szansę, i zagrożenie. Częścią protestanckiej oferty dla współczesnego świata jest to, że protestanci dysponują ogromnym doświadczeniem w szukaniu odpowiedzi na to, jak sobie z tym radzić, czyli jak łączyć samodzielność z zależnością od Boga i bliźniego. Oczwistym wyzwaniem w tej ofercie jest to, że

koniec końców każdy, kto się na nią zdecyduje, będzie musiał zmierzyć się z tym pytaniem, gdyż protestantyzm proponuje zestaw możliwych odpowiedzi, a nie odpowiedź jedynie słuszną.

W protestantyzmie często obserwujemy duże napięcia pomiędzy różnymi skrajnymi postawami. Mam na myśli zarówno podejście do sakralności, ale także do indywidualizmu, wspólnotowości, wolności, odpowiedzialności.

– Odwołam się do protestanckich początków. W myśleniu Lutra zawsze występuje pewne napięcie, z którego nie można zrezygnować, gdyż wówczas ztraci się sens tej teologii. Zdarza się, że ludzie, którzy decydują się na bycie protestantem, przeżywają potem rozczarowanie, gdyż nie uświadamiali sobie wcześniej tej dialektycznej jego natury i kiedy się z nią konfrontują, to okazuje się, że nie tego szukali. Natomiast – moim zdaniem – właśnie to napięcie jest siłą protestantyzmu, gdyż ono stanowi o trafności diagnozy sytuacji człowieka – jako ludzie jesteśmy skazani na to napięcie. A protestantyzm stara się nam uczciwie odpowiedzieć, jak z nim żyć. ■

Jan Szturc

– doktor habilitowany, działacz społeczny związany z Polskim Towarzystwem Ewangelickim

Jerzy Sojka

– doktor, teolog ewangelicki, pracownik naukowy Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie

Zbigniew Machej

Śpiewaniem Boga wychwalajcie

12

Jirzik Trzanowski, edytor, redaktor, tłumacz i współautor czeskiego kancjonatu *Cithara sanctorum*, najważniejszego tego rodzaju dzieła wydanego w językach słowiańskich, urodził się w ewangelickim Cieszynie w 1592 roku. Jirzik był synem browarnianego kotlarza Walentego Trzanowskiego i jego żony Jadwigi z domu Zientek, obrotnej gospodni pochodzącej z podcieszzyńskiej wsi Śmitowice.



13

Kościół Jezusowy w Cieszynie

Nazwisko Trzanowski – pisane po czesku Třanovský – wywodzi się od nazwy odległej o 10 kilometrów na zachód od Cieszyna wsi Třanovice, gdzie pradziadek Jirzika, matuzalem Adam Trzanowski, sprawował godność wójta. Jirzik od najmłodszych lat wykazywał podobno nadzwyczajne zdolności muzyczne i językowe. Należał do trzeciego pokolenia cieszyńskich ewangelików, którzy w wychowaniu dzieci – zgodnie z luterzańską pedagogiką – kładli na naukę języków i muzyki duży nacisk [...].

W napisanym po łacinie wierszu *Coronis ad posteritatem* Trzanowski wspomina swojego pradziadka Adama, który dożywszy 103 lat w godzinie śmierci śpiewał starą czeską pieśń *Jezusie, wieczny Boże! wszystka ma nadziejo*. Johann Muthman, pastor ewangelicki w Cieszynie, budowniczy tamtejszego kościoła Jezusowego, w książce *Wierność Bogu i cesarzowi czasu powietrza morowego należąca* (Brzeg, 1716) podaje, że pradziad Jirzika „w skrzypki grał i śpiewając wesoło umarł” [...].

Z Cieszyna na zachód

Duży wpływ na Jirzika – ucznia miejscowej szkoły parafialnej – miał jej rektor, a zarazem pastor Timotheus Lovčani, sprowadzony do Cieszyna ze Słowacji przez księcia Adama Wacława. Jedną z napisanych po czesku pieśni Lovčaniego znalazła się później w kancjonale *Cithara sanctorum*. Przy kościołach działały chóry kierowane przez kantorów. Kantorzy posługiwali się portatywami, niewielkimi przenośnymi organami wykonywanymi przez stolarzy z drewna i skóry [...].

W 1605 roku, kiedy 13-letni Trzanowski dla dalszej nauki wyruszał z Cieszyna na zachód, śpiewanie pieśni jako forma ekspresji uczuć i przekonań religijnych było wśród ewangelików w środkowej Europie na porządku dziennym zarówno w ich zborowej liturgii, jak i w pobożności domowej. Młody, gorliwy luteranin ze Śląska, natchniony lekturą Biblii i pobożnym śpiewem, kontynuuje naukę w klasycznych niemieckich gimnazjach – najpierw w łużyckim Gubinie, a potem w pomorskim Kołobrzegu. Doskonalili się w grece i łacinie, poznaje poezję łacińską i intensywnie uczy się języka niemieckiego. Jego celem jest Wittenberga – miasto Lutra [...].

Napisany w starej niemczyźnie anonimowy traktat *Theologia Deutsch* powstał w kręgu mistyków nadreńskich w drugiej połowie XIV wieku. Obok Biblii i pism św. Augustyna dzieło frankfurckiego anonima należało do ulubionych lektur Lutra [...]. Jego reforma zawdzięczała też sporo renesansowym humanistom, zwłaszcza Erazmowi z Rotterdamu. Podzielał również przekonanie Melanchtona, profesora języków klasycznych na uniwersytecie w Wittenberdze, o tym, że należy czerpać nowe myśli i inspiracje z antycznych źródeł. Melanchton wykładał w Wittenberdze literaturę grecką i łacińską, retorykę, dialektykę i etykę, a także – pod wpływem Lutra – dogmatykę i egzegezę biblijną. Jego biblijno-humanistyczny program studiów opierał się na humanizmie Erazma. Melanchton był również autorem podręczników do tych dyscyplin wiedzy, które wykładał. To prawdopodobnie głównie z tych podręczników uczył się Jirzik Trzanowski, który 13 kwietnia 1607 roku zapisał się na uniwersytet w Wittenberdze jako Georgius Tranoscius Teschinio-Silesius, aby studiować tu przez cztery lata do wiosny 1611 roku [...].

Jeśli gorliwego studenta z Cieszyna oprócz teologii szczególnie zajmowała także klasyczna filologia, łacińska poezja, poetyka i retoryka, to na uniwersytecie w Wittenberdze mógł słuchać wykładów świętego grona profesorów. Na przykład profesorem retoryki i języka greckiego był tam wówczas Adam Theodor Siber (1563–1616), literaturoznawca i językoznawca, autor *Institutio rhetorica, epistolica, elocutoria...* (1608), później także Erasmus Schmidt (1570–1637), uważany za ostatniego niemieckiego hellenistę, wydawca Hezjoda, Pindara oraz napisanego heksametrem dzieła *Oikumenes periegesis* (*Opisanie świata*) – greckiego poety i geografa Dionizjusa z Aleksandrii. Schmidt był również edytorem poprawionej gramatyki języka greckiego Melanchtona.

Na wittenberskiej uczelni poetyka była domeną ekscentrycznego poety neolacińskiego Friedricha Taubmanna (1565–1613), świetnie wykształconego humanisty i wyrafinowanego, przewrotnego intelektualisty. Taubmann – łaciński *poeta laureatus*, wydawca dzieł Plauta i Wergiliusza, komentator utworów Dantego, Boccaccia i Machiavellego, dziekan, a potem w 1608 roku także rektor – zasłynął jako „krotochwilny radca”. Na swojej uczelni, a zwłaszcza na dreźnieńskim dworze księcia elektora Saksonii Krystiana II Wettyna, brylował jako rubaszny facecjonista, nieprześcigniony kpiarz, a nawet skandalizujący szyderca. Taubmann na różne kwestie zwykł odpowiadać błyskotliwym, choć często grubiańskim dowcipem, czym wprawiał w konsternację swoich interlokutorów. Jako poeta łaciński pisywał najczęściej utwory okolicznościowe, nie stronił od banalnych, a nawet frywolnych tematów, satyry i pikantnego humoru. Miał też skłonność do skatologii. Dla młodego, pobożnego studenta z Cieszyna musiał to być kłopotliwy mentor. Ale nie jest wykluczone, że już w Wittenberdze Tranoscius zaczął pisać łacińskie wiersze okolicznościowe. O tym, że tego typu twórczość nie była mu obca, wstrętna ani przeciwna, świadczą jego dwa wiersze łacińskie odnalezione w Pradze na początku lat 30. ubiegłego wieku [...]. Poezja okolicznościowa była wtedy szeroko rozpowszechniona i uprawiana niemal na porządku dziennym przez ludzi umiejących czytać i pisać. Urozmaicała, wzbogacała i uświetniała ich życie towarzyskie [...].

Na Śląsku i Słowacji

Żywe zainteresowanie retoryką i poetyką rozwijał Trzanowski również w późniejszych latach. Jak istotna była to dla niego problematyka świadczą zwłaszcza jego przedmowy do zbioru łacińskich rymowanych ód *Odorum sacrarum sive hymnorum, Georgii Tranosci Teschinensis, variis carminum generibus iisque rhythmicis, concinnatorum libri tres...* pisanych w drugiej połowie lat 20. XVII wieku, głównie w Bielsku, gdzie Trzanowski, jako ewangelicki uchodźca wskutek prześladowań zbiegły z Moraw i Cieszyna, w 1626 roku przyjął opiekę barona Jana Sunnegha, pana bielskiego państwa stanowego. Trzanowski pełnił tu funkcję kaznodziei na zamku



3 GRAŻYNA KUBICA

15

Kościół Jezusowy w Cieszynie

oraz w kościele św. Mikołaja. Wkrótce jednak wojska Albrechta Wallensteina wtargnęły na Śląsk i Trzanowski, przygarnięty przez swojego dobroczyńcę, schronił się wraz z rodziną na Słowacji. Najpierw na zamku w Budatinie, a następnie na Orawskim Zamku, gdzie rezydował wtedy życzliwy mu hrabia Kaspar Illeshazy.

Odorum sacrarum sive hymnorum wydrukowano w Brzegu w 1629 roku. Głównym celem 150 łacińskich hymnów Trzanowskiego było chwalenie Boga w ścisłe biblijnym sensie. *Dei canendo gloriam fatemini – śpiewaniem Boga wychwalajcie* – brzmiało motto całego zbioru pobożnych hymnów. Odwołując się głównie do Księgi Psalmów, Trzanowski w swoich odach naśladował wzorce *pii vates* – zbożnych śpiewaków – takich jak św. Ambroży i św. Bernard, jak również niemal mu współczesnych poetów protestanckich, takich jak Johann Lauterbach (1531–1593) czy Jan Campanus Vodňanský (1572–1622) [...].

Man of letters

Dla gorliwego studenta i adepta nauk nie mniej ważne niż wykładowcy są książki. Intelktualna żywotność książek jest zazwyczaj trwalsza niż pogłosy akademickich wykładów. Trzanowski był człowiekiem książkowym, kimś, kogo później zaliczono by do grupy określanej jako *literati*, a w Anglii nazwano *man of letters*. Choć raczej nie można uznać go za bibliofila, to jednak książki odgrywały w jego życiu ogromną rolę. Bibliotekoznawcy chętnie uznają, że posiadał własny ekslibris, w dodatku z własną podobizną.

W 1928 roku drzeworyt z dewizą i wizerunkiem Trzanowskiego odkrył w cieszyńskiej ewangelickiej Bibliotece Tschamerowskiej bibliotekarz Jan Olszar. Kartę z tym szczególnym drzeworytem Olszar odnalazł w wydanej w 1600 roku *Postylli* Aegidiusa Hunniusa (1550–1603), ortodoksyjnego teologa luteranckiego. Miała ona charakter wyklejki na wewnętrznej stronie okładki dzieła Hunniusa. Egzemplarz tej świetnie zachowanej w cieszyńskiej bibliotece księgi zawierał dodatkowo własnoręczny łaciński napis i własnoręczny podpis Trzanowskiego z łacińską wersją jego imienia i nazwiska. Kartę wklejoną do *Postylli* Hunniusa należałoby jednak potraktować nie jako ekslibris, lecz emblemat. Nie wiadomo kiedy i w jakich okolicznościach powstał ten druk [...].

W Bibliotece Narodowej w słowackim Martinie przechowywane są trzy woluminy z wklejonym drzeworytem i sygnaturą Trzanowskiego. Jeden z nich to zbiór (*konvolut*) dwóch wittenberskich druków teologicznych i jednego lipskiego (*Polykarpa Leysera*) z lat 1608–1609 oraz rękopisów pisanych przez samego Trzanowskiego w języku czeskim – *Wyznanie św. Atanazego*, *Tablica domowa* z wypiskami z *Katechizmu* Marcina Lutra, rady dotyczące studiów teologicznych, uwagi adresowane do różnych stanów, modlitwy, cytaty z różnych ksiąg biblijnych. Jeden z tych rękopisów datowany jest na 1623 rok, kiedy cesarskie wojska zajmują Valašské Meziříčí, a sam Trzanowski zostaje uwięziony. Przepuszczalnie również księgozbiór Trzanowskiego został wtedy zarekwirowany, może nawet częściowo zniszczony lub co najmniej przekazany w obce ręce i rozproszony [...].

16

Naśladowca Lutra

Po studiach w Wittenberdze Trzanowski wrócił wiosną 1611 roku do Cieszyna, ale ponieważ książę Adam Waclaw właśnie spektakularnie nawrócił się na katolicyzm, sytuacja ewangelików w Księstwie Cieszyńskim stała się niepewna. Młody Trzanowski nie znalazł już tutaj dla siebie zajęcia ani też wsparcia ze strony lokalnego mecenatu i wyjechał do Pragi, gdzie – niewykluczone, że dzięki swoim wittenberskim koneksjom – objął posadę nauczyciela w gimnazjum przy ewangelickim kościele św. Mikołaja na Malej Stranie. W Pradze rozgrywały się w tym czasie ważne wydarzenia polityczne – abdykował cesarz Rudolf II, a władzę po nim przejmował jego brat i rywal Maciej Habsburg. W związku z pracą nauczycielską Trzanowski miał w Pradze wiele możliwości poszerzania i pogłębiania swojej wiedzy o dawnej i nowej literaturze chrześcijańskiej, zwłaszcza pobożnej poezji nowołacińskiej z kręgu Uniwersytetu Karola, prześwietnej akademii praskiej, której gimnazjum przy kościele św. Mikołaja na Malej Stranie podlegało.

Mogła go też pociągać sława i osobowość mistrza Jana Campanusa Vodňanský'ego, który na Uniwersytecie Karola wykładał wówczas nie tylko język grecki i poezję łacińską, lecz także był rektorem tej uczelni. W 1611 roku – właśnie podczas pobytu Trzanowskiego w Pradze – ukazała się książka *M. Iohannis Campani Vodniani Odorum sacrarum liber prior, Psalmos Davidicos continens* zawierająca wierszowane parafrazy 150 Psalmów, a w roku następnym zbiór 180 nabożnych pieśni *M. Joh. Campani Vodnianani Odorum sacrarum liber posteriori* zawierający pieśni niedzielne i świąteczne ułożone na wzór starych kościelnych hymnów łacińskich oraz pieśni reformacyjnych. *Odorum sacrarum* Vodňanský'ego stanowią bezpośredni wzór dla *Odorum sacrarum sive hymnorum libri III* Trzanowskiego. Jak zauważył Jan Blahoslav Čapek, wybitny czeski znawca literatury staroczeskiej, Trzanowski przejął od Campanusa niemal wszystkie *genera carminum* – matryce stroficzne – swoich pieśni. Co więcej – niemal dosłownie przejął też niektóre wersy i zdania z ód Campanusa. Tego typu naśladownictwa, kopiowania form i zdań, parafrazowania parafraz bynajmniej nie uznawano wtedy za naganny proceder plagiatowania. Imitator wyrażał w ten sposób swoje uznanie dla wysokich autorytetów i mistrzów. Był to przejaw wielkiej erudycji, świetnej znajomości retoryki, poetyki i współczesnej literatury [...].

Psalmy stale znajdowały się w centrum uwagi Trzanowskiego, w samym sercu jego pobożności. Śpiewanie Psalmów było istotnym elementem ewangelickiej pedagogiki. Trzanowski zwykł je śpiewać codziennie od czasów, kiedy pobierał nauki w ewangelickiej szkole parafialnej w Cieszynie. Tak samo było później, podczas studiów w Wittenberdze, w czasie pobytu w Pradze i w Třeboni na zamku Jana Jiříego ze Švamberka, gdzie był wychowawcą jego młodszego syna Adama. Śpiewał je codziennie, kiedy jako nauczyciel szkół parafialnych, kaznodzieja i pastor pracował na Morawach, gdzie prowadził bractwa literackie, później jako kaznodzieja w Bielsku i pastor w Liptowskim Mikulaszu. Tak już miało pozostać do końca jego ży-

Trzanowski śpiewał Psalmy zarówno po łacinie i grecku, jak i po czesku. Stanowiły one dla niego najlepszy sposób modlitwy i wyznawania wiary. W tym przypominał samego Lutra.

Trzanowski śpiewał Psalmy zarówno po łacinie, jak i po czesku. A po grecku prawdopodobnie śpiewał Psalmy w przekładzie Olimpi Fulvii Morata. Albowiem Psalmy stanowiły dla niego najlepszy sposób modlitwy i wyznawania wiary. W tym przypominał Trzanowski samego Lutra. W taki właśnie sposób samego Lutra najlepiej naśladował. Funkcja wierszowanych, w przekładzie zrytmizowanych i rymowanych Psalmów nie była bowiem w czasach reformacji i kontrreformacji przede wszystkim poetycka czy estetyczna. Podobnie jak inne pieśni nabożne, Psalmy przede wszystkim otwierały śpiewającego na boską rzeczywistość, przenosiły poza doczesną marność świata z jego diabelskimi pokusami [...].

W okresie reformacji ogromną rolę w kultywowaniu śpiewu nabożnych pieśni w zborach czesko-bractwa literackie. Powstające w miastach przy kościołach konfraternie literackie zrzeszały miejscowych literatów (czy też literaków), czyli mężów, którzy „wyznawali się w sztuce literowej i muzycznej”, a więc przede wszystkim umieli czytać i pisać. Należeli do nich miejscowi notable, „mężowie najprzedniejsi i najbardziej wykształceni”, a także bogatsi mieszcianie i rzemieślnicy, którzy wspierali bractwa nie tylko śpiewem, lecz również materialnie. Głównym celem bractw literackich była posługa w sprawowaniu liturgii, a także udział w innych obrzędach, zwłaszcza w pogrzebach. Najważniejszą formą aktywności bractwa był chór. Bractwa literackie miały swoje statuty, które definiowały dogmatyczne podstawy stowarzyszeń oraz obowiązki ich członków. Statuty bractw literackich zatwierdzane były przez radę miejską. Gdzieś tam zachowały się do dzisiaj w lokalnych archiwach [...].

W czasach przedhusyckich, a później zwłaszcza w XVI wieku, chóry bractw literackich śpiewały po łacinie. O ile w XV wieku husytyzm znacznie rozszerzył język czeski tak w życiu kościelnym, jak i w repertuarze pobożnych pieśni, o tyle przez większość XVI wieku, już po wystąpieniu Lutra, przeważało w Czechach przekonanie, że „śpiew w języku pospolitym” nie przystoi ludziom wykształconym. Popularność pieśni ułożonych w języku czeskim była jednak tak duża, że około 1540 roku zaczęto je przekładać na łacinę [...].

W drugiej połowie XVI wieku w Czechach działało około 100 bractw literackich, a na Morawach doliczono się ich 55. W tej sytuacji zapotrzebowanie na drukowane, poręczne śpiewniki było coraz większe. Tobiáš Závorka Lipenský (ok. 1554–1612), pochodzący z Moraw luteranśki kaznodzieja, pisarz i liturgista, wydał w Pradze w 1602 roku kancjonał *Písň chval božských* zawierający 1200 pieśni. Śpiewnik Lipenský'ego wznawiano potem w roku 1606 i 1620. Prawdopodobnie używał go także Trzanowski, który był przełożonym bractw literackich najpierw jako rektor zborowej szkoły w Holešovie, a później jako pastor w Valašském Meziříčí. *Písň chval božských* stały się później jednym z najważniejszych źródeł *Cithary sanctorum*, kancjonału Trzanowskiego, wydanego w Lewoczu w 1636 roku. ■

Publikacja jest fragmentem eseju *Etiologia kancjonału „Cithara sanctorum”*, będącego częścią większego cyklu zatytułowanego *Siedem peregrynacji w poszukiwaniu poety Georgiusa Tranosciosa*, który powstał ze wsparciem stypendium Marszałka Województwa Śląskiego w dziedzinie kultury, przyznanego Autorowi w 2016 roku.

Zbigniew Machej

– poeta, tłumacz z języków czeskiego i słowackiego, był wicedyrektorem Instytutu Polskiego w Pradze i dyrektorem Instytutu Polskiego w Bratysławie

JIRÍ TRÁNOVSKÝ
GEORGIUS TRANOSCIUS
JURAJ TRANOVSKÝ JERZY TRZANOWSKI
(1592 – 1637)



Prawdopodobna podobizna
Trzanowskiego z jego emblematu,
określanego jako ekslibris,
odnalezionego w *Postylli* Aegidiusa
Hunniusa, znajdującej się w zbiorach
ewangelickiej Biblioteki Tschammera
w Cieszynie (datowana na rok 1612).

Trzy pieśni z kancjonału **CITHARA SANCTORUM**

z języka czeskiego przełożył
Zbigniew Machej



Grafika przedstawiająca Wittenbergę w XVII wieku.

ODWIECZNY PANIE, TYŚ JEST BÓG NASZ

19

Odwieczny Panie, Tyś jest Bóg nasz,
Stworzyciel nieba i ziemi:
Ty przepaść morską w rękę trzymasz
Z innymi stworami wszemi:
Gdy złość świata było widać
Wybrałeś na psalmistę swego
Zacnego sługę Dawida
I przemówiłeś usta jego:

Czemu się burzą narodowie
Marne wymyślając rzeczy?
Czemu książęta i królowie
Buntują się, aby przeczyc
Panu i Bogu wiecznemu,
A też pomazańcowi Jego,
Aby tak na przekór wszemu
Tyraństwa obronili swego.

Jak swego czasu biskupowie,
Zły Herod i Poncjusz Piłat
Kompanie urządzali sobie
Z mnogością okrutnych rad
Przeciwko sławie świętego
Syna Twojego Jezusa Chrysta
Chcąc splugawić imię Jego
I wykorzenić je do czysta.

Właśnie się teraz znowu zesłi
Twojej prawdy przeciwnicy
Aby w radę i sojusz weszli
Z wojskiem jako rozbójnicy.
Aby we wszystkim samemu
Panu na niebie zaszkodzili
Tylko rozkosz sercu swemu
Bez przestanku przynosili.

I zobacz teraz, miły Panie,
Jak nam grożą okrutniki,
Nareszcie obal ich władanie,
Ich rady zbij i praktyki.
Wzmocnij służebniki swoje,
Niechaj z weselem służą Tobie
I zwiastują słowo Twoje
Zawsze bez strachu i swobodnie.

Wyciągnij swą boską prawicę
Dla czynienia cudów z nami,
Żeby Twego słowa świecie
Nie pogasły między nami:
O, uczyn tak dla miłego
Pana Jezusa Twego Syna,
Aby za czasu każdego
Czcila Cię chrześcijańska gmina.

OJCZE ŚWIATEŁ, DZIĘKI SKŁADAMY

Ojcze światel, dzięki składamy
Że znów w zdrowiu oglądamy
Ranek światła niebieskiego,
Sławne dzieło Bóstwa Twego.

O daj nam w swej łaskawości
Niech słońce sprawiedliwości
Wезде w sercach i niech świeci
A prawdą nas tak oświeci,

Abyśmy w świetle chodzili,
A potem też z Tobą byli,
Któryś w nieśmiertelnym byciu,
W niedostępnym światła kryciu.

Gdy ten szczęsny dzień nastanie
Święty, święty, święty Panie
Będziemy Tobie śpiewali
I dobroć Twą wyznawali.

A tymczasem na tym świecie
Opatruj nas, prosimy Cię,
Dla dobra z Twojej łaskawości
Odpuść nam nasze grzeszności!

Błogosław swój Kościół, Panie,
W prawej wierze daj wytrwanie.
Wzmocnij wiernych swych szafarzy,
A oddalaj chytrych łgarzy!

Obdaruj nasze zwierzchności
Pokojem Twojej łaskawości,
Zdrowiem i błogosławieństwem,
W sprawowaniu zboru męstwem!

Na nasze domy z wysoka
Spójrz dobrocią swego oka.
Ojcom i matkom w dbałości
Pomóż w swej dobrotności.

Dzieci w literowej sztuce
I w innej dobrej nauce
Wzmocnij, aby z danej siły
Zborowi chętnie służyły.

Biedny lud, sieroty, wdowy,
Ojcze biednych, bądź gotowy
Pocieszać, karmić i chronić,
A przed złymi ludźmi bronić.

Nasz zbór tak jak inne gminy
Zawsze chroń, Ojcze jedyny.
Twoje dzieci z ich poddaniem
Miej w swojej opiece, Panie.

Poślij nam strażę anielskie,
By złości nieprzyjacielskie
I paktów wrogie kaziły,
A dla nas obroną były.

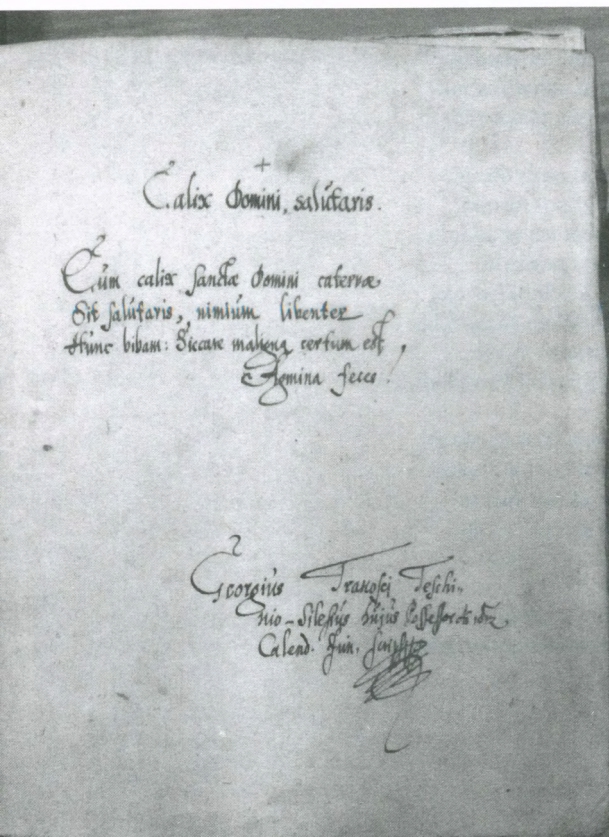
Diabła, Turka, Antychrysta
Wojska rozetrzyj do czysta.
Burze w świecie stłum bezpiecznie,
Pokój daj teraz i wiecznie.

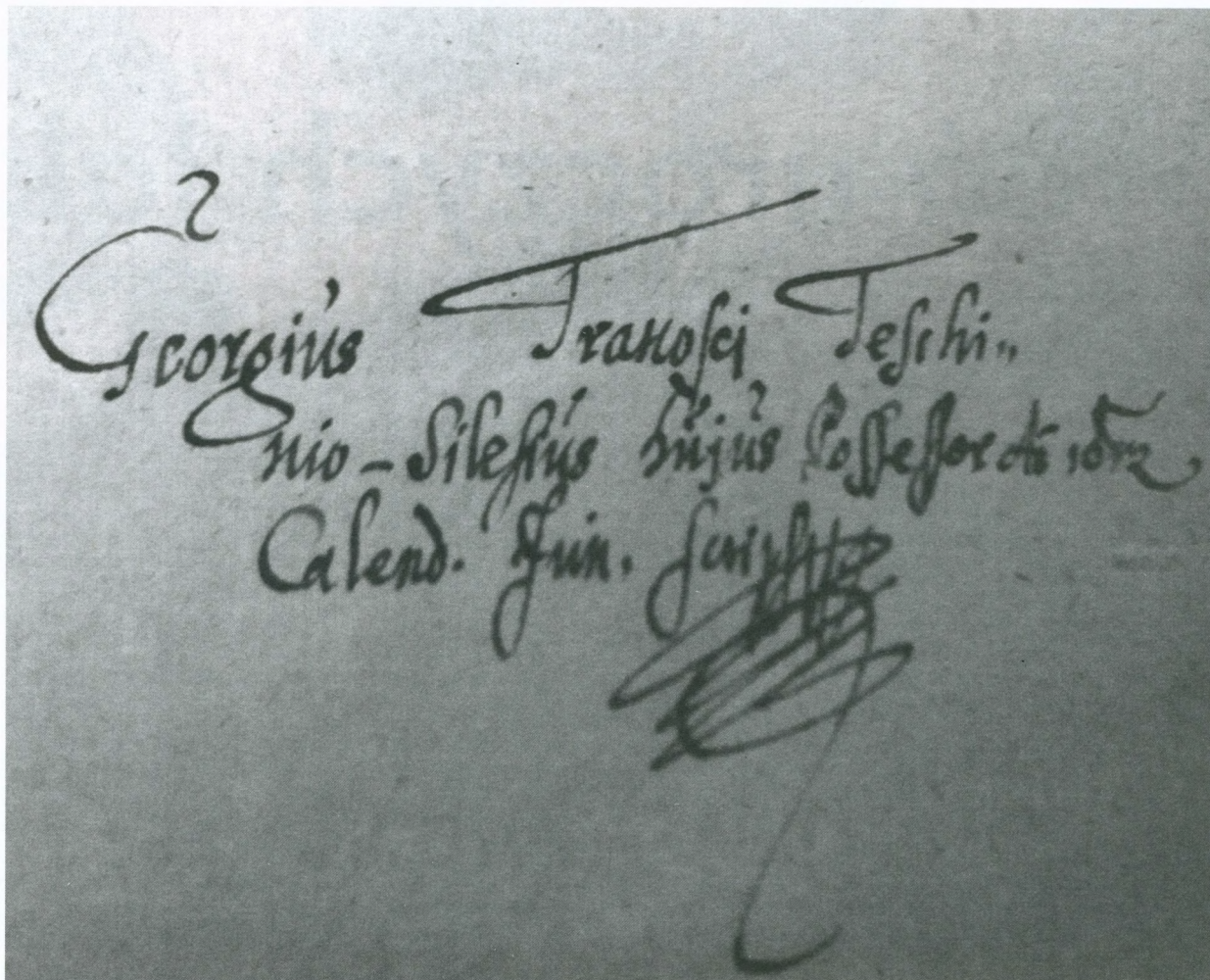
Głód, mór i krwi przelewanie,
Ogień, gromów rozbijanie,
Zdrady oraz krwawe kłótnie,
Niech Twa Boska ręka utnie!

Uprawy i ziemskie zbiory
Zachowaj nam od złej pory,
Lecz deszcz i światło słoneczne,
Daj nam, gdy to jest konieczne.

Wszędzie, Ojcze, spełń swą wolę,
Jako w niebie, tak tu w dole:
Skłoń się ku nam łaską swoją,
Co będzie naszą ostoją.

Panie, w tej porannej chwili
Będziem ufnie Cię prosili:
Rozsiewając dobro same
Racz nas nim obdarzyć! Amen.





Piękny kaligraficzny podpis, zdobny charakter znamionujący wysoką kulturę.

KIEDY ZBLIŻA SIĘ ZNOWU DNIA SKONANIE

Kiedy zbliża się znowu dnia skonanie
Za Twą ochronę dziękujemy, Panie.

Prosimy, odpuść naszych grzechów długi
Przez Chrysta, Syna Twojego, posługi.

O racz nas chronić także i tej nocy
Od nieszczęść i zła, co jest w ludzkiej mocy.

Twój święty Anioł niech jest zawsze z nami,
Wysłuchaj nas i zmiłuj się nad nami!

Oddal na zdrowiu i majątku szkody,
Grabież, mord, pożar, nieszczęsne przygody.

Daj spocząć w świętym pokoju swoim,
Mali czy wielcy wszak zawsześmy Twoi.

Ach, zostań z nami, nasz Jezu jedyny,
I nie opuszczaj swojej wiernej gminy.

Gdy świat na wieczór już się przełamuje
I diabeł wszelką złośliwość sprawuje.

Nie pozwól zgasnąć swoim świętym słowom
Aż w chwale przyjdiesz sędzić nas surowo.

Przy naszej śmierci w Tobie wodza mamy,
Siebie w Twe ręce najświętsze składamy.

Pozwól nam w końcu z Tobą stanąć w niebie,
Niech wiecznie chwalić tam możemy Ciebie.

Amen, daj nam to wszystko, miły Panie,
Niech podług wiary naszej nam się stanie.



Judith Leister

Woń uroczych łąk

22

Za jego życia Rzeczpospolita Obojga Narodów uchodziła za „azyl heretyków”. Nie wiadomo, gdzie jest pochowany. Nie znamy jego wizerunku. O jego życiu prywatnym też niewiele wiadomo. Ale 40 pism po łacinie, których autorem był Andreas Volanus, wyklęty przez Rzym syn śląskiego szlachcica i polskiej szlachcianki, znały największe autorytety doby reformacji. Jako polsko-litewski teolog protestancki i dyplomata na dworze wielkiego księcia litewskiego w Wilnie Andrzej Wolan miał świetne kontakty w całej Europie. Jedno z jego dzieł znalazło się nawet w prywatnej bibliotece Isaaca Newtona.

Wileński Pałac Wielkich Książąt Litewskich jest repliką wcześniejszego pałacu książęcego na Zamku Dolnym w Wilnie. W gmachu dzisiejszego Muzeum Historii i Sztuki, w części ekspozycji poświęconej polityce religijnej wielkiego księcia litewskiego i króla Polski Zygmunta I Starego (1507–1548), widnieje napis: „Zygmunt Stary pragnął chronić Polskę i Litwę przed protestantami. Począwszy od 1520 roku protestanci narażeni byli na konfiskatę majątku i wygnanie. Zakazano importu literatury protestanckiej, a także udziału w dysputach religijnych i studiów na protestanckich uczelniach wyższych. Chociaż większość tych zakazów nigdy nie wprowadzono w życie, to mocą edyktu z 1542 roku nakazano likwidację protestanckiego gimnazjum, założonego w 1539 roku w Wilnie przez Abrahama Kulwiecia. Założyciel szkoły oraz jego stronnicy zmuszeni byli uciec do kraju swego pochodzenia”.

W tym pięknym gmachu muzeum, otwartym dopiero kilka lat temu, próżno jednak szukać dalszych informacji na temat reformacji – choć przecież jej wpływ w Polsce i na Litwie były znaczne. Już w czasie panowania Zygmunta I Starego w kręgach szlachty polskiej i litewskiej dyskutowano na temat „pewnego augustiańskiego mnicha Marcina Lutra”, jak czytamy w edyktie toruńskim z 1520 roku, pierwszym w Polsce dokumencie wymierzonym w innowierców. Mimo to pisma protestanckie nadal docierały do kraju. Przemycano je w beczkach z winem wyposażonych w podwójne dno. Uspokojona reformatorsko szlachta wiązała swe nadzieje z następcą tronu. Zygmunt II August (1520–1572) objął władzę w 1548 roku i utrzymywał żywe kontakty z przedstawicielami reformacji. Nie dziwi więc, że na dworze wielkiego księcia w Wilnie działał teolog i dyplomata Andreas Volanus vel Andrzej Wolan ([ok.] 1531–1610). Ten pochodzący z Wielkopolski syn śląskiego szlachcica należał obok Christopha Thretiusa (Krzysztofa Trency) i Stanisława Sarnickiego do najbardziej wpływowych myślicieli doby reformacji w Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Dziś ta niezwykła postać jest już niemal zapomniana.

23

Śląsko-wielkopolskie korzenie

Andrzej Wolan urodził się ok. 1531 roku w Lwówku niedaleko Poznania. Jego ojciec, Johannes Volanus, niemieckojęzyczny Ślązak, był podobno właścicielem kilku browarów i przez pewien czas pełnił nawet funkcję rajcy i burmistrza Lwówka. Tak oto syn wspominał później ojca: „Ojciec mój Jan Wolan, urodzony z dziada śląskiego, w Niemczech w naukach wyzwolonych wyćwiczony [...] łatwość posiadał w jednaniu sobie przyjaciół” (Józef Łukaszewicz, *Dzieje kościołów wyznania helweckiego w Litwie*, t. 2, Poznań 1843, s. 266). Matka była polską szlachcianką. W późniejszym czasie syn używał jej szlacheckiego herbu w swojej korespondencji. Za sprawą ojca, który podczas studiów w Niemczech zetknął się pewnie z ruchem reformatorskim, Andreas-Andrzej wyrósł w duchu wittenberskiej reformacji. Dzięki wsparciu krewnych w 1544 roku jako 13-letni chłopak mógł podjąć naukę siedmiu sztuk wyzwolonych (*septem artes liberales*) we Frankfurcie nad Odrą. Do obowiązującego w średniowieczu kanonu nauczania zaliczały się gramatyka, retoryka i dialektyka, a także arytmetyka, muzyka i astronomia. Co prawda Volanus nie studiował teologii, ale jak wszyscy humaniści tamtej epoki przejawiał zainteresowanie także tą dziedziną wiedzy.

Nieco więcej niż o okresie nauki we Frankfurcie nad Odrą wiemy o pobycie Volanusa na studiach w należącym wówczas do I Rzeczypospolitej pruskim Królewcu (Königsberg), trzecim po Wittenberdze i Marburgu protestanckim uniwersytecie. Tam młodzienc o śląsko-

-wielkopolskich korzeniach szlifował łacinę, wiążąc całkiem realne nadzieje na dworską posadę. Zresztą jednym z profesorów-założycieli uniwersytetu w Królewcu był wspomniany Litwin Abraham Kulwieć, który uszedł do Prus Książęcych w wyniku antyprotestanckiej polityki Zygmunta I Starego. Kulwieć, który studiował pod okiem Erazmusa, Lutra i Melanchtona, objął w 1544 roku, a więc krótko po powołaniu Albertyny przez pruskiego księcia Albrechta Hohenzollerna, pierwszą katedrę greki i hebrajskiego. Podobnie wielkim uznaniem co Kulwieć cieszył się Georg Sabinus (Georg Schuler). Ten nauczyciel łaciny, u którego Volanus pobierał naukę, był zięciem Filipa Melanchtona i pierwszym rektorem Albertyny. W ówczesnej Europie Sabinus uchodził za jednego z największych specjalistów od retoryki i wybitnego znawcę łaciny.

„Wielki szum” w Prusach

Kestutis Daugirdas, historyk Kościoła, jest pracownikiem Instytutu Historii Europejskiej w Moguncji, ekspertem w sprawach reformacji na ziemiach Polski i Litwy i autorem pracy doktorskiej o Volanusie. Tak mówi o rozwoju myśli teologicznej Volanusa: „Podczas nauki we Frankfurcie nad Odrą Volanus miał możliwość zapoznania się z polemikami pomiędzy reformatorami wittenberskimi a zwolennikami Rzymu. W Królewcu był świadkiem sporu, jaki od 1550 roku toczył się wokół nauki głoszonej przez luterkańskiego teologa Andreasa Osiandera, według której wierny ma szansę otrzymać usprawiedliwienie z łaski przez wiarę. Ten spór zrodził zażartą debatę, której zasięg przekroczył granice Prus Książęcych. To poróżnienie, silne zresztą w gronie samych zwolenników Wittenbergi, mogło być powodem, dla którego w późniejszym czasie Volanus, podobnie jak wielu innych polsko-litewskich krytyków Rzymu, zwrócił się ku naukom ewangelicyzmu reformowanego wywodzącego się ze Szwajcarii. Tę wspólnotę zdawała się cechować większa spójność środowiskowa. Trzeba jednak pamiętać, że granice pomiędzy wyznaniem były wtedy nad wyraz płynne i tego typu konwersje nie były niczym nadzwyczajnym”.

Spór wokół nauk Andreasa Osiandera, który w 1549 roku otrzymał profesurę teologii na uniwersytecie w Królewcu, poróżnił protestantów i osłabił wpływy reformacji wittenberskiej. W końcu pewien agent doniósł księciu Albrechtowi, że jego zwierzchnik Zygmunt August z dezaprobatą wypowiada się na temat „tego wielkiego szumu” w Prusach. Król wiedział, o czym mówi, bowiem echa tego sporu odbiły się nawet wśród jego najbliższych krewnych. Jego kuzyni, Radziwiłł Czarny i Radziwiłł Rudy, będący przedstawicielami najwyższych kręgów litewsko-białoruskiej szlachty, byli najbardziej wpływowymi zwolennikami reformacji na Litwie. Byli do siebie łądząco podobni i obaj nosili to samo imię – Mikołaj, stąd rozróżniano ich za pomocą przydomków nadanych według koloru włosów i brody. Radziwiłł Czarny miał być ponoć pierwszym protestanckim magnatem w Wielkim Księstwie Litewskim. I on z początku przyjmował komunie świętą zgodnie z tradycją wittenberską, zanim ostatecznie zwrócił się ku naukom ewangelicyzmu reformowanego.

Blżej Kalwina

Zainteresowanie Radziwiłłów reformacją nie było wtedy bynajmniej odosobnione. Tak ówczesną sytuację opisuje Kestutis Daugirdas: „W połowie XVI wieku wielu polskich i litewskich młodzieńców pochodzących ze szlacheckich rodów pobierało naukę na uniwersytetach niemieckich czy szwajcarskich. W Bazylei studiowali pod okiem wybitnych humanistów, profesorów Sebastiana Castellio czy Celio Secundo Curione, którzy znani byli ze swej tolerancyjnej postawy. W Zurychu gościli u prof. Heinricha Bullingera i u wielu innych znanych teologów. Rzadziej natomiast przebywali w Akademii Genewskiej, choć dzieła założyciela tej uczelni, Jana Kalwina, były bardzo znane w Polsce i na Litwie”. Kalwin i Bullinger często i chętnie korespondowali z polskimi i litewskimi współwyznawcami wywodzącymi się z tutejszej szlachty, szczególnie jednak z Zygmuntem Augustem, którego z całych sił nakłaniali do założenia Kościoła reformowanego w Rzeczypospolitej. Sam Volanus nie prowadził korespondencji ani z Kalwinem, ani z Bullingerem, ale porównywał duchowy wpływ pism Kalwina z „wonią uroczych łąk”.

Po zakończeniu studiów Andreas Volanus został sekretarzem i tajnym dyplomatą Mikołaja Radziwiłła Rudego. Ten wychowanek na dworze Zygmunta Augusta w 1565 roku został mianowany kanclerzem wielkim litewskim i tym samym został bezpośrednim następcą swego kuzyna, Mikołaja Radziwiłła Czarnego. Za panowania Zygmunta Augusta protestanckiej szlachcie w Wielkim Księstwie Litewskim nadano liczne przywileje, dzięki którym jej przedstawiciele mogli obejmować wysokie stanowiska państwowe na tych samych prawach, co wyznawcy Kościoła rzymskiego czy też greckiego Kościoła prawosławnego. W tym czasie Volanus dzięki swym znajomościom w najwyższych kręgach władzy stał się jednym z najbardziej wpływowych teologów na Litwie. Spośród jego 40 dzieł spisanych po łacinie te najważniejsze są wymierzone w działalność jezuitów.

W Rzymie Volanus uchodził za zapieklego heretyka, stąd jego nazwisko znalazło się w ogłoszonym przez Kościół katolicki indeksie dzieł zakazanych. Najbardziej znane dzieło Volanusa, *Defensio de sacramento corporis* (1579) – którego egzemplarz trafił nawet do prywatnej biblioteki Isaaca Newtona – było frontalnym atakiem wymierzonym w jego głównych wrogów, jezuitów Piotra Skargę i Francesco Torresa. W tym polemicznym piśmie Volanus nakreślił główne źródło konfliktu z Kościołem rzymskokatolickim, upatrując je przede wszystkim w tym, że podczas gdy katolicy wierzą w cud przeistoczenia, czyli przemianę chleba i wina w Ciało i Krew Chrystusa, protestanci pojmują obecność Chrystusa podczas Eucharystii w sposób czysto symboliczny.

Jednak Volanus znalazł wrogów także wśród samych reformatorów. Szczególnie ostro atakował socyan, a więc zwolenników znanego włoskiego reformatora i teologa Fausta Socyna, który przed inkwizycją ratował się ucieczką z Włoch na tereny Rzecz-

Ok. 1600 roku
Andreas Volanus
wycofał się z życia
publicznego.
Zmarł w 1610 roku
w swoim majątku
w Bijuciszkach na
terenie dzisiejszej
Białorusi.
Nie wiadomo jednak,
gdzie dokładnie jest
pochowany.

pospolitej. Jako antytrynitarze socjanie odrzucali dogmat o Trójcy Świętej oraz o związku boskiej i ludzkiej natury w osobie Jezusa Chrystusa. W obliczu tak wielu często sprzecznych ze sobą interpretacji Biblii byli przekonani o tym, że jedyną sensowną wykładnią Pisma Świętego jest ta, która zgodna jest z prawami rozumu. Dziś socjanie uchodzą za prekursorów epoki oświecenia. W jednym z listów do Volanusa Theodor von Beza, następca Kalwina w Genewie, krytykował zgodę władz Rzeczypospolitej na działalność antytrynitarzy, mówiąc wręcz o „diabolicznej wolności w sprawach wiary”. Kreśląc te słowa, mógł zakładać, że Volanus w pełni się zgadza z tym poglądami. Ten jednak próbował nakłonić Bezę do zachowania w swych sądach umiaru, ponieważ w przeciwieństwie do genewskiego reformatora sam zdany był na politykę tolerancji ze strony polskich władz.

Czy Andreas Volanus był tolerancyjnym myślicielem? „Reformatorzy uważali, że żyją w czasach ostatecznych. Trwali więc w ciągłym oczekiwaniu na Sąd Ostateczny” – przypomina Kestutis Daugirdas. „W tej sytuacji za swój obowiązek uważali zachowanie czystości nauki i wewnętrznej spójności w łonie Kościołów reformowanych. Nie inaczej było w przypadku Volanusa. Dlatego nie można go nazwać myślicielem tolerancyjnym w dzisiejszym rozumieniu”. Dzięki uchwale podjętej w 1573 roku, tzw. konfederacji warszawskiej, szlachta Rzeczypospolitej przez kolejnych 85 lat cieszyła się swobodą wyznania. Inaczej niż w Świętym Cesarstwie Rzymskim Narodu Niemieckiego w Rzeczypospolitej Obojga Narodów „zaprzeczenie dogmatu o Trójcy Świętej” czy też „zaprzeczenie boskości Chrystusa” nie spełniały znamion przestępstwa. Dlatego reformatorzy, gdzie indziej uchodzący za heretyków, tu nie płonęli na stosie.

Jednak wielki książę litewski Zygmunt August nie zdecydował się na konwersję na protestantyzm. Jego następca, książę siedmiogrodzki Stefan Batory (1533–1586), rozpoczął panowanie od uprzywilejowanego traktowania katolików, których obdarowywał państwowymi posadami. Najpóźniej wraz z objęciem tronu przez wychowanka jezuitów Zygmunta III Wazę (1566–1632), który realizował politykę wymierzoną w protestantów (co charakterystyczne, nadwornym kaznodzieją króla został wtedy zaciekle wróg Volanusa, Piotr Skarga), w Rzeczypospolitej rozpoczął się okres upadku ruchu reformatorskiego. Czy pamiętają o tym na Żmudzi i Litwie?

Ok. 1600 roku Andreas Volanus wycofał się z życia publicznego. Zmarł w 1610 roku w swoim majątku w Bijuciszkach na terenie dzisiejszej Białorusi. Nie wiadomo jednak, gdzie dokładnie jest pochowany. W pewnym sensie poniósł porażkę. Nie zdołał przeciągnąć władców swego kraju na stronę reformatorów. „Mimo to doskonale kontakty Volanusa w całej ówczesnej Europie oraz popularność jego dzieł są niepodważalne” – podkreśla Kestutis Daugirdas. „Jedną z jego polemik o nazwie *Doctrinae jesuiticae praecipua capita* przedrukowano w 1586 roku w antyjezuickiej publikacji wydanej w Bazylei. Natomiast Franciscus Junius i Daniel Tossanus, znaczący profesorowie teologii z Heidelbergu, nazwali Volanusa pionierem walki przeciw jezuitom i antytrynitarzom, którego znaczenie wykraczało daleko poza granice Rzeczypospolitej”.

W Pałacu Wielkich Książąt Litewskich nie ma nawet wzmianki o Andreasie Volanusie vel Andrzeju Wolanie. Ale w muzeum można podziwiać delikatnie zdobione ornamentami wizerunki obu Mikołajów Radziwiłłów ze szpicbródką i w zbroi, autorstwa flamandzkiego artysty Domenico Custosa z 1603 roku. Jest też portret Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła, syna Radziwiłła Czarnego, który na rynku w Wilnie nakazał publicznie spalić tłumaczenie Biblii sporządzone na zlecenie swego ojca. Jako młodzieniec studiował w Strasburgu i Tybindze. Gdy powrócił z podróży po Włoszech, potajemnie nawrócił się na wiarę rzymskokatolicką, wkrótce uczynił to już publicznie wraz ze swymi trzema braćmi.

Z kolei potomkowie Mikołaja Radziwiłła Rudego aż do wygaśnięcia tej linii pozostali wierni reformacji. Do dziś na obszarze, na którym niegdyś panował ten ród, w okolicach Birży na Żmudzi i Dubinkach na północno-wschodnich rubieżach Litwy, istnieją ewangeliczne zbory reformowane, liczące ok. 7 tysięcy wiernych. Być może wśród nich pamięć o Andreasie Volanusie wciąż trwa. ■

Tłumaczenie z jęz. niemieckiego: **Marcin Wiatr**

Judith Leister

– dziennikarka i publicystka, pracuje dla „Frankfurter Allgemeine Zeitung” i „Neue Zürcher Zeitung”

Księgi „dla prostych i nieumiejętnych ludzi”

Kiedy na mocy kończącego wojnę trzydziestoletnią traktatu westfalskiego (1648) władcy habsburscy rozpoczęli rekatolizację Śląska, jedynie Wrocław oraz księstwa: brzeskie, legnickie i oleśnickie, w których władzę sprawowali samodzielni książęta ewangeliccy, mogły liczyć na tolerancję. Na ziemię te przybywali zatem luteranie z całego Śląska, licząc na możliwość nieskrępowanego kontynuowania kultu.

Rozszerzona i poprawiona
Droga do Nieba,
Atora
Nie tylko Dlaatom pierwŝe
literę Nauki Krzeŝciánskiej rzetelnie po-
daje: ale teŝ dorosłym Ludzóm i Gospoda-
rom do jâŝojenia prawego Gruntu w báŝwienney
Ewángielickiej Religii i w prawdziwym
Krzeŝciáństwie wygodna
być moŝe.
Niegdy przez
Ks. JANA CYRIACA HOFERA,
Páŝterza Káŝkarskiego w Meŝleburku,
Wydána,
Potym od pewnego Theologa Lipskie-
go zpilnoŝciá przejrzána, táŝe Pytániami
i Piŝmá Świétego Porwieŝciami przed káŝkó
Lat. znâŝnie rozŝerzona i poprawiona
Aŝ teŝ ku chwale Boga żywego i zbudowa-
niu wiernych Jego
w polŝczyŝnie przeniesiona
Ob
Ks. Sámuelá Záŝádnyŝá,
Stuga Bŝŝego w Byczynie.
Czwártý raz drukowana.
 KARTALINIA
Rozŝerzona i poprawiona

Z okolicami Namysłowa, Wołczyna, Olesna oraz innych miejscowości na terenie północno-wschodniego Śląska wiązało wówczas losy wielu innowierców, jednakże rola swoistego protestanckiego centrum przypadła dwóm niewielkim miasteczkom leżącym w księstwie brzeskim – Kluczborkowi i Byczynie. Spośród wielu znaczących twórców związanych z kluczborsko-byczyńskim ośrodkiem kulturalnym, jak zwykle się dziś nazywać ów geograficzno-literacko-religijny fenomen, wspomnijmy czterech pastarów: Adama Gdajusza (1609 lub 1610–1688), Jerzego Boccka (1621–1690), Jana Muthmana (1685–1747) i Samuela Ludwika Zasadiusa (1695–1755).

Exempla, czyli „opowiastki różnego typu”

O Adamie Gdajuszu Jan Zaremba – wybitny znawca literatury śląskiej – napisał, że „lubił rąbać ludziom prawdę w oczy”. Opinia ta znakomicie oddaje charakter pisarstwa protestanckiego kaznodziei z Kluczborka, który swoje polemiczne zacięcie i niezwykle talent w zakresie tropienia moralnych i społecznych nieprawidłowości mistrzowsko łączył z barwnym, dosadnym, potoczystym stylem wypowiedzi, zasługując w pełni na nadane mu przez potomnych miano „śląskiego Reja”.

Gdajusz pozostawił po sobie 24 druki będące dziś ważnym źródłem informacji na temat XVII-wiecznych stosunków religijnych oraz społecznych, a także nieprzebraną skarbnicą wiedzy o ówczesnej śląskiej obyczajowości. Przede wszystkim ta ostatnia dziedzina zasługuje tu na wspomnienie, kluczborski kaznodzieja szczególnie zaciekle zwalczał bowiem grzechy dotyczące codziennego życia śląskich ewangelików, zabierając głos między innymi w takich kwestiach, jak: życie małżeńskie, wychowanie dzieci, stroje, pijaństwo, a nawet – co może nas nieco dziwić – taniec oraz pielęgnacja włosów. Poruszał je m.in. w tekstach, którym nadawał znamienne nazwy gatunkowe – „dyskurs” (np. *Dyskurs o pijaństwie*) albo „kwestyja” (np. *Kwestyja o poligamii albo wielożeństwie*). Najpełniejsze jednak odzwierciedlenie opinii Gdajusza na temat wypaczeń obyczajowych przynosi *Postilla popularis* – zbiór 30 kazań wydany w 1650 roku, będący pierwszą postyllą napisaną przez Ślązaka po polsku.

W zamiśle autora odbiorcą tego dzieła miały być szerokie rzesze ewangelików, czemu dał wyraz między innymi w otwierającej zbiór *Przedmowie do czytelnika*, w której czytamy: „Ja tę księgę nie dla wyniosłych i wypolerowanych dowiecipów ludzkich, ale dla prostych i nieumiejętnych [...] ludzi wydaję”. I rzeczywiście – zawarte w postylli kazania skonstruowane są tak, by poruszyć wyobraźnię prostego, niewyrobionego czytelnika, a jednym ze sposobów dotarcia doń są rozsiane w całym zbiorze liczne *exempla*, czyli – jak to określił jeden z badaczy – „opowiastki różnego typu”, służące ukonkretnieniu przekazywanych treści. Przykłady można by mnożyć, przytoczmy dwa: pierwszy dotyczy rozważań Gdajusza na temat trudów wychowania dzieci. Pisze kaznodzieja: *Nie jeden [...] małżonek z onym filozofem komputuje i*

*rachuje, co dziatki przez rok zjedzą. Bo ten filozof, gdy mu się dziecię na świat było narodziło, kiedy zrachował, co mu przez rok zjeść miało, porwawszy ono niebożętko, wrzucił je do morza i utopił. Nie mniej obrazowe *exemplum* przytacza autor, pragnąc przekonać wiernych o szkodliwości tańca: *Czasu jednego jakimś mężowi ś. objawiono było, że widział, jako dyjabł w postaci małego czarnego Murzyna na jednej niewiasty głowie, która tańcowała, siedział, skakał i onę w koło wodził. Możemy sobie jedynie próbować wyobrazić, jakie wrażenie na XVII-wiecznych czytelnikach robiły owe makabryczne historie.**

Modlitwa i praca

Ukierunkowanie na proste go odbiorcę cechowało też pisarstwo Jerzego Boccka, pastora pochodzącego z oddalonej o około 10 kilometrów od Byczyny wsi Komorzno. Zasłużył on sobie na nadane mu przez historyków literatury miano „najwykwintniejszego stylisty wśród śląskich twórców”. Liczne zaszczyty spłynęły nań także za życia, gdyż powołano go na stanowisko osobistego nauczyciela języka polskiego księcia oleśnickiego Sylwiusza Nemroda, a w roku 1651 został archidiakonem.

Do naszych czasów dotrwały jedynie dwa obszerniejsze dzieła Boccka – wydana w 1668 roku *Agenda to jest porządek Kościołów Ewangelickich Księstwa Oleśnickiego i innych do niego należących powiatów* oraz o dwa lata późniejsza *Nauka domowa na pamiątkę wesela uczciwego a pracowitego Adama Hilbriga [...] z Panią Marią Szarą*.

Agenda to mistrzowski przekład, właściwie parafraza, XVI-wiecznego dzieła superintendenta oleśnickiego Melchiora Eccarda, zawierającego zbiór wskazówek dotyczących ceremonii i obrzędów w Kościele protestanckim. Język *Agendy*, w odróżnieniu od oryginału, urzeka prostotą, będącą świadomym zamysłem Boccka i jednym z celów jego programu kaznodziejskiego, który najdobitniej wyłożył w rozporozynającym tekst wierszu *Do czytelnika* – swego rodzaju miniaturowej poetyce dla księży:

*Kto wysokiemu słowy zaś buduje,
Uczonym tylko wieść jego smakuje.
[...]
Acz i to wielka sztuka wylatować
Pod niebo, większa prostaka zbudować
Słowy niskiemu.*

Przekład Boccka służył polskim protestantom nie tylko w Księstwie Oleśnickim, lecz także w innych częściach Śląska, zwłaszcza w rejonie Kluczborka i Byczyny.

Drugie ważne dzieło Boccka – *Nauka domowa* – to wierszowane epitalamium napisane z okazji ślubu szwagra – brata pierwszej żony autora. Mimo że adresatem jest krewny, próżno by szukać w tekście jakichś osobistych treści. To raczej rodzaj obszernego kazania, którego tematem jest życie małżeńskie. Wiele fragmentów tego utworu nasuwa skojarzenia z językiem mówionym, rozbrzmiewającym z ówczesnych śląskich ambon; wyraźnie widać wpływ postylli Adama Gdajusza. Także i w *Nauce domowej* Bock realizuje swój kazno-

dziejski program przemawiania do ludu prostymi słowami, w wierszu roi się bowiem od śląskich przysłów i dosadnych zwrotów potocznych. Autor wyzyskuje także charakterystyczne dla twórczości kaznodziejskiej *exempla*, mające odstraszyć wiernych od popełniania grzechów, szczególnie barwnie odmalowuje przy tym portret grzesznika-cudzołożnika, którego nękają straszliwe wyrzuty sumienia:

*Na głowie mu powstają wielkim strachem włosy:
Placze, rękoma łamie, narzeka, boleje,
Sporą czarę na on czas gorzkich łez wyleje,
Co przedtem i nie westchnął.*

Poza wiązaniem się z cudzołożnikiem Bock przestrzega również przed małżeństwem z leniem, pijakiem oraz mężczyzną mierzącym wartość kobiety wielkością posagu, zaś w przypadku kandydatek na żonę niedopuszczalna jest swarliwość i chęć dominacji. Zawartą w tym wierszu naukę najpełniej oddają dwa cytaty: *Stan małżeński jest domem modlitw i wzdychania oraz Rychłej męża przyciągniesz do siebie robotą.* / *Niż owa, co na głowie nosi tkanę złotą.* A zatem – modlitwa i praca to najważniejsze zabezpieczenie małżeńskiego szczęścia, który to pogląd charakteryzuje całą ówczesną protestancką twórczość okolicznościową na Śląsku.

Muthman i Zasadius

Z tej samej co Bock wsi Komorzno pochodzą także przedstawiciele następnego pokolenia śląskich pastorów literatów: Jan Muthman i Samuel Ludwik Zasadius (w przypadku tego drugiego niektórzy badacze wskazują Brzeg jako miejsce urodzenia), aczkolwiek ich działalność duszpasterska oraz pisarska związana jest już z innym regionem Śląska – Cieszyńskiem. W roku 1709 rozpoczęto tam budowę ewangelickiej świątyni, będącej jednym z sześciu tak zwanych kościołów Łaski, wzniesionych dzięki zawartej dwa lata wcześniej ugodzie w Altranstädt, na mocy której król szwedzki

Karol XII upomniał się u cesarza Józefa I o swobody dla śląskich ewangelików. Do posługi duszpasterskiej w nowej parafii powołano najpierw Muthmana. Na marginesie warto wspomnieć, że wiąże się z nim pewna ciekawostka – otóż niedługo po jego narodzinach zmarł miejscowy pastor i sakramentu chrztu udzielił mu inny duchowny, który przyjechał do Komorzna w zastępstwie. Był to Adam Gdacjusz.

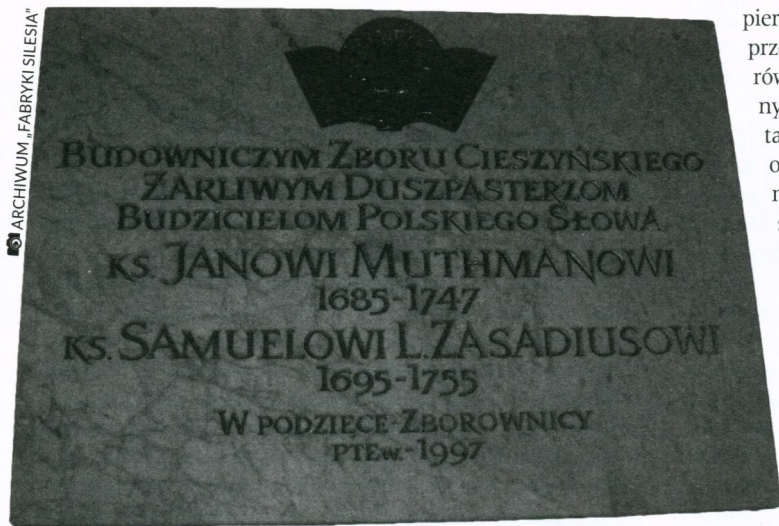
Muthman szybko zjednał sobie życzliwość parafian, którzy cenili go przede wszystkim za to, że wspierał ich nie tylko słowem, ale i czynem. O wielkiej gorliwości pierwszego pastora cieszyńskiego kościoła Jezusowego najlepiej świadczy fakt, że w czerwcu 1722 roku nie wahał się wyruszyć w trwającą ponad pół roku podróż zagraniczną, której celem było pozyskanie funduszy na zakończenie budowy kościoła oraz wzniesienie szkoły dla młodzieży protestanckiej.

Czasem jego pomoc przybierała formy bardzo oryginalne. Gdy w drugim dziesięcioleciu XVIII wieku nawiedziła ziemię cieszyńską epidemia morowego powietrza, Muthman opracował wielce osobliwy tekst, będący połączeniem podręcznika medycznego z modlitewnikiem. Owo wydane w roku 1716 dziełko nosi tytuł *Wierność Bogu i Cesarzowi czasu powietrza morowego należąca*. Na szczególnie podkreślenie zasługuje fakt, że jest to pierwsza książka na Śląsku Cieszyńskim napisana w języku polskim.

Lektura tego tekstu pozwala wysnuć wniosek, że autorowi przyświecał dwojaki cel. Z jednej strony, wchodząc niejako w rolę medyka, pragnął niewątpliwie uchronić ludzi przed szerzącą się epidemią, zwracając uwagę na jej przyczyny oraz symptomy, z drugiej natomiast, jako duchowny, przekonywał wiernych o związku między morem a grzesznym życiem. W pierwszej konwencji mieści się np. taki fragment: *Często też sobie ludzie sami szkodzą, rzeczy zapowietrzzone kupując [...] albo kradnąc [...], z zapowietrzonymi obcując, co się też stawa, kiedy umarłe nie w czas a nie dość głęboko a daleko chowają. A w drugiej – Sprawiedliwość Boska niepokutujących musi karać [...]. Przetoż i mor jest karanie grzechami zasłużone.*

W roku 1721 do Muthmana dołączył Zasadius. Szybko okazało się, że gorliwością duszpasterską dorównuje on pierwszemu pastrowi, a płodnością pisarską nawet go przewyższa, zarówno jako autor oryginalnych utworów, jak i tłumacz niemieckojęzycznych dzieł religijnych. Podobnie jak pozostali wspomniani tu autorzy, tak i Zasadius kierował swoją twórczość do prostego odbiorcy, a większość jego tekstów ma formę zbioru modlitw oraz podstawowych prawd wiary luteranckiej. Jako przykład niech posłuży pierwszy znany nam utwór Zasadiusa pochodzący z okresu jego posługi w Cieszyńsku, napisany w roku 1723 i opatrzony znanym tytułem *Droga do nieba to jest nauka krótka z katechizmu*. Ta niewielkich rozmiarów książeczka zawiera wykaz modlitw, które należy odmawiać o różnych porach dnia oraz przy naj-

Tablica upamiętniająca Muthmana i Zasadiusa w kościele Jezusowym w Cieszyńsku.



Nauka Domowa
 Na pamiątkę
 Wesela Uczciwego a Pracowitego
A D A M A H I L B R I G A
 Pana Szwagra mego /
 z Uczciwa a Krotliwa Pana
M A R Y A S Z A R A V V D O V V A
 Obywatelka Walszenska w S. Marcin we Walo
 czynnie obprawowanego /
 Za upominek powinności szczerym
 Rymem z pisaną y ofiarowaną
 Przez
Jerzego Bocka /
 Archidiacona Oleśnickiego / Roku 1670.



W Oleśnicy
 Drukował Gottfryd Giesel y Krystof Weselb.

1.392

Strona tytułowa *Nauki domowej* Jerzego Bocka.

rozmaitszych okazjach, a ponadto krótkie odpowiedzi na podstawowe pytania teologiczne. I tak na przykład na pytanie *Czemuż jedni aniołowie się stali złymi albo diablami?* uzyskiwał XVIII-wieczny czytelnik precyzyjną odpowiedź: *Ponieważ zgrzeszyli*. Cieszyński pastor parał się także działalnością translatorską, tłumacząc między innymi dzieła Jana Arndta – protestanckiego mistyka niemieckiego z przełomu XVI i XVII wieku, przez niektórych uważanego za prekursora pietyzmu, a więc ruchu wewnętrznej odnowy w luteranizmie, kładącego nacisk na subiektywną stronę życia duchowego i indywidualną modlitwę.

I właśnie ten fakt, jak również intensywna praca duszpasterska nastawiona na prostego odbiorcę spowodowały, że niemal od początku swojej posługi musiał Zasadius odpierać ataki przeciwników dostrzegających w jego działaniach zagrożenie dla Kościoła luteranckiego. Podobne zarzuty sformułowano także pod adresem Muthmana i w rezultacie, w roku 1730, ku rozpaczy miejscowych parafian, na mocy cesarskiego dekretu obaj pastorycy zmuszeni byli opuścić Cieszyn.

Liczne ataki i oskarżenia nie ominęły także Bocka i Gdacjusza. Ten pierwszy rychło stracił łaskę księcia Sylwiusza Nemroda, co zapewne miało jakiś związek z faktem, że stopniowo zaczął się oddalać od radykalnego luteranizmu i nawiązał kontakt z nadwornym lekarzem księcia – Janem Schefflerem, znanym bardziej jako Angelus Silesius, który przeszedł na katolicyzm. Z dotkliwą krytyką spotykała się także utrzymana w zapalczym tonie kaznodziejska twórczość pastora z Kluczborka. Pojawiali się – cytując jego słowa – obdarzeni „świerzbącymi uszami” odbiorcy, którzy formułowali liczne zarzuty zarówno natury teologicznej, jak i językowej, a nawet osobistej. ■

Beata Stuchlik-Surowiak

– literaturoznawczyni, pracuje w Instytucie Nauk o Literaturze Polskiej Uniwersytetu Śląskiego

Sebastian Rosenbaum

Pastor Pohle i „kontrowersja górnosłąska”

W drugiej połowie XVIII wieku Górny Śląsk i jego mieszkańcy nie mieli dobrej prasy w środowiskach niemieckiej, szczególnie pruskiej, elity. „Barbarzyńskie oblicza, istoty, które jedynie wyglądem zewnętrznym odróżniają się od zwierząt” – cytował w 1791 roku wrocławski pedagog Johann Gottlieb Schummel typowe wypowiedzi o Górnosłązakach.



Evangelische Kirche zu Tarnowitz.

ARCHIWUM „FABRYKI SILESIA”

Oświecona opinia publiczna Niemiec dostrzegała w regionie głównie zacofanie, brak wykształcenia, relikty feudalizmu i katolicyzm najbardziej powierzchowny, ograniczony do ceremoniału i na poły pogańskich zabobonów. Z *dała od wykształconych ludzi* Goethego też pobrzmiewa tym powszechnym lekceważeniem, które stanowiło trzon tzw. kontrowersji górnośląskiej – publicystycznego sporu o region, toczonego u schyłku XVIII stulecia. Ale jeśli Schummel peregrynował po Śląsku – Dolnym i Górnym – to w pewnej mierze po to, by zebrać materiał podważający powszechną krytykę Górnoślązaków. W istocie w opisie swej podróży zamieścił apologię regionu i jego mieszkańców. Za jednego z najważniejszych sojuszników w tym dziele uważał ks. Johanna Wilhelma Pohlego, proboszcza parafii ewangelickiej w Tarnowskich Górach, z którym spotkał się 26 lipca 1791 roku.

Pohle urodził się 24 lipca 1725 roku w Bierutowie (Bernstadt) na Dolnym Śląsku. Na Górny Śląsk trafił jako 27-latek, obrany w 1752 roku pastorem parafii w Goczałkowicach. Po pięciu latach skierowany został do świeżo utworzonej parafii ewangelickiej w Tarnowskich Górach, obejmującej pokaźną część Górnego Śląska (należały do niej wówczas także Gliwice i Królewska Huta, a jej powierzchnia obejmowała 30 mil kwadratowych). Był to dobry czas dla protestantyzmu górnośląskiego – po latach zwalczania i marginalizacji za rządów Habsburgów państwo pruskie zaczęło konfesję ewangelicką nie tylko wspierać, ale także faworyzować.

Ks. Pohle pracował wśród wiernych polsko- i niemieckojęzycznych, wśród górników i hutników rodzącego się w rejonie tarnogórskim państwowego przemysłu, wśród pruskich żołnierzy – był kaznodzieją garnizonowym miejscowego szwadronu huzarów. Zbudował nowy kościół Zbawiciela na tarnogórskim rynku oraz pozyskał dla swoich wiernych nowy cmentarz, rozbudował też szkołę, w której czas jakiś sam nauczał. „Za czasów jego posługi duchowej podniósł się wyraźnie poziom religijności wiernych, o czym świadczy szereg datków i legatów na rzecz parafii” – oceniał kronikarz tarnogórskich protestantów, ks. Fedor Bojanowski, w 1892 roku.

Sto lat wcześniej Schummel tak opisał swoje wrażenia ze spotkania z Pohlem: „To dość już posunięty w latach, ale wciąż jeszcze pełen sił, a przy tym zacny, niemiecki mąż. Przyjaciół natury, rozmiłowany w swoim ogrodzie, ranny ptaszek nie mający sobie równych – pierwsze pianie kura zastaje go już na nogach. Doskonale zna mowę polską. Od 30 lat zaznajomiony nie tylko z górnośląskim, ale i z polskim charakterem narodowym, jest człowiekiem, który więcej nam o tych sprawach może powiedzieć niż ci, co wygłaszają o Górnym Śląsku raczej patetyczne deklamacje, aniżeli informują o faktach”. Zarządzanie tak rozległą parafią nie należało do prostych; angażowało wiele sił i energii. Ks. Pohle podupadł na zdrowiu i mimo kilku wyjazdów na kurację, zafundowanych mu przez parafian, zmarł 3 maja 1801 roku, po 44 latach pracy w Tarnowskich Górach.

W „górnoszląską kontrowersję” Pohle włączył się, o ile wiemy, tylko raz, w 1791 roku. W znanym wydawnictwie

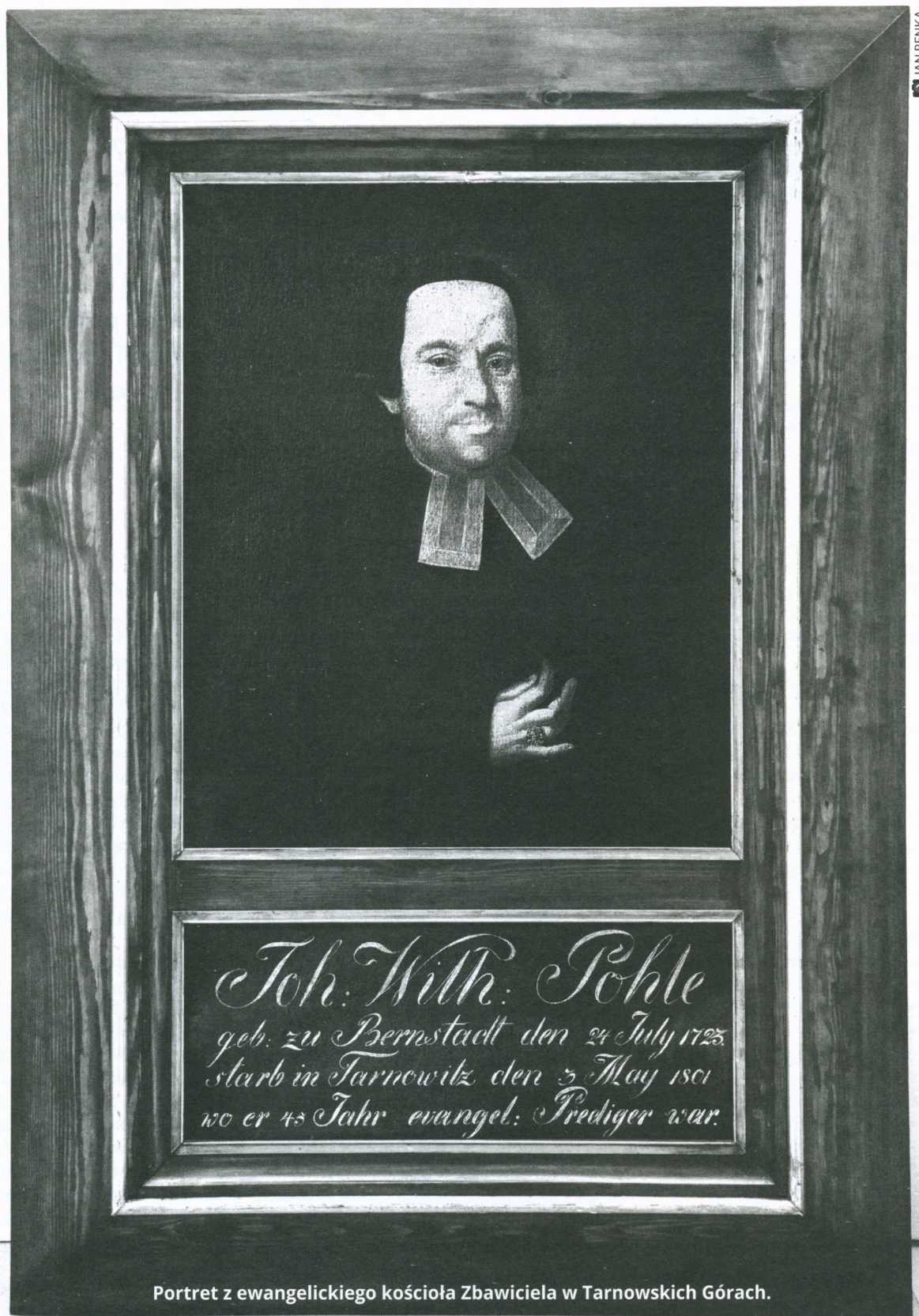
Johann Gottlieb Schummel:
Ks. Pohle „doskonale zna mowę
polską. Od 30 lat zaznajomiony
nie tylko z górnośląskim,
ale i z polskim charakterem
narodowym, (...) więcej nam
o tych sprawach może powiedzieć
niż ci, co wygłaszają o Górnym
Śląsku raczej patetyczne
deklamacje, aniżeli informują
o faktach”.

Gottlieba Wilhelma Korna we Wrocławiu ukazało się wówczas niewielkie, bo liczące zaledwie 35 stron *in octavo*, pismo *Der Oberschlesier, vertheidiget gegen seine Widersacher (Górnoślązak, broniony przed swoimi przeciwnikami)*. Druk był anonimowy, ale najwyraźniej – poświadcza to Schummel – powszechnie identyfikowano autora z Pohlem. Ów przemawiał w imieniu Górnoślązaków, utożsamiając się z nimi (mimo że pochodził z Dolnego Śląska), zwracał się do nich jako do „moich drogich ziomków”. Schummel nie podchodził do pisma bezkrytycznie: polemiczny żar i „ton gniewu i oburzenia”, który z niego bił, uważał za, aczkolwiek zrozumiały, to jednak niestosowny, bowiem nie służący pojednaniu. Utrzymywał też, że w druku tym ks. Pohle zawarł o wiele mniej, niż w istocie wiedział. Trudno by było inaczej – chodziło wszak o krótki szkic polemiczny, nie zaś obszerną analizę regionu i jego mieszkańców.

Ale z dzisiejszej perspektywy *Der Oberschlesier*... jawi się jako ważny głos w debacie o Górnym Śląsku, zachęta do spojrzenia na tę ziemię bez uprzedzeń, do bezpośredniego jej poznania. W tym „bardzo radykalnym piśmie”, jak nazwał je znawca literatury niemieckiej Wojciech Kunicki, odnaleźć można też odległe echa rewolucji francuskiej – autor staje po stronie ludzi niższego stanu i nie stroni od socjalnego krytycyzmu. Pohle, typowy przedstawiciel śląskich pastorów protestanckich, chętnych do chwytania za pióro i zabierania publicznie głosu, przeciwstawił się pewnemu nurtowi opinii publicznej, wskazał nie tylko na błędne sądy i uprzedzenia o regionie górnośląskim, ale także na mechanizm prowadzący do ich mnożenia: ignorancję kryjącą się pod maską erudycji. ■

Sebastian Rosenbaum

– historyk, pracuje w Instytucie Pamięci Narodowej w Katowicach



Portret z ewangelickiego kościoła Zbawiciela w Tarnowskich Górach.

Górnoślązak, broniony przed swoimi przeciwnikami (fragmenty)

Jeśli o tym, czego nie pojmujemy, mamy dużo, bardzo dużo do powiedzenia albo do napisania, a o tym, czego nie znamy, wydajemy śmiałe sądy, to w naszych czasach oznacza, że cechuje nas tak zwany oświecony umysł. Popaść można w pokusę, by uznać, że owo dzisiaj tak bardzo sławione Oświecenie nie na czym innym polega, jeno na przyganianiu i łajaniu. Przy tym nie myśli się nawet o tym, by to, co się łaje, najprzód gruntownie poznać.

33

Wystarcza nam, kiedy coś nam się albo nie podoba, albo jest nie takie, jakie byśmy pragnęli, by było. Jakby już rozstrzygnięto, że wszystko to, czym jesteśmy, co myślimy, co czynimy, jest wyłącznie dobre, prawe i potrzebne, uważamy się za uprawnionych, by nasze mniemania i pomysły narzucać jako prawo innym, zakładając, że nikt nie jest w stanie uczynić rzeczy pożytecznej, jeśli nie działa wedle naszego zalecenia, a każdy jest durniem, kto nie myśli i nie działa jako my. Pisaniu przepisów innym, które w naszych dniach niczym powódź zalewa wszystko, towarzyszy przyganiecie i łajanie, które naszym mądrościom nadać ma pewien rodzaj autorytetu. Owszem, jakże często zdarza się, że przyganiecie i łajanie staje się sposobem zarabiania na chleb. Za swoje dowcipne pomysły na temat innych (prawdziwe czy nieprawdziwe, tego nie bierze się pod uwagę) żąda się zapłaty od publiczności, i na koszt innych zyskuje się wesołą chwilkę. Niemoralności takiego zachowania (złośliwością w naszych wysubtelnionych czasach nie sposób go wszak nazwać) nie chce się zauważyć (...). Inni, owszem, mają wiele słabości, głupstwa, nieudolności, ale my – żadnych. Na nas trzeba się oglądać, wedle nas postępować, naszych wskazówek słuchać; my bowiem jesteśmy mistrzami, a gdy pomrzemy, mądrość umrze wraz z nami (...).

Cóż mamy czynić? Często słyszałem to pytanie z ust znanych Górnoślązaków i zawsze popadałem w zakłopotanie, gdy na kwestię tę udzielić miałem odpowiedzi. Bowiem panowie oświeceniowcy do dziś jeszcze nie powiedzieli nam wyraźnie, w czym to nas, Górnoślązaków, zamierzają oświecić. Jak dotąd tylko nas łajali, odmawiali nam nie tylko zwykłego ludzkiego rozsądku, ale zgoła człowieczej postaci, uznawali nas za zaledwie półludzi niewychowanych, pijaków, leniwe stworzenia, z oczami głęboko osadzonymi w czaszce i zarośniętymi czołami, czynili nam propozycje polepszenia naszej rasy poprzez żeniaczki z dolnośląskimi dziewczętami wiejskimi, abyśmy w ten sposób stali się podobnymi innym ludziom, i tak dalej. Jednakże nikomu z nich jeszcze nie wpadło do głowy, by się zastanowić, czy też wszystko, co o nas prawią, jest prawdziwe. W swoich umysłach wytworzyli sobie obraz Górnoślązaka, takiego, jakim życzyli go sobie widzieć, aby następnie móc solidnie mu nauragać. Ale niczego o nas nie wiedzą, albo lepiej jeszcze, tego, co gruntowne i prawdziwe nie chcą ani wiedzieć, ani widzieć, ani słyszeć. A kiedy ktoś, kto pośród Górnoślązaków zdążył się zestarzeć, i pragnie nas [Górnoślązaków] oświeceniowcom przedstawić bliżej, wtedy nie chcą na kogoś takiego nawet zwrócić uwagi; sprawia im bowiem ogromną

przykrość, że zmyślone łgarstwa na nasz temat miałyby być nieprawdziwe, i dalej tokują o oświeceniu, nie mówiąc ani słówka, na czym miałoby ono polegać. Nie sądzę, iżby chodziło o oświecenie w rzeczach moralności; bowiem etyczne prowadzenie się Górnolązaków jest niemal nieskazitelne; co najwyżej przez długie lata, które pośród Górnolązaków mieszkalem, utraciło wiele z pierwotnej prostoty i trzeba by rzec, że przypominamy teraz bardziej naszych oświeconych sąsiadów niż ongiś. Ale przecież nasze cnoty wciąż jeszcze są bardziej nienaganne, niż sobie o tym oświeceni myślą; pragnąłbym, aby ktoś zadał sobie trud i przyjrzał się temu, w jakiej relacji do naszych sąsiadów, którzy zamierzają nas oświecać, znajduje się polski Górny Śląsk (to bowiem jest właściwy kozioł ofiarny) w obliczu rozmaitych wybrzydłości; wtedy okaże się, że nie jest w żadnym razie przesadą, jeśli powiemy, że w całym jednym górnoląskim powiecie z pewnością nie znajdzie się tylu bękartów, ile w jednej tylko wsi z naszego sąsiedztwa, a wyczytać to można jednoznacznie z ksiąg metrykalnych chrztów, prowadzonych przez duchowieństwo w swoich parafiach. Z tej strony rzecz biorąc, oświecenie nas nie wchodzi w rachubę.

Swego czasu czytać można było w tak zwanym „Tygodniku Górnoląskim”, uknutym na Dolnym Śląsku, zda mi się, że było to w roku 1786, w miesiącu marcu, pod tytułem *Obyczaje ludowe*, jako to pewien Uczony Podróżny podczas swej podróży dotarł w ostatki do górnoląskiego miasteczka Mikołów. Odkrył tu, że parobkowie mieli zwyczaj zabierania do tańca małych pejczy; ponieważ ów uczony podróżny wszystko, nawet pejczy zawieszane na futrze, uznawał za godne swej uwagi, zwrócił się tedy do mieszkającego tam wówczas felczera szwadronowego. Trafił pod właściwy adres: mianowicie do kogoś, kto uwielbia, jak to się powiada, robić innych w konia. Z umysłu owego felczera wychynął nowy zwyczaj ludowy. Historię tę opowiedział mi on z wielką radością następnego dnia po tym, jak się wydarzyła, a była ona następująca: każdy wie, że w stronach katolickich ostatki obchodzone są przez lud pracujący, szczególnie przez służbę, obżarstwem i tańcami, i że szczególnie ludek młody, a niezamężny, tłoczy się po gospodach. Wieczorem pojawił się pocztynion z pocztą, ale że chętnie zaliczyłby choć jeden taniec, tedy zawiesił sobie pejcz na guziku na piersiach, aby wyjść bez szwanku z tanów, w które dzielnie ruszył. Tegoż człowieka zauważył nasz Uczony Podróżny i o niego zapytał felczera, a ten od razu wpadł na pomysł i objaśnił, że wielu parobczaków zaopatruje się w niewielkie pejczy, po to mianowicie – i oto felcher wywiódł cały obyczaj ludowy – aby ponętne dziewczyny swym spowiednikom dowodzić mogły, że wybryki z chłopakami, na które sobie pozwoliły podczas siewów, dokonały się pod przymusem pejczy. Śmiało się z jego pomysłu, w rzeczywistości bardzo miernego, ale nawet nie wpadlibyśmy na pomysł, że Uczony Podróżny to jawne głupstwo objawi światu w druku, a mniej jeszcze, że ktoś to przedrukuje i zgola w to uwierzy – a tak właśnie się stało. Poważnie mówiąc, mamy do czynienia z kłamstwem nie mającym nic wspólnego z obyczajami kraju; wy, moi drodzy ziomkowie, dobrze o tym wiecie, ale teraz wyobraź-

cie sobie oświeceniowca, który swoje trzy grosze wtrącić chce do waszego udoskonalenia; wiem, że litujecie się nad jego dobrą wolą.

Nasi oświeceniowcy powiadają: jesteście pijaczynami i opojami, a winniście być trzeźwi, jak mają to w zwyczaju porządni ludzie; zasłużyłoby to z pewnością na pochwały. Ale od kiedy to lisy głoszą kazania biednym gąskom? Należą oni wszak do narodu, który od niepamiętnych czasów (czy słusznie, czy niesłusznie, niech rozstrzygną to inni) znosi zarzuty nieumiarkowania w jedzeniu i picu, a mimo to chce prawić kazania o trzeźwości. Wszakże i pośród was, Górnolązaków, nie brakuje takich nędzników, którzy opilstwem nie tylko zdrowie tracą, ale i resztki swego ubożego posiadania; ale jeśli oceniać na podstawie tego, co o was powiadają oświeceniowcy, tedy uznać by trzeba, że są na Górnym Śląsku całe miasta i wsie i zgola powiaty, które codziennie pogrążają się w pijaństwie – czy jest tak w istocie? Ja sam widziałem w tym i owym szynku w sąsiadujących z nami ziemiach ludzi pijanych, a w tej i owej gospodzie, gdzie wódkę leją, ludzi, co w niedzielę tam przybywszy, w sobotę wciąż jeszcze siedzieli i ani na błagania ich żon, ani na głodowanie dziatek nie mieli względu i nie wcześniej szli do domów, niż wszystko przepili. Stawiając zatem wniosek, że [Dolny Śląsk] to kraj pijaków, jakież byśmy larum usłyszeli! Czy nie łajano by mnie jako bezlitosnego oszczerce? I miano by rację. Gdzież mamy taką prowincję, w której nie spotkamy pijaczków? Znajdziemy ich pośród galantów i ludzi prostych, i z góry założyć można i to bez wątpienia, że nie inaczej jest na Górnym Śląsku (...).

Ale powiada się, że Górnolązak jest leniwy. Należałoby w tym względzie poprosić naszych oświeceniowców o objaśnienie, jakież to są ich zdaniem oznaki, po których bezspornie rozpoznać można osobę leniwą? Jeśli kto siebie, swoich bliskich i swoich panów żywi przez całe stulecia (a przy tym częstokroć swych bliskich żywi skromnie, panów zaś – dostatnio), tedy nie wiem, jak ludzi takich, którzy musieli wypracować wszystko dla siebie i dla innych, i do dziś wypracowywać to muszą, oskarżać można o lenistwo? Wasi oświeceniowi oskarżyciele najlepiej poznaliby, czy istotnie jesteście leniwi, gdyby na kilka miesięcy zastąpili was w waszych miejscach pracy. O, czegoż byśmy wtedy nie widzieli i nie słyszeli! Jakże szybko pojęliby owi panowie, że siły Górnolązaka nie są stalowe, i że, jak każdy człowiek pracy fizycznej, stale, codziennie do niej zmuszony, szuka każdej okazji, by wypocząć. Przedziwnie to wygląda, gdy dożywni próżniak, co całe swe życie nie wykonuje ciężkiej i stałej pracy, rozstrzyga o pracowitości bądź lenistwie innych; pewnie łatwo przyglądać się pracy fizycznej albo i wydawać polecenia jej wykonywania, czym innym jednak spróbować jej choćby przez kilka godzin. Jeśli ma się choć odrobinę znajomości ludzi i odrobinę wyobraźni, na tyle, by postawić się na miejscu nieprzerwanie pracującego bliźniego, wtedy łatwo pojąć, jak naturalną dla nas wszystkich rzeczą jest to, że chwytamy każde okoliczności skłaniające do wypoczęcia, nawet jeśli dzieje się to ze szkodą dla naszych obowiązków, i jak niesłuszne jest czynienie nam z tego tytułu zarzutu lenistwa.

Der Oberschlesier

verteidiget gegen

seine

Widersacher

1791.



Breslau, bey Wilhelm Gottlieb Korn.

I powiada się dalej, że polski Górnolązak jest złodziejem. Oskarżenie to łatwo odeprzeć, albo przynajmniej uświadomić sobie, czy jest prawdziwe, gdy się przejrzy listy naszych więzień i twierdz, w których pod kluczem umieszcza się i karze złodziei, a następnie wyliczy średnią z kilku lat, co tak jest popularne w naszej epoce. Wtedy okaże się, czy w stosunku do innych ludzi polski Górnolązak słusznie oskarżany jest o skłonność do złodziejstwa. Stawiam dzie sięć do jednego, że na pewno z zarzutu tego wyjdzie oczyszczony. Od co najmniej 30 lat mieszkam w tym owianym złą sławą kraju i spotkałem się z niewieloma włamaniami, a mniej jeszcze z włamaniami dokonanymi przez Górnolązaków. Złodziejami bywali zwykle mistrzowie w swoim fachu z oświeconych stron. Kto tylko pobyl trochę na Górnym Śląsku, ten znajdzie, że szczególnie w dworach szlachty, w sieniach domów, goście rzucają zwykle luzem swe futra podróżne albo płaszcze i nigdy jeszcze nie słyszano, aby coś z tego skradziono, chyba że znalazł się jakiś obcy zainteresowany w przywłaszczeniu sobie cudzego mienia (...).

Jakże wielu górnolązkich właścicieli majątków zabrało ze sobą na Dolny Śląsk polskich Górnolązaków, których wierność była im znana, a jeśli zapytać wojskowych, pod

których dowództwem w armii królewskiej służyli Górnolązacy, to z pewnością wystawią świadectwo ich wierności (...).

Dochodzę teraz, drodzy moi ziomkowie, do waszego głównego przestępstwa, a jest nim to, że mówicie po polsku, a co więcej, że mówicie źle po polsku. Ale któż najgłośniej o tym woła? Ci mianowicie, którzy mowy tej nie znają, a zatem wyrokować na ten temat w ogóle nie mogą, zaś wszystko, co wiedzą, zaczerpnęli ze słyszenia. Gdyby bowiem znali język, tedy wiedzieliby, że polski Górnolązak mówi po polsku nierównie lepiej niż polski Dolnolązak. Ich wymowa samogłosek różni się od czystej wymowy Polaków, ale spółgłoski zwykle wymawiają czysto i wyraźnie. Jeśli ktoś zna choć trochę tę mowę i kraj, w którym nią się włada, ten wie, że w Polsce, na przykład na Mazurach, dialekt niewiele lepszy, jeśli zgoła nie gorszy jest niż na Górnym Śląsku. W stronach graniczących z Morawami wplątuje się czasem jakie morawskie słówko do języka, ale kogóż może to razić? Czy nie jest rzeczą zwyczajną, że sąsiedzi znad granicy nawzajem mieszają swoją mowę? Czy nie jest tak samo z granicą niemiecką i dolnoląską, jak z mową morawską na granicy Moraw? Któż rozsądny może łajać swego pracującego bliźniego, znajdując go nieuważnym wobec takich językowych drobnostek? Ludzie tego rodzaju nie rozmawiają, aby mowę swą ozdabiać i doskonalić, ale aby być zrozumiałym dla innych i innych rozumieć, aby dopomóc swym interesom i potrzebom (...). Albo czy Górnolązak nie rozumie mówiącego wysoką polszczyzną Polaka? Co najmniej równie dobrze, jak Dolnolązak Niemca mówiącego wysokoniemieckim. Zabawnie nam czytać, że krytykują nas z Dolnego Śląska, gdzie jak wiadomo chłopstwo bardzo nędzną niemiecką przemawia, czyniąc nam zarzuty, że Górnolązak mówi złą polszczyzną. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że Górnolązak daleko lepiej mówi po polsku niż Dolnolązak po niemiecku, a z drugiej strony – dlaczegoż to Górnolązak nie miałby posługiwać się polską mową? Czy mówienie po polsku przeszkadza komu stać się mądrym? (...).

Po znaczeniu nazw miast i wiosek jakiegoś kraju rozpoznaje się bez wątpliwości, jakim językiem przemawiał u swoich początków. Co znaczy po niemiecku Glogau, Buntzlau, Wohlau, Jauer, Breslau, Brieg? A po polsku wszystkie te nazwy mają swoje znaczenie! (...).

Nie jest więc prawdą, że [Górnolązak] jest głupcem, nie jest prawdą, że nie ma talentów, nie jest prawdą, że jest nieudolny. Jeśli już trzeba go łajać, to nie zasługuje na więcej krytyki niż jego sąsiedzi. Jeśli się wie, co można z nim osiągnąć i chce się to osiągnąć, tedy należy go zupełnie inaczej traktować, niżli dotąd opinia publiczna to czyniła. Przy założeniu, że nie lepszy jest od zwierzęcia, tak właśnie, jak zwierzę, traktuje się go. Ale Górnolązak już to rozumiał i zaczyna kpić ze swoich oświeconych nauczycieli. ■

Przekład z jęz. niemieckiego: **Sebastian Rosenbaum**

Johann Wilhelm Pohle (1725–1801)

– proboszcz parafii ewangelickiej w Goczałkowicach i przez 44 lata w Tarnowskich Górach



Anna Seemann-Majorek

W służbie biednych i cierpiących

Miechowice, leżące w samym sercu Górnego Śląska, gdzie dawniej biegł główny trakt z Pyskowic do Bytomia, będący jednocześnie częścią szlaku handlowego Wrocław – Kraków, to obecnie jedna z dzielnic Bytomia. Ta urokliwa wieś, mająca wielowiekową górniczą tradycję, została wcielona w struktury miasta dopiero w 1951 roku.

Józef Bonczol, miejscowy dziejopis, podaje, że „u schyłku XVIII wieku Miechowice były jeszcze podupadłą i zupełnie zaniedbaną wsią”. Sytuacja powoli zaczęła się zmieniać, gdy teren przeszedł w ręce Ignacego Domesa, a później jego zięcia – Franciszka Aresina. Uruchomienie we wsi pierwszej kopalni w 1823 roku oraz stopniowe znoszenie poddaństwa chłopów wprowadziło Miechowice w nową epokę. Choć przemysł kwitł, zwiększało się zaludnienie, a zabudowania rozrastały się w szaleńczym tempie, bieda wśród miechowiczian nadal miała się jednak całkiem dobrze.

Zakłady opiekuńcze

Gdy po śmierci Aresina jego miejsce zajął Franciszek Winckler, zaczęto inicjować pierwsze – mniej lub bardziej formalne – akcje wsparcia socjalnego dla potrzebujących. Winckler, który swoją pozycję zdobył ciężką pracą, doskonale znał wartość pieniądza. Należał do grupy postępowych przemysłowców, którzy rozwój biznesu wiązali z troską o warunki bytowe swoich pracowników. Cieszył się sporym zaufaniem wśród prostych robotników. Jego postawa wywarła niezatarty ślad na życiu córki. Waleska znana była ze swej opiekuńczej i troskliwej natury. Bardzo często odwiedzała miechowiczian w ich chałupach, przynosząc im leki, opatrunki i jedzenie. Potrzeby ludu były bowiem ogromne. Degeneracja społeczeństwa, pogłębiający się alkoholizm, prostytutka wśród młodocianych, choroby, kalectwo czy sieroctwo to tylko niektóre z problemów, z jakimi trzeba było wówczas się zmierzyć.

Pod koniec XIX wieku w miechowskiej wsi działały już dwa ośrodki klasztorne zajmujące się działalnością charytatywną i opiekuńczą. Choć były prowadzone w duchu odmiennym konfesyjnie, miały jeden cel – ulżyć w cierpieniu potrzebującym. Pierwszy zakład opiekuńczy (Ostoja Pokoju – 1890 r.) powołała Ewa von Tiele-Winckler, zstępną miechowskich właścicieli, wnuczka Franciszka Wincklera. Z czasem założyła przy nim ewangelicki diakonat dla kobiet (1892 r.) i ewangelicką parafię (1896 r.). Drugą placówkę założył ks. Jan Kuboth, proboszcz katolickiej parafii św. Krzyża, który sprowadził do niej z Wrocławia siostry elżbietanki (1897 r.). Nawiasem mówiąc, w samym Wrocławiu działały już wówczas prężnie dwa ewangelickie diakonaty. Pracę elżbietanek przez trzy lata wspierali ojcowie kamilianie, którzy prowadzili przy klasztorze lecznicę dla alkoholików. Później, dzięki staraniom hrabiego Łazarza Henckel von Donnersmarcka zakonnicy przenieśli się do Tarnowskich Gór, a nad miechowskimi alkoholikami opiekę roztoczyli pracownicy protestanckiej fundacji Błękitny Krzyż, której filia znajdowała się na terenie Ostoi Pokoju.



Protestancki Bytom

Miechowska parafia św. Krzyża liczy ponad 680 lat. Zastanawiające jest, jak potoczyły się losy parafii i mieszkańców wsi w okresie reformacji – sąsiedni Bytom w XVI wieku stał się niemal całkowicie miastem protestanckim. Czy i do maleńkiej wioski dotarły jakieś strzępy luterskich rewolucji? Jedyne, co możemy stwierdzić dziś z całą pewnością, to fakt, że do rozwoju protestantyzmu w Miechowicach przyczynili się Tiele-Wincklerowie. Co prawda miało to miejsce trzy wieki później, ale na trwałe wpisało się w historię Miechowic. Potocznie uważa się, że to właśnie ślub Waleski Winckler – spadkobierczyni fortuny Marii Domes (*primo voto* Aresin, *sekundo voto* Winckler) – z Hubertem von Tiele był początkiem osiedlenia się ewangelików w Miechowicach. Natomiast powołanie Ostoi Pokoju zaowocowało ugruntowaniem się społeczności ewangelickiej na tym terenie. Bonczol podaje, że w 1895 roku w Miechowicach mieszkało 121 ewangelików, a 146 w Bobrku i Karbiu.

Zanim wybudowano w Miechowicach kościół ewangelicki (1898 r.), miechowiccy ewangelicy należeli do parafii w Bytomiu. W tym miejscu należy jednak zaznaczyć, że Hubert von Tiele nie był pierwszym ewangelikiem, którego drogi życiowe krzyżowały się z Miechowicami. Matka Waleski Winckler – Alwina Kalide – pochodziła z rodziny znanych chorzowskich ewangelików. Alwina zmarła, gdy Waleska była małą dziewczynką. Jej wychowaniem zajęli się ojciec i macocha – oboje wyznania katolickiego. Choć Waleska przyszła na świat w Łagiewnikach koło Królewskiej Huty, a do miechowskiego pałacu wprowadziła się dopiero po ślubie ojca z Marią Domes, to czyż można pominąć w tych wyliczeniach postać wybitnego rzeźbiarza Teodora Erdmanna Kalidego, który z całą pewnością uczestniczył w życiu swej siostrzenicy Waleski? Równie istotną postacią jest ewangelik Fryderyk Grundmann – przyjaciel Franciszka Wincklera ze szkolnej ławki oraz jego doradca, a później zarządca dóbr Huberta i ojciec chrzestny Ewy von Tiele-Winckler.

Ponadwyznaniami

Śląsk zawsze słynął z wielokulturowości. Na tym terenie żyli obok siebie ludzie o odmiennej przynależności religijnej, wyznaniowej, narodowej i etnicznej – w szczególności Górny Śląsk od wieków jest swoistym tygłem wielu kultur. Miechowice nie odbiegają od tego wzoru. W roku 1927 mieszkali w nich katolicy (88,5 proc.), ewangelicy (7,3proc.), Żydzi (0,2 proc.), Romowie i inni, w tym także bezwyznaniowcy (4 proc.). Drzwi założonego przez Ewę von Tiele-Winckler ośrodka były otwarte dla każdego. Służba Ewy miała charakter ponadwyznaniowy i ponadkulturowy. W jednym z budynków na terenie Ostoi Pokoju znajdowała się wielka sala z witrażem przedstawiającym św. Jadwigę Śląską, w centralnym punkcie ustawiona była menora, a bezpośrednio nad wejściem znajdował się napis „Bóg wysłuchuje modlitw”. Natomiast w Domku Matki Ewy wisiała stara ikona, która według wspomnień diakonis uratowała chatę i jej mieszkańców w czasie tzw. masakry miechowskiej roku 1945.

Jedni otwartość Matki Ewy i gotowość pomocy szanowali i podziwiali, inni kompletnie nie rozumieli idei i założeń, jakimi kierowała się miechowska dziedziczka. W 1920 roku w „Górnoślązaku” ukazała się notka pióra ks. Jarczyka szkalująca działania Ewy von Tiele-Winckler i miechowskiej Ostoi Pokoju (podobny wydzwisk miały krótkie teksty opublikowane na łamach „Katolika”). Wzywano ludność katolicką do opamiętania i nieulegania współczuciu wobec biedy i cierpienia licznych katolickich sierot objawiającego się oddawaniem tychże pod opiekę Matki Ewy z Miechowic („Te dzieci przepadły dla narodu polskiego, a po części dla wiary katolickiej” – pisano).

Ekumeniczne wychowanie w poszanowaniu poglądów i tradycji przodków sprawiło, że Ewa nie postrzegała Boga w kategoriach konfesyjnych. Angażowała się w działalność misyjną i ewangelizacyjną organizowaną przez różne środowiska i związki wyznaniowe, lecz nie agitowała na rzecz któregośkolwiek z Kościołów, tylko Boga. Bóg stanowił swego rodzaju uniwersum. Był ponad podziałami – po prostu był Ojcem dla wszystkich. Wobec tej prawdy reszta nie miała żadnego znaczenia. Józef Chociszewski, redaktor „Górnoślązaka”, w 1920 roku ubolewał nad tym, że przyzwolenie zawierania mieszanych małżeństw jest główną przyczyną strat, jakie ponosi Kościół katolicki. Nie było ważne to, że dwieście sierot znalazło bezpieczny dach nad głową i fachową opiekę u boku Matki Ewy. Najistotniejszą kwestią stały się statystyki, a bezduszna instytucjonalizacja religijności i nacjonalistyczne zapędy kleru tylko podsycaly ten problem.

Do dziś przynależność konfesyjna Ewy von Tiele-Winckler budzi żywe dyskusje. Największą kością niezgody jest powielana plotka o konwersji Ewy. Wszystkie dzieci Waleski i Huberta von Tiele-Wincklerów zostały ochrzczone w Kościele katolickim. Właściwie odbyło się to wbrew panującym wówczas zasadom (od połowy XVIII wieku w rodzinach, w których małżonkowie byli odmiennej przynależności wyznaniowej, dziewczynki powinny być wychowywane w wyznaniu matki, a chłopcy – ojca, a od 1803 roku to wyznanie ojca wyznaczało nurt wychowawczy). Dlaczego tak postąpiono? Nie wiadomo. Być może wy-



Matka Ewa ze swoimi podopiecznymi.



Wnętrze budynku Świętość Panu (widoczna menora).

ARCHIWUM MUZEUM „DOMEK MATKI EWY” W BYTOMIU-MIECHOWICACH

jaśnienia należy upatrywać w tym, że kościół św. Krzyża został ufundowany przez macochę Waleski. Stanowił więc ważną część życia rodzinnego Winc-klerów, a także był jedyną świątynią znajdującą się wówczas w Miechowicach. W zachowanych dokumentach parafialnych brak adnotacji o tym, by młodziutka Ewa przystąpiła do kolejnych sakra-mentów w Kościele katolickim. Wiemy natomiast, że w 1884 roku podeszła do konfirmacji w Berlinie. Skoro nie przyjęła bierzmowania, będącego według pragmatyki Kościoła katolickiego sakramentem koniecznym do dopełnienia się łaski chrztu, a więc umacniającym i podtrzymującym życie w wierze, to czy można mówić o konwersji?

Przez wiele wyznań chrześcijańskich chrzest jest rozumiany podobnie. Dowodem tego jest fragment podpisanej przez katolików i ewangelików deklaracji jedności chrztu („Chrzest w Chrystusie jest wezwaniem dla Kościołów, aby przewyciężyły swoje podziały i w widzialny sposób zmanifestowały swoją wspólnotę”). Taka jedność była dla Ewy regułą nadrzędną. Dzięki niezwykle wrażliwości i wy-jątkowej empatii stworzyła instytucję, która do dziś w pamięci jej beneficjentów funkcjonuje jako ostoja spokoju, miłości i wzajemnego szacunku. Stopnio-we odkrywanie świadectw działalności Matki Ewy i diakonis Ostoi Pokoju w innych częściach kraju po-twierdza tę prawidłowość. Siostry z miechowickiego diakonatu służyły potrzebującym w Warszawie (po-mimo różnic wynikających z innego wychowania, tożsamości lokalnej, obowiązującego języka pań-stwowego – niemieckiego na Śląsku, rosyjski w War-szawie). Zorganizowały Dom Sierot Wojennych w Łodzi w 1915 roku i prowadziły go pomimo zmian politycznych, odrodzenia się państwa polskiego, po-wstania granicy między Polską (Łódź) a Niemcami (Bytom), dbając o dzieci ewangelickie i katolickie, sieroty niemieckie i polskie. Robiły to tak dobrze, że po zakończeniu działań wojennych władze miejskie zdecydowały się dotować ów dom dla sierot.

Ewa von Tiele-Winckler porzuciła bogate życie na salonach. Wybrała skromność, prostotę i ciężką pracę. Podczas gdy wiele dziewcząt marzyło o bajecznym bogactwie, Ewa pragnęła ukojenia dla wszystkich udręczonych i cierpiących ludzi. Dzięki niej Miechowice zasłynęły w świecie, pozostając w sferze zainteresowania historyków religii, kultury i dobroczynności aż do dnia dzisiejszego. ■

Anna Seemann-Majorek

– kustosz w Muzeum „Domek Matki Ewy”
w Bytomiu-Miechowicach, wiceprezes Ewangelickiego
Stowarzyszenia Kultury

Ryszard Kaczmarek

„Spokojni ludzie” z Hołodunowa

Podobno w ewangelickiej parafii hołodunowskiej znajdowała się prowokująca sentencja Ottona von Bismarcka z 1888 roku, powtórzona 2 sierpnia 1914 roku przez cesarza Wilhelma II podczas jego przemówienia w Berlinie, która stała się symbolem triumfującego nacjonalizmu niemieckiego: „My, Niemcy, boimy się tylko Boga, poza tym niczego innego na świecie” („Wir Deutsche fürchten Gott, sonst nichts in der Welt”).

40



Ten napis zniszczony został w dramatycznych okolicznościach w czasie II powstania śląskiego, po wtargnięciu na parafię hołdunowską polskich powstańców. Ponure wydarzenia zakończyły się spaleniem części budynków, a Hołdunów od tej pory przez kolejne dziesięciolecia był pokazywany jako dowód bezprawia powstańców. Na wielu tzw. wyspach niemieckich na Górnym Śląsku podsycono w ten sposób obawy przed przyszłością ewangelików w państwie polskim, utrwalając stereotyp ewangelika – niemieckiego nacjonalisty.

Uciekinierzy z Rzeczypospolitej

Hołdunów był specyficznym miejscem. Mieszkańcy wsi byli konserwatywnymi protestantami, żyjącymi w zamkniętej, odseparowanej wspólnotie. Mówili po niemiecku, ale w dziwnym dialekcie, więc z trudem rozumieli ich nawet ci, którzy tym językiem sprawnie się posługiwali. Po I wojnie światowej mało kto już pamiętał, skąd wzięli się pośród wyłącznie katolickich wiosek otaczających tę miejscowość.

A była to historia nietypowa nawet dla skomplikowanych dziejów całego górnośląskiego protestantyzmu, który po okresie kontrreformacji swój nowy początek na Śląsku znalazł dopiero po wojnach śląskich i wprowadzeniu tolerancji religijnej przez króla pruskiego Fryderyka II w 1742 roku. Ewangelicy z Hołdunowa nie należeli jednak do grupy odradzających się wówczas luteranckich parafii. Nie byli nawet luteranami, bo należeli do Kościoła reformowanego. Wprawdzie i kalwinom Fryderyk II zapewnił wolność religijną, ale poza niewielkimi grupami zbiegów z Czech, którzy znaleźli schronienie w powiecie opolskim, na Górnym Śląsku zborów kalwińskich w połowie XVIII wieku nie było. Dopiero w latach 70. tego stulecia powstała najpierw niewielka gmina kalwińska w Radomierowicach, którą założyli emigranci z Polski i Hesji. Do niej dołączyły w 1770 roku nowe kolonie Anhalt (Hołdunów) i Gatsch (Gać) leżące nieopodal Pszczyny, założone przez 64 rodziny uciekinierów z Rzeczypospolitej. Mieszkali oni od XVI wieku w Kozach, ale w drugiej połowie XVIII wieku, oskarżając o ucisk miejscowego polskiego feudała Spytkę Jordana, który zaczął zmuszać ich do ciężkiej pracy przy wypalaniu wapna, zwrócili się o pomoc do księcia pszczyńskiego. Ten nie tylko zapewnił im wojskową eskortę dowodzoną przez pruskiego porucznika huzarów Georga von Woyrscha, ale zagwarantował także uznanie ich wolności osobistej i osadzenie na prawie wolnych chłopów. Za przydzieloną ziemię płacili czynsz, a nie odrabiali pańszczyzny. 220 wozów z około 300 uciekinierami zostało przeprowadzonych przez szwadron pruskiej kawalerii przez leżącą nieopodal polsko-pruską granicę, co świadczyło o słabości ówczesnej Rzeczypospolitej w okresie walk z konfederatami barskimi i narastających agresywnych roszczeń terytorialnych sąsiadów. W tym samym roku 1770 Austria bezprawnie zajęła jeszcze leżące niedaleko Kóz starostwo sądeckie, a dwa lata później doszło z inicjatywy Prus do I rozbioru Polski.

Kalwińska wyspa

Wyznaniowo hołdunowscy kalwini wśród górnośląskich protestantów pozostali wyjątkiem. Gmina nie należała nawet do luteranckiego nadkonsystorza w Opolu, razem z nielicznymi kalwinami z Wrocławia i Głogowa znajdowała się pod bezpośrednim nadzorem kościelnym Berlina. Ta wyjątkowość spowodowała, że głośno o nich było w państwie Hohenzollernów już w XVIII wieku, a przyczynił się do tego jeden z najbardziej zasłużonych dla protestantyzmu pruskiego teolog i filozof Friedrich Schleiermacher. Jego ojciec, pietysta, Johann Gottlieb Adolph Schleiermacher, był pierwszym pastorem gminy w Hołdunowie. Z małżeństwa Schleiermachera seniora z córką znanego berlińskiego księdza i kaznodziei Tymoteusza Stubenraucha pochodził syn – Fryderyk – urodzony w 1768 roku we Wrocławiu. Przyszły teolog i filozof dorastał już w nowym otoczeniu. Jego ojciec po objęciu stanowiska hołdunowskiego pastora ożenił się po raz drugi z córką książęcego cukiernika z Pszczyny, Christiane Karoline Kühn, a jedna z córek z tego związku, Nanny, poślubiła potem znanego ze swojej patriotycznej działalności niemieckiego historyka i publicystę Ernsta Moritza Arndta.

Sam Friedrich Schleiermacher stał się jednym z głównych promotorów unii obydwu wyznań protestanckich: kalwinów i luteranów. Już po studiach w Halle, jako profesor Uniwersytetu w Berlinie, stał się propagatorem protestantyzmu jako konfesji opartej na łączeniu oświeceniowej fascynacji postępow z liberalną zasadą wolności. Wyrażał to w prostej deklaracji: „Co jest istotą religii? To odwaga, a więc coś przeciwnego egoizmowi. To miłość, a więc coś przeciwnego egoizmowi. Człowiek religijny przyjmuje wszystkie słabości, choroby, smutki i idzie dalej, by czynić dobro dla wspólnoty. To jest wolność, a więc coś przeciwnego służalczości”. Stąd jego wsparcie dla idei unii obydwu protestanckich wyznań w 1817 roku, którą widział jako wstęp do realizacji prezbiteriańskiej wizji Kościoła z ograniczeniem uzależnionego od władcy konsystorza.

Przeżył jednak rozczarowanie, unia miała charakter tylko powierzchowny. W Hołdunowie też nie odbyło się to bezkonfliktowo. Szczególnie duże emocje budziła kwestia przyjmowania wspólnie komunii. Do miejscowych nielicznych luteranów specjalnie dwa razy w roku przyjeżdżał początkowo nadal specjalnie luterancki duchowny, ponieważ większość członków wspólnoty uznawała tylko symboliczny charakter dzielenia się chlebem i winem. Dopiero po zmianie na stanowisku proboszcza, kiedy na czele parafii hołdunowskiej w 1830 roku stanął Carl Friedrich Beer, zdecydowany zwolennik unii, spory stopniowo zaczęły wygasać. Pamięć o odrębności hołdunowskiej wspólnoty od reszty ewangelików pozostała żywa w tej społeczności aż do końca jej istnienia. Podczas kolejnych rocznic upamiętniających założenie parafii, mimo przynależności najpierw do pruskiego Kościoła Unijnego, a potem Kościoła Unijnego na polskim Górnym Śląsku, tę własną tradycję wolności i działania na rzecz dobra wspólnoty przypomniano i pielęgnowano.

Spłonęło 14 domów

Kiedy kończyła się I wojna światowa, Hołdunów był jedyną wsią na ziemi pszczyńskiej, w której stała tylko protestancka świątynia. Mieszkańcy gminy byli wyjątkiem na obszarze rejencji opolskiej, gdzie liczba ewangelików sięgała zaledwie 10 proc. Przez ponad 100 lat odmienne wyznanie, a przy tym pielęgnowana odrębność językowa i kulturowa spowodowały, że leżące obok wsie – katolickie Łędziny i ewangelicki Hołdunów – nie ulegały homogenizacji, ale jednocześnie ta odrębność nie stawała się źródłem konfliktu. Dopiero w burzliwych powojennych latach, kiedy do różnic wyznaniowych dołączył się narodowy spór niemiecko-polski, konflikt o przyszłość państwową Śląska nie ominął i tej wioski.

Według niemieckich relacji hołdunowian zaczęto właśnie w tym okresie w sąsiednich polskich i katolickich miejscowościach wytykać palcami jako obcych. Narastającej nienawiści po obydwu stronach nie udało się pohamować w pierwszych dniach II powstania śląskiego. 14 domów usytuowanych w północnej części wsi, w których mieszkało 20 rodzin, stanęło w ogniu, kiedy powstańcy szukali wśród niemieckich kolonistów broni. Wzywający bezskutecznie pomocy pastor Gustaw Treutler spotkał się z odmową interwencji ze strony policji niemieckiej (Sipo) z Bierunia. Niemieccy funkcjonariusze nie odważyli się ruszyć do wsi całkowicie opanowanej przez powstańców, sugerując szukanie ratunku u wojsk sojuszniczych w Mikołowie. Kiedy Treutler wrócił do częściowo zniszczonej już wsi, został zatrzymany przez powstańców. Na szczęście dzięki interwencji łędzińskiego księdza znalazł schronienie w katolickiej parafii. Patrol policji bezpieczeństwa (jeden oficer i siedmiu policjantów) dotarł w końcu do Hołdunowa po południu 20 sierpnia 1920 roku, ale było już za późno. Sytuacja się wprawdzie uspokoiła, ale dramat już się, niestety, rozegrał.

Następnego dnia z Mikołowa przyjechali reprezentujący Komisję Międzysojuszniczą inspektor powiatowy mjr Caricati i nieznanego nazwiska oficer francuski z Katowic, obiecując ochronę ludności cywilnej. Wojska sojusznicze do Hołdunowa jednak nie dotarły i miejscowość pozostała pod kontrolą powstańców. Dowodzący nimi, a pochodzący z leżącej nieopodal osady Świnowy komendant miał wówczas z żalem stwierdzić, że: „Hołdunowianie to spokojni ludzie, pomagali mi nawet w budowie mojego domu. Gdybym był w Hołdunowie 20 sierpnia, to nie doszłoby do tego nieszczęścia”.

23 sierpnia do hołdunowskiej parafii przyjechał Wojciech Korfanty, by uspokoić sytuację. Zapewnił, że doszło do niej bez jego wiedzy i gdyby władze naczelne zostały na czas powiadomione, wieś niemieckich ewangelików otrzymałaby specjalną ochronę. By zaspokoić pierwsze potrzeby pogorzelców, biorąc odpowiedzialność za wypadki, przekazał pastorem 32 tysiące marek na konieczne remonty.

Próba wyciszenia nastrojów nie zapobiegła jednak ukształtowaniu się mitu martyrologii ewangelików niemieckich jako ofiar walk na Górnym Śląsku. Nie ulega wątpliwości, że 20 sierpnia 1920 roku doszło do podpalenia przez polskich powstańców domów niemieckich kolonistów, ale nie było to

częścią jakiegokolwiek planu politycznego, mającego na celu wypędzenie ewangelików, jak to przedstawiała propaganda niemiecka zarówno po II, jak i po III powstaniu śląskim. Po stronie niemieckiej zapomniano, że w odróżnieniu od katolickiej Partii Centrum, która dostrzegła językowy i narodowy problem Polaków na Górnym Śląsku, środowiska politycznego protestantyzmu we Wrocławiu i w Berlinie stały od 1918 roku twardo po stronie niemieckiej racji stanu, odrzucając nawet propozycję utworzenia osobnego kraju związkowego w ramach Rzeszy Niemieckiej. Polityczny ewangelicyzm stał wyraźnie po stronie tzw. heimattreuerów. Odrzucał nie tylko ideę jakiegokolwiek porozumienia z Polską kosztem oddania chociaż części Górnego Śląska, ale nawet pomysły autonomiczne. W twierdzy ewangelików na Górnym Śląsku, jaką był powiat kluczborski, w okresie rokowań po II powstaniu śląskim pisano nawet o ewangelicyzmie nie jako wyznaniu, ale jako wyrazie niemieckiej narodowej świadomości: „Nasz powiat jest w 2/3 ewangelicki, a nasi ewangelicy współobywatele posługujący się językiem polskim również odrzucają zdecydowanie jakikolwiek ruch polski. Nie chcą nic wiedzieć o Polsce i nie chcą być Polakami. Już wybory do Zgromadzenia Narodowego pokazały, że 98% mieszkańców powiatu bezwzględnie jest narodowości niemieckiej. Błagamy rząd, żeby nas nie opuszczał i nas nie zdradzał i był nam wierny, bo zawsze [my, ewangelicy] staliśmy przy Niemcach i zawsze nawet w najgorszych czasach przy nich stać będziemy. Jesteśmy wystarczająco silni, aby każdy polski atak na niemiecką ziemię obronić z bronią w rękę”. Trudno się dziwić, że tego typu nierzadkie deklaracje łatwo stawały się pożywką dla dramatycznego podziału już nie tylko według języka i tożsamości narodowej, ale także według wyznania.

Symbol konfesyjnych (i narodowych) sporów

Po III powstaniu śląskim wydarzenia w Hołdunowie stały się jednym z głównych powodów żądania przez niemieckich ewangelików na polskim Górnym Śląsku potwierdzenia prawa do swobodnego tworzenia struktur kościelnych i wyznawania religii. Udało się im ziszczyć te aspiracje dzięki podpisaniu 15 maja 1922 roku, jeszcze przed podziałem Górnego Śląska na część polską i niemiecką, tzw. Polsko-Niemieckiej Konwencji Górnośląskiej (potocznie nazywanej konwencją genewską), gwarantującej prawa mniejszości narodowych i wyznaniowych po obydwu stronach granicy. Z parafii ewangelickich, które przypadły Polsce (okręg pszczyński, siedem parafii z okręgu Gliwice i część podzielonych parafii okręgu bytomskiego), decyzją synodu pszczyńskiego utworzono 1 lipca 1923 roku niezależny od pruskiego Kościoła krajowego Ewangelicko-Unijny Kościół na Polskim Górnym Śląsku (Die Unierte evangelische Kirche in Polnisch Oberschlesien). Ale jednocześnie sami przywódcy ewangelików w byłej pruskiej części Górnego Śląska stanęli po jednej stronie sporu narodowościowego. Władze polskie zaakceptowały w 1922 roku założenie nowego związku ko-



Parafia hołdunowska przetrwała do końca II wojny światowej. Większość mieszkańców wsi uciekła w obawie przed wkraczającą Armią Czerwoną, nie powracając już do Hołdunowa. Część z nich współpracowała w latach 1939–1945 z niemiecką administracją, a nawet z nazistowskim aparatem terroru.

ścielnego, ale nie uznały legalności jego statutu, uważając, że synod pszczyński nie miał kompetencji do podejmowania działań uchwałodawczych. Kiedy konwencja genewska przestała obowiązywać, władze polskie nie zawahały się, by samodzielność tego Kościoła zlikwidować bezpośrednio przed wybuchem II wojny światowej i rozpocząć włączanie go w struktury polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego (inna rzecz, że coraz liczniejszą grupę wiernych stanowili napływający do województwa śląskiego Polacy z innych województw RP).

Parafia hołdunowska przetrwała do końca II wojny światowej. Większość mieszkańców wsi uciekła w obawie przed wkraczającą Armią Czerwoną w styczniu 1945 roku, nie powracając już do Hołdunowa. Część z nich współpracowała w latach 1939–1945 z niemiecką administracją, a nawet z nazistowskim aparatem terroru. Kościół hołdunowski uległ tylko niewielkim zniszczeniom, ale w 1967 roku rozebrano go ze względu na groźbę zawalenia z powodu szkód górniczych. Nowa świątynia została oddana do użytku dopiero w 1986 roku (należy do Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego). Jest dzisiaj symbolem pogmatwanych losów górnośląskich ewangelików, zaplątanych nie tylko w konfesyjne spory, ale także dramatycznie zaangażowanych w tak niszczący dla Górnego Śląska spór narodowościowy. ■

Ryszard Kaczmarek

– profesor, historyk, dyrektor Instytutu Badań Regionalnych
Biblioteki Śląskiej w Katowicach

Sebastian Rosenbaum

Między wiarą a zwątpieniem

Heinz Piontek (1925–2003) urodził się i pierwsze 18 lat życia spędził w Kluczborku, ówczesnym Kreuzburg OS. Wcielony do Wehrmachtu, walczył na froncie zachodnim i wschodnim, dostał się do amerykańskiej niewoli w Bawarii, potem osiadł na ćwierćwiecze w szwabskiej prowincji, a kolejne kilka dekad, do śmierci, mieszkał w Monachium.



Maciejów koło Kluczborka.

Topografia typowej biografii Niemca ze Wschodu, naznaczonego utratą ojczystych stron i zdobywaniem nowej ojczyzny na Zachodzie. Mniej typowa jest esencja życiorysu Piontki – od początku lat 50. ważnego autora zachodnioniemieckiej literatury. Pierwsze tomy poetyckie – *Die Flut* (Bród, 1952) i *Die Rauchfahne* (Chorągiew dymu, 1953) – zajęły istotne miejsce w nowym nurcie niemieckiej poezji powojennej.

Poezja Piontki była raczej zachowawcza, czasem utrzymana w konwencji tzw. Naturlyrik (liryki przyrody), wzbudzała uznanie precyzją obrazowania i suwerennością mowy, celnością obserwacji codzienności, powagą egzystencjalnych pytań. Do poezji szybko doszły inne formy – opowiadania i powieści, słuchowiska i dramaty, eseje i opisy podróży, antologie: pisarz niemal co roku publikował nowy tytuł. Przez 10 lat wydawał międzynarodowe pismo literackie „ensemble”, redagował tzw. „Münchener Edition” – serię ponad 40 książek autorów związanych z Monachium, ponadto malował i rysował. Szczytem kariery Piontki w dziedzinie literatury było przyznanie mu w 1976 roku Nagrody im. Georga Büchnera, najważniejszego tego typu wyróżnienia w niemieckim kręgu językowym. W latach 80. jego pozycja zmieniła się: pozostając poza modami literackimi, coraz mniej dostrzegany przez krytykę, zwracał się mocniej ku tematyce ojczystych stron, która królowała w „powieści autobiograficznej” *Zeit meines Lebens* (Za mojego życia, 1985) czy w „prawie powieści” *Goethe unterwegs in Schlesien* (Goethe w podróży po Śląsku, 1993).

Już w latach 60. zachwalał go u nas Wilhelm Szewczyk, widząc w nim górnośląskiego ziomka, a w 1966 roku „Czytelnik” wydał zbiór opowiadań *Gorące kasztany* (*Kastanien aus dem Feuer*, 1963). I na tym kończy się obecność Piontki w dobie PRL. W 2004 roku ukazał się w Opolu wybór jego pism – mocno skoncentrowany na eksploracji wątków lokalnych. A w 2008 roku na domu rodzinnym umieszczono dwujęzyczną tablicę pamiątkową. Literaturoznawcy pisali o jego twórczości, ale o poważnej obecności tego autora w Polsce trudno mówić: pozostaje rachityczna, czego pewno zmienić się już nie da, skoro i w Niemczech Piontek należy do autorów raczej zapomnianych. Pozostaje lektura niemieckich pism poety – dla historyka szczególnie ciekawy jest wspomniany tom autobiograficzny *Zeit meines Lebens*, obejmujący lata 1925–1943.

Sekretne centrum miasta

W tej wariacji wokół formy „Bildungsroman”, powieści o dojrzewaniu, pomieszanej z klasycznymi wspomnieniami, Piontek opowiada swoje dzieciństwo i młodość, transformacje bliskich i własne przemiany, funkcjonowanie miasta i wiosek podkluczborskich. Stale przesuwając perspektywę z zewnątrz na nakierowaną na Kluczbork i okolice, na psychologiczną, zwróconą ku wnętrzu. Śmierć ojca w 1928 roku, wizyty na wsi u rodziny matki – Sejów z kolonii Buddenbrock (Brodnica), szkoła i zabawy na osiedlo-

wym podwórz, przyjaźnie i miłości, służba w Jungvolku i Hitlerjugend, zawody sportowe, modelarstwo samolotowe, ale też wybuch wojny i wizyta w Kraju Warty z obrazami prześladowań Polaków. Tysiące szczegółów, odprysków codzienności, tragicznych, budzących grozę, komicznych, banalnych, Piontek odtwarza w formule epifanii. Bohater, tożsamy z narratorem, znajduje się, jak pisał Arno Lubos, „w pułapce frazeologii, powierzchownych mądrości ze szkolnej ławki, emocji kinowych, tekstów szlagerów. Ale chce się przez nie przebić, dotrzeć do siebie samego”.

Od pierwszych do ostatnich jego wierszy obecne były w nich tony wyznania wiary, modlitwy, obrazy i motywy chrześcijańskie. W *Zeit meines Lebens* opisał swoją socjalizację w protestanckim świecie Kluczborka, jako najprzód stopniowe odchodzenie od praktyk religijnych, następnie jako drogę odwrotną.

„Moje rodzinne miasto, górnośląskie powiatowe miasto Kluczbork, liczyło wówczas może z dwanaście tysięcy mieszkańców: dobre sześć tysięcy ewangelików, pięć i pół tysiąca katolików i około dwustu izraelitów. Dwadzieścia kilometrów na północ biegła granica powiatu, zarazem granica Rzeszy. Za nią leżała Rzeczpospolita Polska”. W pierwszych zdaniach książki Piontek rysuje sytuację wyznaniową pękniętego na pół miasta. Dzieci, które się nie znały, witały się stereotypowymi pytaniami: jak się nazywasz?, kim jest twój ojciec?, ale też jednym tchem: jesteś katolikiem czy ewangelikiem? Jedni i drudzy mieli swoje instytucje. Ewangelickie przedszkole prowadziły ascetyczne diakonisy, nazywane „ciociami”, w szaroniebieskich ubraniach i białych, sztywnych kornetach. Jako kilkuletnie dziecko bohater/autor wyjechał na kolonie do ewangelickiego domu wypoczynkowego w Górach Kłodzkich. Lekcje szkolne początkowo odbywały się w dawnym domu pastora, długo niewykorzystywanym, położonym w centrum miasta, za kościołem ewangelickim.

W niedzielę odbywały się specjalne nabożeństwa dla najmłodszych. W wielkim kościele Piontek czuł się, jak pisze, niczym kilkudniowy króliczek. Uroczysty głos pastora sprawiał, że dreszcz przebiegał między łopatkami. Kościół ewangelicki w Kluczborku był najstarszym budynkiem miasta, sięgał w swym rdzeniu XIV stulecia. „Jeszcze w przedszkolu – pisał Piontek – podziwiałem stare kolorowe malunki, chociaż tu i ówdzie nadpsute były gryzbem. Teraz [jako nastolatek] uznałem za zdecydowanie piękniejsze jasno lśniąca biel wnętrza, ściany niemal bez ozdób, wysokie jasne okna. Białe drewniane kasetony balustrady w emporze skonstrastowane były złotą folią. Obok ambony, dokładnie naprzeciw nas, znajdował się niewielki chór, niemal tylko nisza. Niekiedy, ale tylko w Wigilię, we trójkę [wraz z matką i siostrą] siadaliśmy na ławkach, nielicznych, bardzo pożądanych miejscach w czasie świąt. Niegdyś pod tymi łukami oporowymi siadały rodziny burmistrzowskie (...). Na chórze stały organy. Zasiadał do nich nauczyciel Mühlich i pracą dłoni i stóp, na pozór bez wysiłku, budził w nich dźwięk. Organista zawinięty był w szeroki płaszcz z wielkim kołnierzem futrzanym. Nie-

działa za niedzielą – koncertował na organach z prawdziwą wirtuozerią”.

Jedną z lekcji regionalistyki, „Heimatkunde”, odbywała się w wieży kościelnej. „Pod koniec marca nasza klasa, pod wodzą nauczyciela Waldowa (który w czasie wojny miał zostać generałem), wyruszyła do kościoła (...). U wejścia do kościelnej wieży czekał na nas Biskup, szewc, zakrystian i dzwonnik w jednej osobie, który wielkim zardzewiałym kluczem otworzył zamek w drzwiach wieży”. Podczas gdy jedna grupa wspiwała się wraz z Biskupem w górę, druga miała spisywać inskrypcje z tablic nagrobnych, wmurowanych w cokół świątyni. U stóp kościoła leżało całe miasto, a z wieży wzrok biegł dalej, ku sąsiednim wsiom. W ten sposób kościół ewangelicki (Piontek będzie go malował jeszcze na krótko przed śmiercią) stawał się sekretnym centrum miasta.

„Dobry kocik”

Kontekstem, który nadawał protestantyzmowi podkluczborskiemu specyficznego posmaku, była słowiańskość ludności rodzimej, z której Piontek się wywodził, tak ze strony ojca, Roberta, jak i matki, Marie Seja, służącej z majątku Wrzosses (obecnie Wrzosy). Zarówno matka, jak i babcia Pauline Rosalia Seja z kolonii Buddenbrock mówiły dobrze polską gwarą z tamtych stron. Matka nazywała dom wielorodzinny w Kluczborku, w którym mieszkali Piontkowie, z polską – „Korona”, do Heinza mówiła „tuleja” albo „dobry kocik”. Gdy zachorowała na tuberkulozę, leżąc w łóżku wzdychała po polsku: „O mój Boże”. Babcia nazywana jest „babką”, popularne zupy nosiły polskie nazwy „poliwka”, „żur”, dzieci na podwórku recytowały rymowanek: „Koza – Ziega, Mucha – Fliega, Spyrka – Speck, Gówno – Dreck”, a mieszkańcy Buddenbrock przeklinali po śląsku: „piero-na, psiakrew, cholera”.

Choć pobliska Polska, leżąca tuż za Prosną, nie pojawiała się jako punkt odniesienia, a zdeklarowana proniemieckość polskojęzycznych mieszkańców powiatu kluczborskiego ujawniła się podczas plebiscytu górnośląskiego w 1921 roku, to jednak antypolska propaganda nazistów nie trafiała na podatny grunt. Gdy 1 września 1939 roku Niemcy uderzyły na Polskę, babcia Sejowa mówiła wnukowi: „No i: zawsze wam mówiłam, że ten Hitler wpędzi nas wszystkich w nieszczęście. Ten *czort*. Od początku to wiedziałam”. I wzdychała: „Biedni Polacy, cóż to oni *nam* zrobili”.

Nie tylko na wsiach powszechne było posługiwanie się polską gwarą. W samym mieście mieszkało wielu mieszkańców o polsko brzmiących nazwiskach: Golibrzuch, Plochowiec, Gawandtka, Gaddek, Janik, Barbarowski, Owschinski, Quaschny, Obirei, Russek, Klecha, Bragulla, Thomalla, Seja, Pielok, Skupin, Wiedera, czy wreszcie sami Piontkowie, choć podobno pierwotnie nosili nazwisko Freytag. W czasach nazistowskich ze szczególną intensywnością podjęto akcję zmiany nazwisk na niemiecko brzmiące – Quaschny stał się Ostmannem, Barbarowski Försterem, nawet część Sejów przemianowała się na Sie-

ghardów. Ale „babka” Sejowa i matka Heinza odmówiły zmiany nazwiska. Niemniej słowiańskość dla Piontka była tylko odległym kolorytem: on sam był całkowicie zanurzony w uniwersum niemieckim, językowym i kulturowym.

Dziedzictwo niezniszczalne

O religijności ojca Piontek pisze niewiele. W ich domu z książek były tylko Biblia i baśnie Grimmów. Matka czytała głośno Biblię w archaicznej niemczyźnie Lutra i nie ukrywała swej wiary. Pracując jako praczka zarabiała bardzo mało, pozbawiona ojca rodzina żyła na skraju ubóstwa. „Z wszystkich ludzi, których znam, nikt nie wydaje mi się tak wierzący, jak moja matka”, pisał Piontek. „Mówiła oględnie, że wiara uchodziła w jej rodzinie za coś w rodzaju niezniszczalnego dziedzictwa. Teraz niczego nie pamiętam z jej wielogodzinnego czuwania w nocy, szarpania się z Bogiem z powodu utraty męża. Zanim, leżąc w łóżku, zamknąłem oczy, podchodziła do mnie i modliliśmy się razem. Na koniec musiałem za każdym razem dodać: i daj spokojny odpoczynek naszemu ojcu”.

Związki matki z Kościołem ewangelickim pozostawały złożone. „Gdy pierwsi pastory, którzy sprzeciwili się hasłom państwowego biskupa, zaczęli znikać w więzieniach, moja mama przystąpiła do Kościoła Wyznającego, stojącego po stronie aresztowanych, a skierowanego przeciw Kościołowi Państwowemu z jego ledwo skrywanym kultem Führera. Ofiarowała względnie wysokie datki, które udało jej się odłożyć wzmoczoną oszczędnością”. A przecież Marie Piontek zachęcała syna do wstąpienia do nazistowskiej placówki wychowawczej (tzw. Napola) – Heinz odmówił. Nie widziała też nic złego w służbie syna w szeregach Jungvolku, a potem Hitlerjugend. Ale nie wszyscy tak reagowali. „Pośród rodziców – wspominał Piontek – znajdowało się niemało takich, którzy podnosili protesty przeciwko włóczeniu się ich dzieci [w Jungvolk], szczególnie w chrześcijańskie święta, zaś hasła kierownictwa Hitlerjugend, jakoby młodzież miała być kierowana przez samą młodzież, nazywali jawnym nonsensem”. Co z tego rozumiał nastoletni Piontek? Był członkiem hitlerowskiej organizacji młodzieżowej, brał udział w jej obozach, zbiórkach, zajęciach, przyciągany atmosferą koleżeństwa, ale też widząc w organizacji zjawisko niemal naturalne – wszak gdy władzę w Niemczech przejęli naziści, Piontek liczył siedem lat. Niemniej dostrzegał zwalczanie Kościołów przez reżim i fakt, że uczestnicząc w nabożeństwach niedzielnych, w zajęciach dla konfirmantów, udzielając się w chrześcijańskich związkach było się wyśmiewanym przez „150-procentowców”, zdeklarowanych nazistów.

Odtrutka na propagandę

Przez lata zaangażowania w Hitlerjugend osłabły związki Piontka z Kościołem, przez dłuższy czas nie uczestniczył w nabożeństwach. Ale udział w konfirmacji był oczywistością. Przygotowania do niej były zresztą wydarzeniem tyleż

religijnym, co świeckim i obyczajowym. „Miałem uczucie, jakby wskazówki zegara kręciły się szybciej. Już stałem wraz z [siostrą] Ilse w sklepie z ubraniami męskimi Tyrasy i przymierzałem przepisywy, wyśmiewany strój konfirmacyjny. Były modele różnej jakości. Najlepiej pasował mi czarno-błękitny, wygodny, sporo droższy. I gdy musiałem oglądać się w lustrze, co mnie krępowało, zdziwiony ujrzałem młodego, eleganckiego człowieka, który taksował mnie wzrokiem. Poza spodniami bojówkami, które należały do zimowego umundurowania Jungvolku, jak dotąd nie miałem długich spodni. W zimnych porach roku musiałem rokrocznie nosić znienawidzone czarne pończochy, które naciągało się aż na uda i mocowało na zaczepach do krótkich spodenek. Zwyczajem u nas było, że dopiero od czterdnastego roku życia mogliśmy zakładać męskie stroje (...).”

Tydzień przed konfirmacją „wdrapałem się po schodach z innymi ciekawskimi chłopakami na pierwszą emporę w naszym kościele, a tam opierałem się o pomalowaną na białło i złoto balustradę. Na dole, na ławkach ustawionych na kamiennej posadzce, siedziała grupka tych, którzy w najbliższą niedzielę mieli być konfirmowani. Przybyliśmy jako obserwatorzy, bo nasz egzamin miał odbyć się dopiero za tydzień. Z zakrystii wyłonił się pastor w todze. Każdemu z zebranych chłopców i dziewcząt zadano jedno pytanie”. Piontka bardziej interesowała wówczas jego sympatia, Ulla Weinberger, której rzucił z chóru liścik miłosny, niż sam przebieg egzaminu. Choć próby flirtu skończyły się niepowodzeniem, był przynajmniej jeden powód do radości: „na moją konfirmację wujek Freier z Wierzbicy Górnej przysłał (...) potężnego, oskubanego i wypatroszonego indyka, wraz z siostrą z uciechy aż klaskaliśmy w dłonie”.

Świeckie konteksty nie przesłaniały kwestii konfesyjnych. Na lekcjach przygotowania do konfirmacji żartobliwy zwykle wikariusz, zastępujący starego pastora, z nagłą powagą „zapytał każdego nas, jaka jest nasza wiara w Chrystusa. Nasz Zbawiciel, pośrednik między nami a Bogiem. Jeśli wkrótce mamy przystąpić do ołtarza, by spożywać jego ciało i pić jego krew, musimy mieć jasność”. „Nie pamiętam – pisze Piontek – co odpowiedziałem. Ale pamiętam, że nie była to uczciwa odpowiedź. Chrystus z biegiem lat stał mi się odległy. Wedle mojej opinii wymagał od nas rzeczy niemożliwych. Wyrwać sobie oko, odjąć rękę, jeśli były nam przyczyną zgorznienia! Uderzony w lewy policzek, nadstawić prawy! I w ogóle: kochajcie waszych nieprzyjaciół! Jakby miłością można komenderować. I po cóż mi pośrednik? Jeśli mam sprawę do Boga, lepiej, żebym powiedział mu to sam. To Bóg ponosił odpowiedzialność. Jeśli dotknął moją matkę choroba, to od niego samego chciałbym wiedzieć dlaczego. To, że od tak dawna nie wysłuchiwał jej codziennych modlitw, w których zwracała się do niego całą siłą swego błagania, zbijało mnie z tropu. Czyżby był nieuważny? Kapryśny? A może nie był wszechmocny? Właśnie przed pierwszą komunią opadły mnie wątpliwości”.

Na czas konfirmacji miejscowy pastor, ks. Hermann, otrzymał krótki urlop z frontu. „W trzech szeregach pro-



wadził swoich konfirmantów przez nawę kościoła, w szpalerze wiernych, którzy powstałi na nasz widok, aż doszliśmy do krzeseł ustawionych dla nas przed ołtarzem. Organy ćwierkały i huczały, ale ja widziałem i słyszałem wszystko jakby przez zasłonę, która okryła moje zmysły. Na ławkach za naszymi krzesłami zasiedli rodzice konfirmantów. Przyszli wszyscy, oprócz mojej mamy [chorej na tuberkulozę]. Zamiast niej była Ilse. Gdy ujrzała mnie wśród krocących ku ołtarzowi konfirmantów, przycisnęła chusteczkę do oczu”.

„Pastor zawołał nas po nazwisku i każdemu przeczytał głośno wers z Biblii, który towarzyszyć nam miał na naszych drogach życia. Sentencje konfirmacyjne wydrukowano na osobnych kartach i podawano nam. Moja sentencja brzmiała: *Każdą swoją troskę zrzucie na Niego, ponieważ On troszczy się o was* (...). Spojrzałem w powietrze, a potem na kartę z tym cytatem z pierwszego listu św. Piotra. Czy wierzyłem w te słowa, czy też uważałem tylko za pobożne powiedzonko? Byłem gorący czy zimny – albo tylko letni?”. Kiedy wrócił do domu po uroczystości, myślał przede wszystkim o tym, że przekroczył właśnie próg, dokonał transgresji – zbliżył się ku dorosłości. Ale sygnałem tej nowej fazy była nie tyle religijna strona konfirmacji, ile starannie składane do szafy nowe spodnie.

A jednak Piontek nie pozostawał całkowicie odporny na oddziaływanie płynące ze strony swej ewangelickiej parafii. Wypowiedzi duchownych wprowadzały akcenty, któ-

re osłabiały propagandowy i wojowniczy język panujący niemal niepodzielnie w przestrzeni publicznej. W różnych chwilach Piontek przypominał sobie zaskakujące dla niego zdanie wypowiedziane przez wikarego: „Pokora wymaga na ogół więcej odwagi niż bohaterstwo”.

Na krótko przed opuszczeniem Kluczborka i wstąpieniem do Służby Pracy Rzeszy (RAD) Piontek wziął udział w nabożeństwie w miejscowym kościele. „Stary pastor ostrożnie wszedł po schodkach na ambonę. Zdobny daszek, wysklepiony pośrodku, nad jego surowym przedziałkiem, nazywał się baldachimem, wokół zawisły putta i anioły, w centralnym punkcie daszku stała figura Chrystusa ze srebrnym barankiem na ramionach (...). Pastor czytał fragment z listów Pawłowych. Ostatnie wersy tak gwałtownie i z takim żarem przeszły mi serce, że bodaj nigdy ich nie zapomnę: *I jestem pewien, że ani śmierć, ani życie, ani aniołowie, ani Zwierzchności, ani rzeczy teraźniejsze, ani przyszłe, ani Moce, ani co wysokie, ani co głębokie, ani jakiegokolwiek inne stworzenie nie zdola nas odłączyć od miłości Boga, która jest w Chrystusie Jezusie, Panu naszym*. Uderzyło mnie to. W drodze do domu, wciąż jeszcze olśniony tym jasnym żarem, po raz pierwszy zrozumiałem, ile zawdzięczam Chrystusowi. On, Syn Człowieczy, przyniósł nam pewność Miłości Bożej. On był drogą”. ■

Sebastian Rosenbaum

– historyk, pracuje w Instytucie Pamięci Narodowej
w Katowicach

Grażyna Kubica

Pierwszy cieszyński *Heimatroman*

Staram się odnaleźć postaci cieszyńskich ewangeliczek i odtworzyć ignorowane sfery dziejowości, które są z nimi związane.

Szczególnie interesuje mnie kobieca kontestacja i opór wobec tradycyjnych struktur oraz własny głos, który staram się odnaleźć w ich gestach i tekstach. Chcę jednocześnie odpowiedzieć na pytanie, czym była ich ewangelickość i jak religia warunkowała ich życie.

Pałac Larischów, a później Demlów, w którym urodziła się Edith Schmettan-Demel (obecnie siedziba Muzeum Śląska Cieszyńskiego).

Natrafiłam na postać Edith Schmettan-Demel i jej książkę *Die sieben Kinder des Pastors Kattenschlag*, która – o ile mi wiadomo – jest pierwszą powieścią dziejącą się w Cieszynie. Dlaczego głos tej emancypantki, dobitny i głośny, buntowniczy i nostalgiczny zarazem, w jej śląskiej ojczyźnie nie został zapamiętany? Bo wypowiedziano go w nieodpowiednim języku, wcześniej dominującym, ale później coraz bardziej „niesłusznym”, w dodatku z dala od rodzinnych stron?

Pradziadek Kłapsia i inni

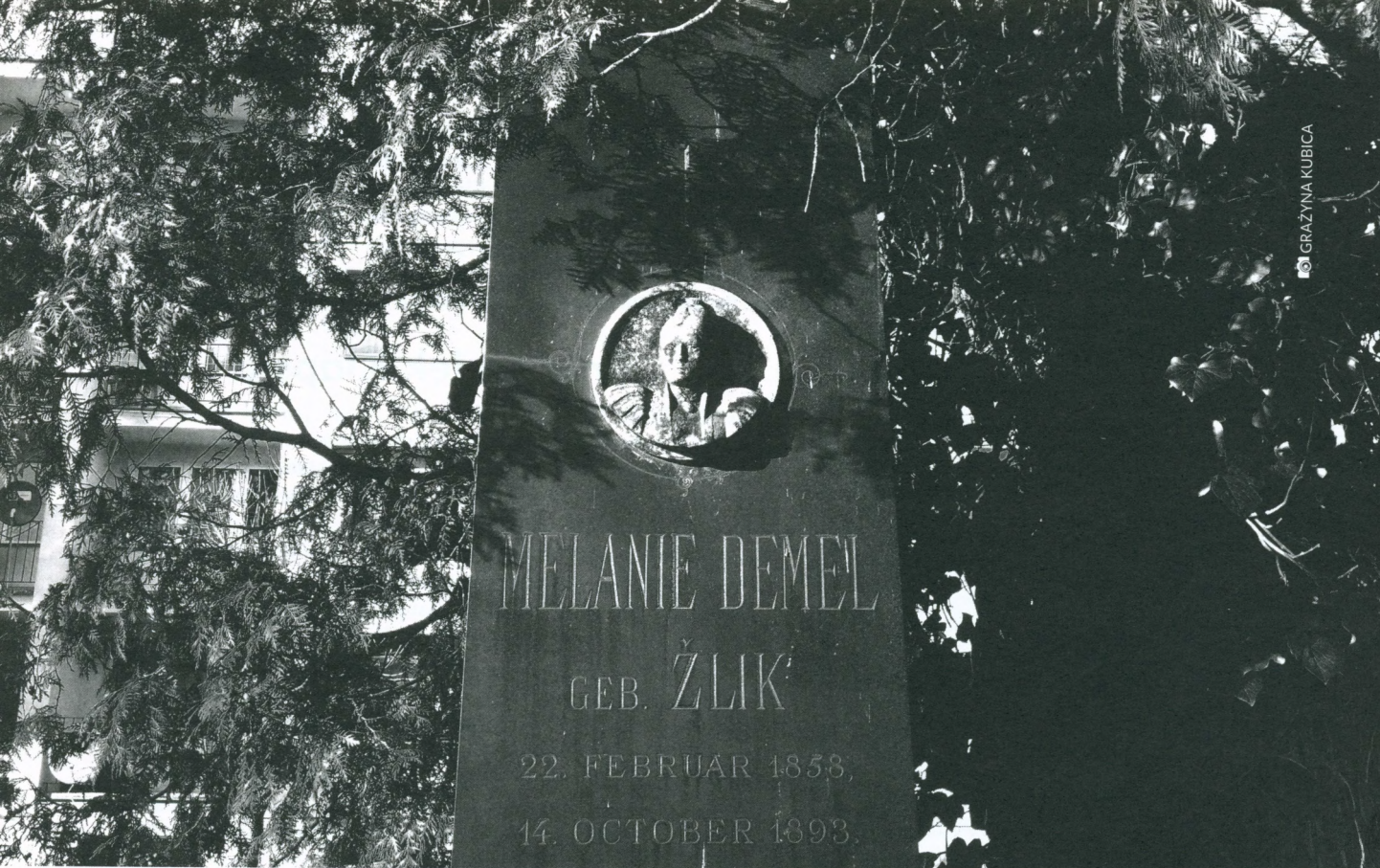
Rodowód Edith Demel współtworzyły znane postaci Śląska Cieszyńskiego odnotowywane w polskich słownikach biograficznych i publikacjach historycznych, ale i tak napotkałam sporo trudności w ustalaniu genealogii mojej bohaterki, bo w tych opracowaniach brakowało informacji o kobietach. Znalazłam je dopiero w artykule cieszyńskiego ziomka Edith Demel, Hansa Hugo Webera, który opisał tamten czas i zanalizował jej powieść.

Jednym z przodków Edith był ksiądz Jan Kłapsia (1759–1808), ważna postać cieszyńskiego ewangelicyzmu okresu tolerancji, pierwszy od czasu reformacji wykształcony w Lipsku teolog z Księstwa Cieszyńskiego. Zawdzięczał to swojemu ojcu, poczmistrzowi ze Skoczowa, który wioząc cesarza Józefa II do Bielska, wyjednał synowi zgodę na studiowanie w Lipsku (nie wolno było wtedy pobierać nauk za granicą, czyli w Prusach). Kłapsia był później księdzem w Jaworzu i następnie w cieszyńskim kościele Łaski. Wydał zbiór kazań po niemiecku, a także *Modlitwy i rozmyślenia nabożne* (1794) po polsku.

Kariere duchowną wybrał też jego syn, Gustav Heinrich (1799–1865), który po studiach teologicznych w Bratysławie i Wiedniu uczył w szkołach ewangelickich w Bielsku, później był pastorem na Śląsku Opawskim i wreszcie – w Cieszynie, a także nauczycielem w ewangelickim gimnazjum. Wprowadził w szkołach rozległej cieszyńskiej parafii język polski zamiast czeskiego, zabiegał też o polski kancjonał. Ksiądz Andrzej Buzek, który opracował notę o nim w *Polskim Słowniku Biograficznym*, podkreślał fakty mogące świadczyć o polskości Kłapsi. Jednak jak większość księży i ówczesnej inteligencji, Kłapsia uważał się za Niemca. I jak inni niemieccy księża tego czasu był teologicznym racjonalistą. Wygłaszał kazania w obu językach, bo protestanci duszpasterze powinni byli używać języka ludu, wśród którego pracowali. Jego żoną była Franziska Vetter, córka wiedeńskiego fabrykanta. Zmarła w 1848 roku, a jej pogrzeb tak opisywał Andrzej Cińciała, późniejszy cieszyński notariusz i polski działacz narodowy: „Dzisiaj pogrzebaliśmy Kłapsinę, było ludu ogrom a siła. Nad grobem była trzymana mowa niemiecka od Szneidra, a w kościele od Raszkiego polska”.

Co znamienne, Buzek w biogramie Kłapsi podaje także, że „pozostawił trzech synów”: Alfreda, pastora w Orłowej (1862–1894), Alfonsa, agronoma, i Alberta, leśnika. A przecież Kłapsiowie mieli też trzy córki, z których dwie: Mathilde i Franziska, są bardzo ważne dla genealogii Edith Demel, gdyż były jej babkami.

Franziska poślubiła w 1853 roku Johanna Demla (1825–1892), katolika, cieszyńskiego adwokata i późniejszego burmistrza, pełniącego tę funkcję przez 30 lat i wybieranego zazwyczaj jednogłośnie także do Sejmu Śląskiego i Rady Państwa. Należał do stronnictwa niemieckich liberałów. W 1867 roku został uszlachcony (za uratowanie miasta przed zniszczeniem w czasie inwazji pruskiej), odtąd mógł dodawać



do nazwiska „von Elswehr”. Za jego rządów Cieszyń się rozwinął i zmodernizował. Z małżeństwa z Kłapsiówną narodził się Leonhard (1856–1915), który nie tylko kontynuował tradycję adwokackie rodziny, ale po śmierci ojca został także burmistrzem Cieszyń, a od 1895 roku do końca życia był posłem do parlamentu wiedeńskiego. Z jego inicjatywy powstało kilka nowych budynków szkolnych, poczta, elektryczność, linia tramwajowa i nowy wodociąg miejski.

Druga Kłapsiówna, Mathilde, wyszła za mąż za Rudolfa Żlika, syna księdza Andrzeja Żlika (1802–1865), pochodzącego z rodziny wolnych chłopów z Kozakowic, studiującego w Wiedniu, a później pracującego w Starym Bielsku i Cieszyń. Oprócz pracy duszpasterskiej razem z Gustavem Kłapsią kierował gimnazjum ewangelickim, był też aktywnym działaczem politycznym i społecznym: zasiadał w Radzie Miasta, posłował do Sejmu Krajowego, propagował sadownictwo. Podobnie jak Kłapsia reprezentował teologię racjonalistyczną. Syn Arnold (1840–1913) został jego następcą w cieszyńskim zborze, Rudolf zaś był leśnikiem i pracował w Austrii. Z jego małżeństwa z Mathilde zrodziła się Melanie Żlik (1858–1893), która z kolei wyszła za mąż za Leonharda Demla, czyli swojego kuzyna. Leonhard i Melanie mieli dwoje dzieci: syna Hansa (1886–1951), prawnika i egiptologa, dyrektora Muzeum Historii Sztuki w Wiedniu, oraz córkę Edith.



Edith Schmettan-Demel

Studentka z Cieszyń

Edith urodziła się 10 czerwca 1890 roku i mieszkała z rodzicami w samym centrum Cieszyń, w pałacu, który jej pradziad, adwokat

Powieść Edith Schmettan-Demel daje obraz symbiotycznego współżycia miejskich Niemców z wiejskimi Polakami. Ci pierwsi troszczyli się o szkoły i porządne wykształcenie wszystkich dzieci, a ci drudzy uprawiali cieszyńską ziemię i zbierali płody rolne, które żywiły obie społeczności.

Anton Demel, kupił od hrabiego Larischa (a w 1918 został sprzedany miastu i mieściło się w nim Muzeum Miejskie, obecnie – Śląska Cieszyńskiego). Gdy miała trzy lata, zmarła jej matka (na cmentarzu ewangelickim znajduje się jej nagrobek z czarnego granitu z medalionem biskwitowym przedstawiającym popiersie zmarłej) i później opiekowała się nią babka, Mathilde Żlik.

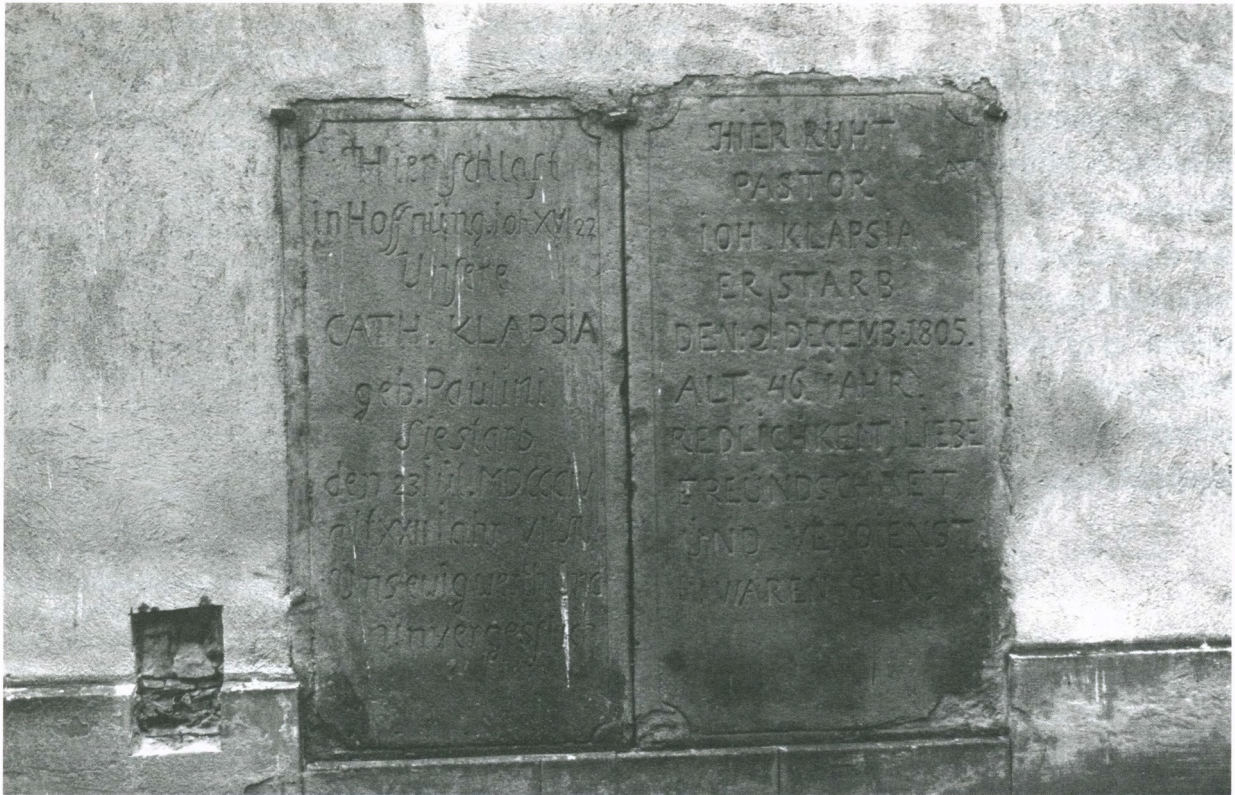
Nie wiem, jak wyglądała edukacja Edith. Jedynej jej polski biogram podaje, że ukończyła niemieckie gimnazjum. Wydaje się to dość wątpliwe, bo cieszyńskie gimnazja były wtedy tylko męskie. Co najwyżej pobierała nauki u tamtejszych profesorów prywatnie. Jej ankieta personalna w archiwum Uniwersytetu Wiedeńskiego podaje, że maturę zdawała eksternistycznie w państwowym żeńskim gimnazjum w Brnie. Studia na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Wiedeńskiego rozpoczęła w semestrze letnim 1909 roku. W ankiecie wpisała: Edith von Demel Elswehr, obywatelstwo: austriackie; miejsce urodzenia: Cieszyn, Śląsk; język ojczysty: niemiecki; wiek: 19 lat; religia: protestancka; ojciec: Dr Leonhard Demel Ritter von Elswehr, adwokat w Cieszynie. Z dokumentów wynika, że studiowała tylko trzy semestry: letni 1909, zimowy i letni 1909/1910. Wybrała kursy z zakresu filologii niemieckiej i angielskiej. Nie wiadomo, dlaczego przerwała studia i czy wróciła potem do Cieszyna. Była pierwszą studentką ze Śląska Cieszyńskiego na Uniwersytecie Wiedeńskim. Musiała się tym chlubić, bo podają ten fakt jej biogramy.

W 1913 roku wyszła za mąż za Ernesta Schmettana, urzędnika kolejowego, i zamieszkała w pobliżu Wiednia, w Langenzersdorf. Mieli troje dzieci: syn zginął w 1941 roku w Rosji, a dwie córki z rodzinami mieszkają w rodzinnej miejscowości.

Edith Schmettan-Demel publikowała opowiadania i felietony m.in. w cieszyńskich pismach niemieckojęzycznych: „Silesia” i „Grenzbote”. Pierwszą powieść *Die sieben Kinder des Pastors Kattenschlag*, którą – jak podaje we wstępie wydawca – pisała dla trójki swoich dzieci, by poznały historię rodziny i starej ojczyzny, opublikowała w 1931 roku (wznowienie w roku 1959). Inne jej powieści to: *Das Schweiger Haus* i *Grete Tumsers gluckliches Jahr*, ale nie udało mi się na razie do nich dotrzeć.

Pierwsza jej książka jest typowym *Heimatroman*, czyli powieścią o ojczyźnie. W powieści jest nią konkretne miejsce: dom rodzinny, z którego okien widać kościół, cmentarz i plac kościelny, a dalej – Cieszyn i cały Śląsk. Tym centrum wszechświata jest księżówka, w której mieszka pastor Kattenschlag i jego siedmioro dzieci (właściwie sześcioro i przygarnięta sierota), jego zmarła żona jest pochowana na pobliskim cmentarzu, mieszczącym się na wzgórku przy kościele. Przy jej grobie rozpoczynają się zawsze rodzinne uroczystości, a dzieci przybiegają tam z każdą troską i radością. Ważny jest dla nich wszystkich dźwięk dzwonów kościelnych i muzyka organów, które wypełniają przestrzeń domu. Istotna jest lektura, najpierw czyta im ojciec, a później czynią to dzieci. Studiują Biblię i klasyczną literaturę niemiecką. Z domu wynieśli skromność i przekonanie, że najważniejszym bogactwem człowieka jest wiedza i praca.

Powieść daje obraz symbiotycznego współżycia miejskich Niemców z wiejskimi Polakami. Ci pierwsi troszczyli się o szkoły i porządne wykształcenie wszystkich dzieci, a ci drudzy uprawiali cieszyńską ziemię i zbierali płody rolne, które żywiły obie społeczności. Kazania były wygłaszane po niemiecku i nikomu to nie przeszkadzało. Wszyscy byli wiernymi poddanymi cesarza, pobożnymi, spokojnymi ludźmi, modlącymi się do Boga, który rozumie każdy język. „Dobrze



Cieszyńskie epitafium księdza Johanna Kłapsi i jego żony Kathariny Paulini (w zewnętrznej ścianie kościoła).

się wówczas żyło na Śląsku”. Zmiany nastąpiły po przyjeździe polskiego wikarego z rosyjskiej Polski, którego działalność wzniciła zarzewie konfliktu, bo przyniosła cieszyńsiakom świadomość narodową. Zaczęli się domagać polskich kazań, bo doszli do wniosku, że mimo iż przeważają liczebnie, są źle traktowani, a ich dzieci muszą chodzić do niemieckich szkół. A przecież nikt ich nie zmuszał, dostawały szansę kształcenia się – argumentowała autorka.

Główną bohaterką powieści jest Tilly, jedna z córek pastora, najładniejsza i przekonana o tym, że jest stworzona do wyższych celów. W rozmowie z jednym z braci wyraża swoje oburzenie tym, że kobiety nie mogą się kształcić i uważa to za niesprawiedliwość. Uczy się je, że ich głównym zadaniem jest uczynić męża szczęśliwym, ale nikt nie pyta, czy same są szczęśliwe. Mają prowadzić dom i zajmować się dziećmi, a ona chciałaby się rozwijać, czytać, dowiedzieć się czegoś o świecie. Zakochał się w niej kawaler z bogatej, arystokratycznej, katolickiej rodziny, ale jego rodzice nie zaakceptowali tego związku i wysłali syna za granicę. To dramatyczne wydarzenie uświadomiło Tilly, że pozycja społeczna jest jednak ważna. Później oświadczył jej się ów polski wikary, ale mu odmówiła. Wyszła w końcu za syna sąsiadów, z którym wyjechała do Austrii. Miała dwoje dzieci: syn zmarł w dzieciństwie, a córka przy porodzie. Opiekowała się później osieroconą wnuczką.

Autorka relacjonuje losy wszystkich siedmiorga dzieci i ich potomków, którzy albo poumierali, albo się rozproszyli po świecie, a tylko nieliczni zostali w starym Heimacie. Nikt nie doszedł do bogactwa, ale krew Kattenschlagów dała im przekonanie, że można być szczęśliwym i bez tego. Nie można jednak czuć się szczęśliwym bez dźwięku dzwonów i muzyki organów dochodzących z cieszyńskiego kościoła.

Autobiograficzny ton

Die sieben Kinder des Pastors Kattenschlag jest powieścią z kluczem, tożsamość wszystkich jej bohaterów i bohaterek można rozszyfrować. Co ciekawe, słowiańskie nazwiska przodków autorki, Kłapsia i Żlik, mają w powieści niemieckie brzmienie: Kattenschlag i Tiek. Z kolei polski wikary jest w powieści bezimienny. W rzeczywistości nazywał się Leopold Otto i pochodził ze spolonizowanej warszawskiej rodziny niemieckiej pochodzącej z Alzacji. Była to zatem bardzo „śląska” sytuacja: Niemcy mieli słowiańskie nazwiska, a Polak – niemieckie. Autorka w swojej powieści postanowiła ją „wyprostować” i nadała bohaterom nazwiska, których brzmienie było zgodne z ich narodową identyfikacją. Co więcej, cały Cieszyn w jej narracji robi wrażenie zupełnie niemieckiego miasta. Jest ta powieść dobrym przykładem działania hegemonii kulturowej: w tym ujęciu wszyscy byli szczęśliwymi Niemcami i poddany cesarza, nawet jeżeli w domu mówili swym „wiejskim” ję-

zykiem i brakowało im odpowiedniego wykształcenia. Autorka opisuje swój *Heimat* z punktu widzenia dominanta, nie dostrzegając, że członkowie podporządkowanej mniejszości mogli to widzieć inaczej.

Edith Schmettan-Demel wpisując się w dyskurs narodowy stanęła po stronie nowoczesności i jednocześnie ustawiła się w pozycji dominującej w stosunku do świata tradycyjnego. W jej powieści widać to w opozycji: kultura niemiecka *versus* śląsko-polska chłopskość. Autorka jednoznacznie określa się narodowo i wpisuje w dyskurs dominacji niemieckiej kultury, a jednocześnie jako kobieta buntuje się przeciwko dyskryminacji. Jej krytyka tradycyjnego modelu kobiecości, który jej przodkiniom uniemożliwiał intelektualny rozwój, brzmi jednoznacznie i zdecydowanie. Niewykluczone, że jej babka Mathilde – pierwowzór Tilly – była rzeczywiście emancypantką i wychowała swą wnuczkę w tym duchu. (Ojciec Edith, Leonhard Demel, burmistrz Cieszyna, był inicjatorem żeńskiego liceum, które powstało w tym mieście dopiero w 1912 roku, czyli już po jej wyjeździe na studia do Wiednia. Być może dopiero przykład córki uświadomił ówczesnemu włodarzowi miasta, że kobietom też należy umożliwić wyższą edukację).

Twórczość pisarki jest także ilustracją współczesnej tezy, że „własny głos” nie jest jednym głosem, ale mieszkanką języków podporządkowania i uprzywilejowania. Widać to u niej wyraźnie: jej głos jest dominujący w dyskursie narodowym i modernizacyjnym, ale wyraża także sprzeciw wobec podporządkowania kobiet. Nowoczesność dawała szansę emancypacji i była sposobem na uzyskanie podmiotowości i realizowanie własnych aspiracji. Ewangelickość tego głosu jest wyraźna, choć wyrażona subtelnie. Autorka nie opisuje jakiejś zewnętrznej nadgorliwej religijności funkcjonariusza kościelnego, którym była tytułowa postać, pastor Kattenschlag, ale pobożność lektury i skromnego życia, poszukiwania wiedzy i hołdowania pracowitości.

W poszukiwaniach śladów pisarki dotarłam do ewangelickiej parafii w Korneuburg, której była członkinią. Na mój list odpowiedziała Pfarerin [proboszczka] Anneliese Peterson, która знаła dobrze jej córkę i zięcia, Lotte i Franza Sengerów. Gdy razem z innymi pastorami z Dolnej Austrii wybierała się w odwiedziny do Cieszyna, Lotte podarowała jej książkę matki, *Die sieben Kinder des Pastors Kattenschlag*. Patrzyła zatem na to miasto jej oczyma. ■

Grażyna Kubica

– doktor habilitowany, adiunkt w Zakładzie Antropologii Społecznej Instytutu Socjologii na Uniwersytecie Jagiellońskim



Edith Schmettan-Demel

Siedmioro dzieci pastora Kattenschlaga

(fragmenty)

Miejsce urodzenia Edith
Schmettan-Demel – cieszyński pałac
Larischów (później Demlów)

Przedmowa

(...) Za placem zaczyna się część miasta zwana Wyższą Bramą, wywodząca swą starodawną nazwę prawdopodobnie jeszcze z okresu, gdy Cieszyn opasały mury obronne. W czasach Kattenschlagów okolica ta miała jeszcze jednoznacznie wiejski charakter. Tutejsze uliczki wily się między niskimi domami i drewnianymi płotami ogrodów. Niedługo potem niskie domki nieco urosły, gdzieś tam pojawiły się rzędy jasnych okien, a ogrody skryły się za kamiennymi murami. Na swoich miejscach pozostały jednak stare drzewa. Jeśli tu czy tam między wiekowe budowle wcisnęła się nowa, modna kamienica, to sprawiała tu wrażenie intruza, który nie posiadał w okolicy Wyższej Bramy prawa stałego pobytu.

Lecz najpiękniejszym miejscem w tamtym kątku był i jest chyba do dziś plac Kościelny, który – osłonięty szerokimi koronami kasztanów – rozpościera się u stóp wielkiej świątyni. Na jego wyboistym bruku zawsze bawiły się dzieci. Wiele pokoleń spędziło na zabawie najpiękniejsze momenty młodości. Także dzieci wielbego pastora Kattenschlaga. On sam, niegdyś duszpasterz tej wielkiej świątyni zwanej kościołem Łaski, rezydujący w poszarzałej ze starości plebanii, która skromnie przycupnęła między pomarszczonymi drzewami i której zielony ganek przyjemnie pobłyskuje ponad placem Kościelnym, spoczywa dziś na porośniętym zielenią cmentarzu, znajdującym się przy samej świątyni. Stary pastor Kattenschlag, o którym wielokrotnie będzie tu jeszcze mowa, leży przy głównej alei pod wielką wierzbą płaczącą, na pagórku bujnie porośniętym przez ciemnozielony bluszcz.

Co niedziela dźwięk dzwonów, szum organów i pobożne śpiewy wiernych docierają na jego grób, tworząc tak cudownie tajemny trójdźwięk, że mogłoby się wydawać, iż to kościół Łaski wzmacnia go swą siłą bogatej przeszłości.

Kościół ten ma bowiem przebogatą przeszłość. Nie powinniśmy zatem ukrywać przed czytelnikiem tego, co mówią o nim stare kroniki (...).

Rozdział 1

O tym, jak pastor żegnał się z żoną

I znowu niedziela zapukała do kościelnych drzwi. Te przesunęły się z wolna na swych ciężkich zawiasach i otworzyły przed wiernymi. Przez posadzkę świątyni przelał się tłum odświętnie ubranych mężczyzn i kobiet, szybko zapelniając ciemne ławki. Organista włączył register, a z wielu gardeł dało się posłyszeć chrząknięcie, otwierające drogę niedzielnej pieśni.

W zakrystii kościelny niecierpliwie wypatrywał pastora. Skończyły już bić dzwony wzywające na nabożeństwo, a jego ciągle nie było. Pod wysokim sufitem świątyni rozbrzmiały początkowe słowa pierwszej pieśni. A gdzie pastor?

Pastor przebywał w tym czasie w zaciemnionej sypialni swego położonego tuż przy kościele domu. W dłoni trzymał rozpaloną przez gorączkę rękę swej żony. Nie wypowiadając słowa, siedział pogrążony w myślach, nie słyszał nawet dźwięku dzwonów wpadającego do izby przez okno. Gdzieś poza nim, jak szum rosnących przed domem drzew, przepływał śpiew wiernych. Nie usłyszał także, gdy otworzyły się drzwi i ktoś wszedł do sypialni. Z odrętwienia wyrwał go dopiero dźwięk słów.

– Ojcze!

Przesunął wzrok. Przed nim stała blada, szczupła dziewczyna. W wyciągniętych rękach trzymała jego togi.

– Musisz iść do kościoła, ojcze. Ludzie czekają.

Roztrzęsionym wzrokiem mężczyzna patrzył na bladą twarz dziewczyny, z której spoglądało na niego dwoje ciemnych, poważnych oczu.

– Nie mogę, Malve.

Z wąskich ust wydobyły się gorzkie słowa.

– Musisz.

Pastor podniósł się z trudem. Wiedział, że jego dziecko ma rację. Musiał spełnić swój obowiązek. Nie mówiąc słowa, pozwolił założyć sobie togę i zawiązać befkę. Potem spojrzął na chorą żonę i wyszedł.

Cicho, tak by nie obudzić chorej, przemknął po skrzypiących drewnianych schodach. Przeszedł przez ciemny korytarz i zielony ganek, minął ocieniony plac Kościelny i wszedł do zakrystii.

W świątyni dawno już przebrzmiała pierwsza pieśń. Organista, improwizując w łagodnych molowych akordach, raz za razem spoglądał w stronę ołtarza, bezskutecznie wypatrując pastora. W końcu bardziej zdecydowanie uderzył w klawisze i zaintonował dodającą otuchy i poruszającą serca pieśń:

„Kto los swój złożył w ręce Boga i w Nim nadzieję swoją ma.

Nie dotknie tego żadna trwoga, choćby nań spadła dola zła”.

W chwili, gdy wierni wyśpiewali te słowa, przy ołtarzu pojawił się pastor Kattenschlag (...).

Podczas liturgii śpiewał i czytał silnym, donośnym głosem. Nie ronił łez, nie zlewały mu się także wiersze Świętej Księgi, tak jak to miało miejsce podczas cichego porannego nabożeństwa. Później wszedł na ambonę i przemówił do wiernych, w sposób, w jaki zawsze przemawiał: dobroliwie i prostymi słowami, pocieszając zranione serca, niosąc siłę słabym i przestrozę lekkomyślnym. Z kazania Kattenschlaga każdy zabierał ze sobą do domu swą część.

W tym samym czasie jego żona leżała w łóżku, niespokojnie pojękując. Jej delikatne palce cały czas przesuwaly się po kołdrze, jakby szukając wsparcia w dłoni, którą ścisnęła przez ostatnie godziny.

Lecz na miejscu ojca siedziała Malve. Jej szczupła postać pochylała się na krześle z pionowym oparciem. Ciemne loki dziewczyny opadały na kanciąste, zmęczone i zapadnięte ramiona. Dwoje poważnych, ciemnych oczu spoglądało na cierpiącą matkę spod wysokiego, bladego czoła. Nikt z domowników nigdy nie zobaczył w tych oczach lęku ani przerażenia. Zawsze dał się w nich wypatrzeć ten sam surowy blask, pod którego wrażeniem pozostawało niezmiennie nie tylko rodzeństwo, lecz także rodzice. Za każdym razem, gdy pastor Kattenschlag zamierzał zaśpiewać swym dzieciom jakąś niepoważną piosenkę z czasu studiów, zwracał się do Malve:

– Zamknij oczy, bo mi słowa nie przejdą przez gardło!

Lecz teraz w tych oczach, które zwykle same wywoływały respekt, żarzyły się strach, tęsknota i miłość, emocje, których nikt w nich jeszcze nigdy nie ujrzał. Chude dziewczęce dłonie próbowały ująć matczyne palce, lecz te natychmiast wyzwały się z uścisku i szukały dalej.

– Heini – szeptała umierająca. Przepełniał ją lęk.
– Trzymaj mnie, Heini!

Na te słowa dziewczyna z jękiem klęknęła przy łóżku.

– Panie, pozwól, bym to ja umarła zamiast niej – modliła się. – Za mną nikt nie będzie tęsknił, a bez niej wielu ludzi nie będzie mogło żyć.

Słyszac to błaganie, anioły stojące przy Pańskim tronie złożyły ręce i zawołały:

– Ojcze, zrób to, o co proszę.

Lecz Bóg pokręcił przecząco głową i dał znak aniołowi śmierci, którego skrzydła chwilę później zatrzepotały nad tonącą w zieleni plebanią. Jęk matki ucichł. Jej jasne oczy, które kiedyś same świeciły słonecznym blaskiem, otworzyły się raz jeszcze i spojrzały na klęczącą przy łóżku dziewczynę.

– Malve, moje dziecko – powiedziała pastorkowa nieopisanie czułym głosem. – Umieram. Teraz to ty będziesz opiekowała się ojcem i rodzeństwem. Je-

steś wierna jak złoto, będziesz ich za mnie ochraniać!

Dziewczyna wyprostowała się i wzięła w ręce dłonie matki, które tym razem nie uciekły.

– Obiecuję ci to, matko – jej słowa zabrzmiały jak przysięga. Potem splotyły swoje dłonie i po raz ostatni zmówiły razem modlitwę. Malve nie płakała, ani nie drżała. Jedynie owo światło, zdradzające lęk i tęsknotę, znów pojawiło się w jej oczach, kiedy obie wypowiedziały „amen” i chora opadła na poduszkę. Umierająca powtarzała szeptem.

– Pozdrów ich wszystkich, małych... dużych... i ojca... i ojca.

Na zewnątrz rozległo się brzmienie dzwonów. Rozkołysali się spizowci śpiewacy na szczycie kościelnej wieży, a ich dźwięk powędrował daleko poza miejskie rogatki. Ucichł trzepot skrzydeł anioła śmierci. W izbie słychać było tylko dzwony. Pastorkowa umarła.

Jej córka podniosła się z kolan i stała chwilę w ciszy, patrząc na zmarłą umęczonym wzrokiem. Potem przeszła przez pokój, a jej wąskie plecy uginały się tak, jakby niosły wielki, niewidzialny ciężar.

Na drewnianych schodach dały się już słyszeć kroki duchownego powracającego z kościoła. Malve otworzyła drzwi na oścież. Nieśmiało oplotła ręce wokół wysokiej sylwetki ojca, która zachwiała się, gdy spojrzał na łóżko.

– Mama nie żyje – powiedziała łamliwym głosem. – Zasnęła w spokoju.

Pastor popatrzył zdezorientowany na opanowaną twarz córki, po czym odepchnął ją oschle.

– Zabrałaś mi ostatnie chwile – powiedział gorzko. Malve odwróciła się i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Pastor został sam ze swoją martwą żoną (...).

– Hanni, otwórz oczy – powiedział na głos. Surowość tonu przestraszyła go samego i obudziła niejako z pierwszego, odrętwiającego cierpienia. Zawstydzony spuścił posiwiałą głowę, złożył ręce żony tak, jak zwykł to czynić u zmarłych, a potem pocałował jej zimne usta.

Nie, jego Hanni nie otworzyła oczu. Zaszło słońce, które się dotąd w nich żarzyło. Znikł uśmiech, który tak często pojawiał się na tej twarzy. Nie było też już ciepła, które emanowało z jej miękkiego, głębokiego głosu. Zrobiło się zimno. Jego Hanni nie żyła. ■

Przekład z jęz. niemieckiego: **Dawid Smolorz**

Edith Schmettan-Demel (1890–1964)

– pisarka i felietonistka, urodziła się i wychowała w Cieszynie (była córką burmistrza miasta), opublikowała kilka powieści: *Die sieben Kinder des Pastors Kattenschlag*, *Das Schweiger Haus* i *Grete Tumsters gluckliches Jahr*

**[...] jeśli człowiek musi
zaprzeć się swoich rodzinnych stron
i poświęcić miłość do nich,
żeby lepiej służyć swojej politycznej ojczyźnie,
to wydaje mi się on podobny do żołnierza,
który strzela do własnej matki,
ponieważ posłuszeństwo uważa za świętsze niż miłość.**

Hermann Hesse

Obrazek z Krukiem

Piękna krzyżacka wieś Dobrzyń na Mazurach. Trawa zieleńsza niż gdziekolwiek, woda modrawa albo chabrowa; trudno się zdecydować, jaką dać nazwę temu kolorowi. Tu się urodził 4 maja 1941 roku Erwin Kruk. Może był to ostatni Mazur, jaki chodził po tej planecie. A życie (polityczne, państwowe, ideologiczne) rozwalowało w nim chyba wszystko – oprócz mazurskości i ewangelickości. Był poetą, był prozaikiem i eseistą esencjonalnym. Był eseistą, albowiem esencją jego esejów i wierszy była jego mazurskość. Tak cudna i tak prawdziwa. Był także członkiem Synodu Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1997–2007.

31 marca tego roku zmarł w olsztyńskim szpitalu. Może ostatni ewangelicki Mazur – ten Erwin Kruk, ostatni, powtarzam to, choć może przesadzam. Taki po polsku piszący Siegfried Lenz albo Wolfgang Koeppen czy Johannes Bobrowski. Są takie regiony w Polsce i w Europie, gdzie mocniej od sił narodowych, etnicznych, politycznych, a nawet przyrodniczych oczarowań krajobrazowych i wszystkich innych działa konfesyjność, determinuje wiara. Taki jest/był ewangelicki Śląsk Cieszyński – takie są/były ewangelickie Mazury. Konfesja wyznacza tutaj tożsamościowe ugruntowanie tak samo jak krajobraz i dźwięki miejscowej mowy czy szum trzciny nad jeziorem albo wiatru w górach.

Gdy myślę o Erwinie Kruku, to zaraz biorę do ręki gruby tom Siegfrieda Lenza pt. *Muzeum Ziemi Ojczystej* (*Heimatismuseum*, 1978) wydany przez Stowarzyszenie Wspólnota Kulturowa „Borussia” w Olsztynie i przetłumaczony przez Marię Przybyłowską i Elżbietę Borg (która niedawno odebrała w Krakowie Nagrodę imienia Karła Dedeciusa). Ta książka opowiada o próbie prześlancowania Mazur do Szlezewika (południowa część Jutlandii). Ale ten Rogalla z Łukowca/Elku, który muzeum mazurskie przeniósł do północnych Niemiec, zabrał kawałek ojczyzny w obce strony; na plecach, jak Eneasz starego Anchizesa, gdy uchodził z trojańskiej pożogi. Któregoś dnia nie wytrzymał i swoje muzeum mazurskie podpalił stary Rogalla. Bo próbowano je użyć, wykorzystać do innych celów niż miłowanie Mazur. I ten poparzony ciężko Rogalla, w szpitalu leżący w bandażach, opowiada historię Mazur. Mazury – dalekie od świata – były wylęgarnią różnych protestanckich ruchów i kolebką nowych Kościołów. To każdy pamięta jeszcze z lektury *Młyna Lewina* Johanna Bobrowskiego (w tym roku przypada stulecie jego urodzin). Wersety Pisma Świętego wplatają się cichutecznie w tatarak. Szeleszczą w liściach lip. I wszystko przenika magia Bożego Słowa nadprzyrodzonego w przyrodzie bujnej krainy.

Są takie regiony, gdzie
mocniej od sił narodowych,
etnicznych, politycznych,
a nawet przyrodniczych
oczarowań krajobrazowych
i wszystkich innych działa
konfesyjność, determinuje
wiarę. Taki jest/był
ewangelicki Śląsk Cieszyński
– takie są/były ewangelickie
Mazury.

Tatarak pisze pismem świętym. A jak mówi Marcin Luter w *Liście do kardynała Albrechta z Moguncji*: „Pismo Święte pełne jest boskich darów i cnót” (21 lipca 1525 r.).

Erwin Kruk coś podobnego zrobił, stworzył, wymyślił. I list zostawił pożegnalny. To tomik poezji pt. *Nieobecność* (Olsztyn, 2015). Nazwa i tytuł tego tomiku zbyt skromne, ponieważ ta nieobecność nade wszystko silnie uobecnia: i Mazury, i ewangelików mazurskich, i Kruka. Ale nazwa mylna, powiadam, bo poezja z nieobecności robi coś wielkiego – nawet odchodzenie, znikanie dawnych Mazur i znikanie odwróconego już ku niebu Kruka. Ulatującego jakby Kruka.

W tomiku *Nieobecność* są przynajmniej dwa bardzo w konfesyjność wpisane wiersze. Jeden z nich to wiersz pt. *Olsztyn*. Jest o starym zamku i katedrze. I kamieniu, o pruskim głazie prastarym wydobytym znad rzeki.

Ten kamień czekał.
Aż ewangelicy wyjdą z zamku
I zaczną budować swoją świątynię.
Ten kamień, mówili złośliwi,
Prusowie używali jako stół ofiarny,
Ale to było dawno. Kamień
Jest ukryty. Od 1877 roku
Jako kamień węgielny
Spoczywa pod kościelną absydą.

Stary kamień pogański, teraz chrześcijański, ale co do składu chemicznego, kształtu i twardości ten sam, powiązał początek z końcem czasu – i ze środkiem ziemi, i z płynnością wód, skałę z – miękkim, nieme – z głoszeniem Słowa.

Drugi wiersz to ten o chrzcinach Sary, wnuczki Kruka. Z Mazur na jesienny Śląsk przenosimy się nagle i gromadzimy się razem z rodziną Kruka „w ewangelickim kościele na Śląsku”.

Moja wnuczka Sara uśmiecha się do księdza,
Kiedy kropi ją wodą i wymawia jej imię,
Jakby świadoma była,
Że my dorośli, zapatrzeni w małe istnienie
Na każdy jej gest zwrócimy uwagę
I o wszystkim będziemy opowiadać na wszystkie strony.

Niby wszystko umiera i odchodzi w *Nieobecności* w nieprzeniknioną nieobecność, ale Sara jest przecież malutka i zaczyna dopiero swoje życie. Odchodzenie tylko przecież mówi nam coś o przechodzeniu. Tak to Kruk małuje i „wznosi psalm dziękczynny pod niebiosa”.

Dużo o miłości jest w tym tomie wierszy Kruka. I w innych jego książkach. O miłości do Mazur, do Kościoła ewangelickiego, do rodzinnej wspólnoty, do miejsc, takich małych miejsc jak Jelguń albo strych w mazurskiej chałupie. Bo Kruk pisze bez przerwy o kochaniu. Miłości daje słowo. Za Johannesem Bobrowskim, tym sarmacko-berlińskim poetą, powtórzę więc, kończąc ten obrazek z Krukiem, że „wo Liebe nicht ist, sprich das Wort nicht aus” („Gdzie nie ma miłości, nie wymawiaj ani słowa”). ■

Zbigniew Kadłubek

– członek Rady Redakcyjnej kwartalnika „Fabryka Silesia”, członek
Johannes-Bobrowski-Gesellschaft e.V. w Berlinie

Kazimierz Brakoniecki

List zamiast nekrologu.

Pamięci poety Erwina Kruka

I

1.

W piątek 31 marca 2017 roku wczesnym popołudniem zmarł w maltańskim hospicjum w Barczewie Erwin Kruk – polski poeta mazurski którego Karl Dedecius nie chciał tłumaczyć na niemiecki ponieważ Mazur Kruk był komunistą regionalistą chłopem a wieś polska nie interesuje Niemców i w ogóle przegrane Prusy Wschodnie peryferyjna prowincja nostalgii i mitotwórstwa kresowego Sybir religijny i klimatyczny Mazurzy głosowali na Hitlera i nie ma o czym mówić chociaż to ziemia Herdera Kanta Wiecherta Lenza Bobrowskiego

Poeta Krainy Nod odnalazł jednak swoją obczyznę-ojczyznę utracił rodziców lecz ocalił pokrewne grudki słów fotografii grobów które obrastały jego wierszami jak słoje w drzewie alfabetu dzieciństwo w III Rzeszy w komunistycznej Polsce wzorowy uczeń lider przemian socjalistycznych i chłopskiego awansu członek partii stypendysta melancholijny reprezentant proletariatu po 1989 roku senator Solidarności ewangelik zwolennik Lecha Kaczyńskiego w płaszczu Konrada coraz bardziej romantyczny i rozgoryczony Mazur

Zostało trochę świadków Karol Małłek Gerard Skok Hieronim Skurpski inaczej Hermann Schmidt ze Skurpi i czy by wygrał Hitler czy Stalin i tak każdy z nich po raz ostatni stałby się mazurskim Indianinem tropiącym zarośnięte niepamięcią tropy milczącego plemienia którego imię i zabobony stałyby się zniewagą albo turystyczną reklamą

Johannes Bobrowski Sarmacją nazwał tę krainę Kruk Krainą Nod
dla mnie to Atlantyda Północy dla Miłosza część Europy Rodzinnej
nic w niej nie było wyjątkowego tu pastwiska Mazowska przechodziły
w tafle jezior na które swoje palce składał wszędobylski księżyc przemian
wieśniacy i leśnicy tu i tam mieli te same drewniane twarze i ręce
ci sami panowie feudalni zaganiali ich mitem i biczem do modlitw i pracy
jak potem do pegeerów przypędzonych tu po wojnie Łemków i Ukraińców

Pojedyncze umysły tworzą zastępcze mity zakorzenienia i iluminacji
które polityka zręcznie potem ludowi sprzedaje jako zwycięstwo nad chaosem
w błysku rozpaczy sieroty po imperium lub arkadii odtwarzają dzieciństwo
zanim śmierć wszystkiego co jest przestrzenią i kształtem widzialnego
zmieni na zawsze mapę ich mózgu i mapę ich ojczyzny

2.

Poeta zmarł w dawnym szpitalu teraz hospicjum w Barczewie na Warmii
dominującym znad wzgórza miejskiego nad kościołami i więzieniem
w którym siedział gauleiter Prus Koch oraz Michnik i Frasyniuk
w miasteczku w którym urodził się muzyk Nowowiejski tłumacz Lipscher
i ja sam w kamienicy na pięterku wąskiej ulicy Mickiewicza
Luterański Mazur zmarły w katolickiej Warmii słabnący kruk jak piskłę
w gnieździe uczące się lotu samotnie ponad krajobrazem pól i lasów
Warmia to całkowicie inna mitologia bardziej polska i biskupia
ziemia Kromera Kopernika Hozjusza Krasickiego taki jezor wysunięty
z pyska nadbałtyckiej wiedźmy którą spalono po raz ostatni w Reszlu

Czarny Kruk chciał być białym krukiem pruskim na Mazurach
osiwiał i białym lotem oblatywał stronice kancjonałów i kronik
gardził powojennymi Borussami z rodziców mieszanych i kolonistów
choć sam mieszaniec z Mazowsza tylko dwa może wieki temu
Tylko on miał prawo nosić pióropusz na kruczych włosach Prusów
a innym – co tak samo uzurpowali sobie prawo do metafizyki miejsca
naśladowali szczekliwych Jadźwingów pogubionych Warmów
wzywali Perkuna i obejmowali buki i dęby w wegetariańskim szale –
dziwił się wychodząc z domu aby zobaczyć co robi bez niego miasto

Pamiętam jego inteligentne oczy zgryźliwy humor przyjmowanie hołdów
jako coś naturalnego jak roślinne były jego pożegnalne wiersze
w których zbierał eschatologiczne słowa jakby obchodził
gospodarstwo po zakończeniu żniw i ziarna było dosyć a jednak puste
bo nic nie wróci bogactwa lat których tak naprawdę nigdy nie było
poza udręczonym wspomnieniem i potrzebą wrośnięcia w to co ulotne
co przesypuje się jak w klepsydze żeby stać się w ciszy cmentarną ziemią

1.

Ceniłem Kruka ale mało lubilem bo nie dawał się lubić
 w poezji chował umarłych i umarłe z nimi przestrzenie i głosy
 co też robiłem wychodząc z innej ekstazy świata i świadomości
 co i tak nas zbliżyło bo wiersze rodzą się i giną z bólu i straty
 a nie z pochwały nikczemnego i tak zakopaliśmy go w ziemi
 poezji z dala od wsi rodzinnej ale w tym samym północnym oddechu
 w pobliżu morza jezior i lasów należących do płytkiego tu kosmosu
 a nie do plemion religii czy ideologii bo i kosmos jest tchnieniem
 poprzez ily mokradła i piaski w których gubisz słowo i światło
 i stajesz się przezroczysty jak wszystkie inne porzucone narzędzia
 i przechodzi po tobie niezauważonym tabor wschodów i zachodów słońca

2.

Całym jego światem za oknem kuchni były drobne mirabelki
 nieśmiało rosnące na osiedlowym krzewie
 zdarzało się że wychodził i stał pod drzewkiem
 liczył mirabelki na gałęziach na spotniałej ziemi
 przyciskał lekko i odchodził zaraz do bloku
 trochę żałował trochę się cieszył trochę patrzył
 wracał do kuchni stał w zamkniętym oknie
 jedną mirabelkę skradzioną obracał w palcach jak
 brakujące w wierszu z nieznaney mowy słowo

Od dzieciństwa wiedział że to co przeżywa i widzi
 w tym samym czasie i przestrzeni choć nie tutaj i teraz
 dzieje się prawdziwiej i że nie chodzi o żadne życie
 po śmierci że śmierci nigdzie tam nie ma
 że to jest współobecność ludzi czasów przestrzeni
 chociaż już nie ma bliskich przestrzeni ludzi czasów
 bo łaknieniem jest tak naprawdę gorzka pustka
 którą się odmienia przez widzialne przypadki serca

Kiedyś na początku zmiany ustroju na demokratyczny
 mieliśmy wspólny wieczór autorski w starej bibliotece
 i więcej nas łączyło niż dzieliło on ostatni poeta Mazur
 ja pierwszy poeta Atlantydy Północy a razem poeci zakłęci
 Teraz wiersze swoje czyta chmurom jałowcom i krewnym
 sam może jest chmurą jałowcem i pokrewnym życia
 na które spogląda czystym po deszczu nieskończoności okiem

1.

O świcie przed pogrzebem pobiegłem na działkę pod lasem
 żeby wkopać jeszcze czarną jeżynę w plecy ziemi
 kiedy znad sosen i brzoź okrzykami zagrzecgotały żurawie
 przecież szła wiosna niechętnie ale jednak tu i ówdzie
 wyleciały jak spitfires od zachodu z zaskoczzonego lasu
 trzy żurawie mocarne strzały rozpogodzonej chwili
 nisko nade mną i na wschód z okrzykiem pogańskim pofrunęły
 i kruk zaraz odezwał się zza drzew i krąg nade mną zatoczył
 uderzając dźwiękiem w odurzoną ziemię i na wschód też odleciał
 gdzie Barczewo stoi i hospicjum na wzgórzu czasu w którym poeta umarł
 śpiewak z krainy Nod i Mazur co o Edenie marzył pruskiej Odysei
 Kruk Ulisses co nigdy nie opuścił swojej przyziemnej ziemi
 gdzie i ja się urodziłem żuraw światologiczny pod nieboskłonem Północy

2.

Gromadka pastorów w czerni zbór sępów luterańskich
 grzebie w ziemi olsztyńskiej barda pruskiego Kruka
 szczególnie jeden najmłodszy popisuje się elokwencją
 jakby stał w barokowej ambonie naprzeciw łodu wiary
 traktat teologiczny wydłubuje z milczącej rany Umarłego
 i pokazuje nam jak chustę Weroniki której nie odgadł

Dół rozwarty pod zielonym namiotem mokry i bezsłowny
 czeka i siwa Świetłana o kulach czeka opuszczona Muza
 słowa terkoczą i opadają w deszczu kiedy ze szczytu lipy
 głos się roznosi perlisty i sylwetka kosa się pojawia
 ciemny ptak zaczyna śpiewać tak jasno jakby nalewał do grobu wodę życia
 nikt już nie słucha czarnowłosego pastora pienia
 lecz zaśpiewów kruka który jest teraz kosem i staje się wielką literą
 wiecznej pieśni której skrzydła w mżawce tęczą się mienią

Ptaszczy Kruk w trumnie zatrzaśnięty nad otchłanią
 i siedzący na nagiej gałęzi lipy alfabetem radosnego śpiewu
 przejrzyście klarowny w tych nutach niebiańskiego losu
 z gardziołka wydobywa nieznane nam jeszcze wielkie litery

Dusza z ciała wyleciała i na miłej lipce zaśpiewała!

Olsztyn, wiosna 2017

Tadeusz Sławek

Poetyckie lekcje Tadeusza Szurmana

Księdzu biskupowi Tadeuszowi Szurmanowi *in memoriam*

ARKADIUSZ ŁAWRYWIANIEC

69

68

Był ważnym obserwatorem. Przyglądał się światu w jego wszelkich przejawach, także tych marginalnych, może wręcz wstydliwie ukrywanych. Nie chodziło o wielkie, historyczne wydarzenia, lecz o codzienną konieczność radzenia sobie, ocalania, podpierania świata. Jak pisał w 2009 roku, jego uniwersytetem był „żywy człowiek”.

Ale te codzienne zatrudnienia i gesty zyskiwały metaforyczny wymiar. Być może nawet niespodziewanie dla samego Obserwatora, który zachowywał je w pamięci i wracał do nich po latach nie dla nostalgicznej podróży sentymentalnej, lecz po to, by krytycznie osądzić samego siebie, i teraz zinterpretować owo wydarzenie sprzed wielu lat zupełnie inaczej, tak by stało się komentarzem do bieżącej sytuacji.

W grudniu 2004 roku Tadeusz Szurman zapisał wiersz, w którym najpierw przypomina, jak dawno temu (być może w czasie biskupiej wizytacji) ze zgorszeniem spostrzegł na ganku parafialnego budynku egzemplarz Biblii podłożony pod nogę rozchwianej szafy. Jak sam pisze z właściwym sobie poczuciem humoru, „protestant, jak łatwo przewidzieć, zaprotestował”. Ale dalej wiersz toczy się już innym torem:

*Dzisiaj przepraszam księdza i wiernych.
Wyprzedziliście przyszłość i proroków.
Dożyliśmy czasów duchowych przełomów.
Pod kulawą nogę tego narodu podłożono też Biblię
i nic się od tego nie zmieniło.*

Trudno o trafniejszą *głoskę* do polskiej współczesności, w której religia stała się ideologicznym instrumentem bez etycznych i duchowych konsekwencji, a nawet często z jaskrawym tychże konsekwencji pominięciem. Bądźmy protestantami i protestujmy wszędzie tam, gdzie Imię Pańskie ma służyć doraźnym partyjnym interesom: to ważna lekcja, jaką odnajdziemy w pismach katowickiego biskupa.

Nie wolno nam więc wtedy milczeć, gdy Imię Pańskie wykrzykiwane jest na politycznym (cytuję wiersz z 2005 roku) „jarmarku bezrozumności”, bowiem kto wtedy milczy, ten „zapomni głosu”, aż wreszcie „żałować będzie, że został skazany na życie”. Ocalamy godność i znaczenie życia, nie zgadzając się na stan rzeczy narzucony (cytuję wiersz z 2008 roku) „obowiązującą papierologią”. Tadeusz Szurman zapewne podzieliłby zdanie swego wielkiego współwyznawcy Sorena Kierkegarda, który pisał, że chrześcijaństwo jest

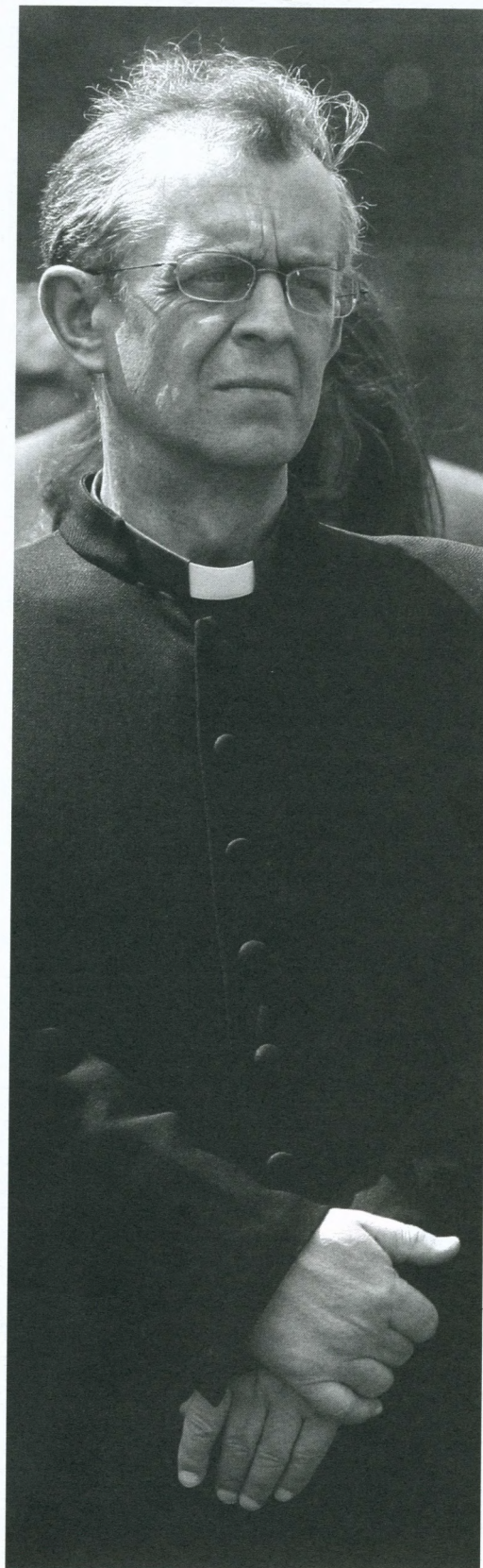
znakiem sprzeciwu. Dopiero zdawszy sobie z tego sprawę, będziemy w stanie odpowiedzialnie odnieść się do coraz bardziej skomplikowanego i zdeorientowanego świata.

*Nie wiesz, co czynić?
Czyń dobrze, choć z tym nie do twarzy.
To następna lekcja Tadeusza Szurmana – poety.*

Trzeba więc nade wszystko nie dać się zwieść uwodzicielskim słowom, które za wymyślną fasadą cnót i prawd kryją brutalną polityczną grę o władzę. To także ostrzeżenie przed bezrefleksyjną tłumnością zachowań gromadzącą wyznawców owych „prawd” i „cnót”. Praktykowane tam celebacje wielkich haseł i pojęć takich jak „chrześcijaństwo”, „pamięć”, „naród” w istocie pojęcia te rujnują, sprowadzając je do rangi dorażnie jedynie użytecznych instrumentów władzy. Wobec władzy, zawsze wspierającej się na tłumie, człowiek ma obowiązek obrony swojej samotnej pojedynczości. Tylko tak przysłuży się w sposób mądry wspólnocie. Inaczej ulegnie złym urokom tych, którzy niezmordowanie powtarzając puste deklaracje o chrześcijańskiej miłości, zamkną granice przed szukającymi schronienia i nie cofną się przed żadnym kłamstwem dla obrony ich własnej „prawdy”. Tadeusza Szurmana lekcja kolejna: nie liczni „wyznawcy”, lecz myśląca jednostka, nie „chrześcijaństwo”, lecz dogłębnie i osobiście przeżyty i przemyślany Bóg – oto nadzieja na poprawę stanu świata. W napisanym w 2010 roku wierszu czytam:

*Pomówmy jak człowiek z człowiekiem,
To mi w zupełności wystarczy.
Już dawno nie czekam na rozmowę
Chrześcijanina z chrześcijaninem.
Nie wiem za bardzo o czym by była,
Czego by dotyczyła i komu służyła.*

I jeszcze jedna lekcja, dla księdza-poety chyba szczególnie istotna. Wytrawny czytelnik literatury, obcujący ze sztuką bywalec muzeum i pilny obserwator zmieniających się prądów estetycznych, a także form komunikowania się, nie mógł nie zapytać, jak uczynił to w wierszu z 2005 roku: *Po cóż to wszystko?* Przygotowanie tego pytania warte jest uwagi. Mowa w nim o nurtach sztuki dalekich od tych, które niejako naturalnie przypisać chcieliby-



śmy księdzu-poecie. Nie biblijne Psalmy, lecz dada-
iści, nie religijne poematy choćby późnego Eliota,
lecz Witkacy, nie skupiona lektura Pisma, lecz jej
krzykliwa, niemal językiem reklamy zapisana ada-
ptacja. Posłuchajmy:

*Czysta forma dadaistów
mimo programowej bezsensowności,
Stanisława Witkacego nieuznany kierunek
nieprogramowo nazwany w-pole-wyprowadzizm,
pełna uzasadnionej goryczy literatura
przezieraająca dziś tęsknotą do lepszych czasów,
billboardowa Biblia pierwszego kontaktu
adresowana jako homilia dla młodych.*

Lekcja brzmiałaby więc następująco: przede wszyst-
kim nie szukać łatwego schronienia w tym, co
składa obietnice gotowego sensu, gdzie dotykająca
nas do żywego gorycz egzystencji zostaje złagodzo-
na uspokajającą frazą religijnego rytuału zbliżają-
cego się niebezpiecznie do granicy parodii religii.
Tadeusz Szurman jako motta do jednego z wierszy
użyje cytatu z pism Józefa Tischnera zawierającego
właśnie taką diagnozę: „Chrześcijaństwu w Polsce
nie grozi laicyzm, ani ateizm (przynajmniej na ra-
zie), ale parodia religii”. Teraz nasuwające się po
lekturze poetów, pisarzy, po obejrzeniu obrazów,
pytanie „po co to wszystko?” nabiera szczególnego
znaczenia. Sztuka pozostaje bowiem domeną po-
szukiwania sensu, gdy działalność polityczna sto-
czyła się do poziomu bezwzględnej walki, w której
sensu się nie poszukuje, lecz *ustanawia i narzuca*
innym. Artysta jest więc obrońcą wolności myśli,
nieskrępowanego dociekania, jest patronem drogi
ku zrozumieniu, które pozostanie na zawsze jedy-
nie *próbą* zrozumienia. To zaś stanowi próg wiary.
Nie jest to wiara doktrynalnych i doktrynerskich
zarządzeń, lecz wiara tych, których Kierkegaard
nazywał „rycerzami wiary”. Na pytanie: „Po cóż to
wszystko?”, Tadeusz Szurman odpowiada:

*Aby coś zrozumieli potomkowie nomadów
i przeżyli swą własną przygodę wiary.*

Wiara jako *przygoda*, życie jako nieustająca *próba*
(z)rozumienia: to wołanie o przemianę, o odnowę
świata, nie tylko o jego opis, ale gruntowną zmia-
nę. Takie przesłanie odnajduję w wierszach kato-
wickiego biskupa. Z wyraźnym żalem pisał:

*Dawno już nikt tutaj nic nowego nie buduje,
Szczególnie z kamieni Bożego Ducha.*

Tadeusz Sławek

– profesor, anglista, eseista, wieloletni rektor
Uniwersytetu Śląskiego

Waldemar Szymczyk

500 drzew na 500-lecie

Po czym poznać domy ewangelików w Szczyrku? Po rododendronach w kolorach białym, różowym i czerwonym. To pomysł pewnego księdza na uczczenie 500-lecia reformacji.

Budynek wygląda jak pensjonat, jakich sporo w Szczyrku: 11 czystych i zadbanej pokoi, gospodarz na podwórku żartuje z niemieckimi motocyklistami, którzy zatrzymali się tutaj. Żona prowadzi kuchnię, zajmuje się administracją, a oprócz tego jest nauczycielką języka niemieckiego w pobliskiej szkole. Trójka dzieci pomaga rodzicom, chociaż właściwie są już na swoim: 23-letnia Karolina ukończyła studia i pracuje w Bielsku-Białej w firmie informatycznej, 20-letni Mateusz studiuje robotykę i automatykę na Politechnice Krakowskiej, a jego siostra bliźniaczka Ewelina jest modelką. Pracuje w warszawskiej agencji, podróżuje po świecie, była dwa miesiące w Barcelonie, dostaje propozycje sesji np. z Japonii. Typowa rodzina? Nie do końca. Bo gospodarz nosi koloratkę i jest proboszczem parafii ewangelickiej w Szczyrku. Nazywa się Jan Byrt i trudno by było znaleźć w Szczyrku osobę, która go nie zna. A „pensjonat” to na co dzień ośrodek rekolekcyjny.

Rocznicowe pomysły

– Tak, to mój pomysł. Zrealizowaliśmy go wspólnie z naszym miastem patronackim Zetel w Niemczech: 500 rododendronów na 500-lecie – przyznaje ksiądz Byrt.

– Świętować rocznicę zaczęli już z dziesięć lat temu. Na swojej działce na Białym Krzyżu mieli posadzić 500 drzew. Teraz tam jest już spory las i tych drzew to są tysiące – mówi pracownik wypożyczalni sprzętu sportowego. (– Jechałem w 2007 roku z konferencji księży samochodem, przejeżdżałem przez Białą Krzyż i wtedy Duch Święty podsunął mi taką myśl: „A co by było, gdybyśmy zrobili ekologiczny projekt, który by służył całemu światu i posadzili 500 drzew na 500 lat reformacji?”. Umówiliśmy się w którąś sobotę na Białym Krzyżu, mieliśmy ze sobą drzewka i tzw. sztychówki. Szybko

się okazało, że one do niczego się nie nadają w groniach. Potrzebne były male kilofy. Pożyczyłem je i zaczęliśmy sadzić. Było nas 30 osób w jeden dzień posadziliśmy 300 drzewek. Potem sadziliśmy kolejne i ostatecznie jest ich 5000. Drzewa rosną, są piękne, już mniej przerosły).

– Dużo koncertów robią, niedawno dzieci występowały – mówi nastolatek z gimnazjum. (– Luter powiedział: „Kto śpiewa, ten się podwójnie modli”. Dlatego zorganizowałem koncert „Od przedszkola z Chrystusem do Szczyrku Salmopola”. Zaprosiłem dzieci do śpiewania, ze Szczyrku, Wisły, Gilowic. Był też w Wiśle chór amerykański z Michigan z utworami kompozytorów z czasów reformacji. Przyjechali specjalnie na jeden koncert do Polski).

– Na Salmopolu, koło kościoła ewangelickiego, wiosną było jak w Dolinie Chocholowskiej. Pełno krokusów zakwitło – mówi pracownica w jednym z pensjonatów. (– Od roku 2010 sadziłem cebulki 500 krokusów. Ale jest piękniej niż w Dolinie Chocholowskiej. Tam są tylko fioletowe, u nas w różnych kolorach).

– Mamy chyba najwięcej ptaków w okolicy – śmieje się Dorota Byrt, żona księdza Jana. – To też projekt ekologiczny – 500 budek dla ptaszków na 500-lecie reformacji – wyjaśnia ksiądz Byrt. – Ale najważniejsze, co dała nam reformacja, to Słowo Boże, powrót do korzeni religii. Nauczyła też ludzi: módl się i pracuj. Jeśli ktoś cię zatrudnił, to rzetelnie pracuj, nie rób chałtury. A z drugiej strony: jeśli ty kogoś zatrudniasz, to mu godnie zapłać, godnie go traktuj.

– I parafianie rzeczywiście tak postępują w pracy? – pytam.

– Jest z tym problem. Ale my w kościele ciągle przypominamy, że tak postrzegano naszych ojców, tak postrzegano ewangelików, i tak ma być nadal.

Pomagać niezaradnym

Ksiądz Byrt znany jest z wielu akcji charytatywnych. – Nie wyobrażam sobie, żeby myśleć tylko o swojej rodzinie. Jesteśmy stworzeni, by widzieć też drugiego człowieka – wyjaśnia. – Dzisiaj, oprócz tego, że mamy ludzi bardzo bogatych, to mamy też niezaradnych. Nie biednych, ale niezaradnych. I trzeba im pomagać. Jesteśmy jedną z niewielu parafii, jeśli nie jedyną, która zbiera ubrania i potem je rozdaje potrzebującym. Zbieram laski dla osób starszych, chodziki dla niepełnosprawnych, wózki inwalidzkie. Prowadzimy latem akcję „Podziel się rowerem”, a zimą „Podziel się nartami”. Trafiają do biednych dzieciaków. Ostatnio podarowałem sześć rowerów Domowi Dziecka w Międzywiciu. Ale pomogłem także uczennicom tutejszej Szkoły Mistrzostwa Sportowego – dostały rower. Dzisiaj świat stał się niesamowicie egoistyczny, ludzie myślą tylko o sobie, o pieniądzach. A przecież nie mamy dwóch żołądków, dwóch chałup nie potrzebujemy. To Kościół jest od tego, by ludziom wskazać, co jest najważniejsze.

SMS-y do parafian

W Szczyrku na prawie 5800 mieszkańców ewangelików jest stu. – Wielu wyjechało za pracą, jak granice otworzyli. Do Anglii, Belgii, Holandii, Niemiec. Byłem zaskoczony, że ci młodzi tak wyjeżdżają z całymi rodzinami za chlebem. Ale Pan Bóg mi to wynagrodził wstąpieniami do Kościoła. I nowe rodziny mi zastąpiły te, co wyjechały.

W zeszłym roku do Kościoła wstąpiło siedem osób, w tym przygotowuje się do tego kolejnych siedem. Powody są różne. Czasami to konflikt z księdzem katolickim, bo np. nie chciał zrobić pogrzebu. Niektórzy dowiadują się o parafii z mediów, przychodzą na nabożeństwo, spodoba im się i zostają. Ale wielu po prostu szuka Boga i trafia do księdza Byrta, który walczy nie tylko o nowych wiernych, ale o utrzymanie dotychczasowych. – Miejscowości turystyczne jak Szczyrk, Wisła, czy Ustroń są narażone na nieprawdopodobną ateizację. My, kapłani, musimy tutaj dwa razy więcej pracować – przyznaje ksiądz Byrt.

Mieszkańcy są tutaj nastawieni na turystów i zarówno w sezonie letnim, jak i zimowym praca jest na okrągło, przez cały tydzień, ale najwięcej w weekendy. Parafianie prowadzą pensjonaty, parkingi, wypożyczalnie sprzętu sportowego, restauracje i nie mają czasu na niedzielne nabożeństwo. – Gdybyśmy nie pracowali z nimi, część by nie wróciła po zakończeniu sezonu. To my do nich chodzimy, żeby nie zatracić

kontaktu, żeby czuli się częścią naszej wspólnoty. Staramy się każdą rodzinę odwiedzić, poznać jej problemy, uzmysłowić, że Kościół jest społecznością ludzi wierzących i my tego człowieka potrzebujemy. Staramy się też go ostrzec, żeby nie wpadł w szał materializmu, żeby dla niego nie były najważniejsze środki materialne, tylko skarby dla Królestwa Bożego.

Ale poza sezonem ksiądz Byrt też pilnuje parafian. – Jak się ktoś przestaje pojawiać w kościele, to, chwała Panu, mamy telefony komórkowe. Mamy też numery do wszystkich parafian i możemy im wysłać SMS-a: „Czy jesteś chory, że Cię dzisiaj nie widziałem? Czy jesteś w szpitalu?”. Natychmiast przychodzi odpowiedź: „Nie jestem chory, proszę księdza, ale byłem w kościele w Wiśle”. Albo: „Byłem na komunii, bo moja druga strona rodziny jest katolicka”.

Konkurencja jest dobra

Parafia ewangelicka w Szczyrku jest bardzo stara, już w 1720 roku pojawili się tu pierwsi ewangelicy. Byli to pracownicy leśni z Wisły. Wyrabiali lasy i tak się im tu spodobało, że zostali. Ale zawsze w Szczyrku byli mniejszością.

– Bycie mniejszością zawsze jest ryzykowne. Czy ewangelicy nie boją się tego? – pytam księdza Byrta.

– Nie, oni wiedzą, że mają być solą tej ziemi i światłością tego świata. Mają być wzorem do naśladowania, mają być dobrym świadectwem. Nie muszą głosić ewangelii, mają ją głosić swoim życiem. Jeśli to parafianie rozumieją, to nie musimy się obawiać, że Kościół będzie się zmniejszał.

Właściwie to największy rozkwit parafia przeżywa teraz. Nigdy nie było tylu ewangelików. – To bardzo dobrze, że jest kilka kościołów w naszej miejscowości, bo konkurencja jest dobra nie tylko w gospodarce, ale też w Kościele – mówi ksiądz Byrt.

I w przeciwieństwie do wielu katolickich parafii nie ma problemu z brakiem młodych. – Moje dzieci mają bardzo dobry kontakt z młodzieżą, która podsuwa pomysły moim dzieciakom, a one z kolei mnie. Tradycyjnie śpiewaliśmy ze śpiewników ewangelickich, a oni podsunęli pomysł, żeby pieśni wyświetlać za pomocą rzutnika na ścianie. Sami to urządzenie zresztą obsługują.

– Kontakty z katolikami, tak jak się układają w Szczyrku, to chyba nigdzie w Polsce. Ksiądz z księdzem, ludzie z ludźmi. Jak któryś z księży zachoruje, to wtedy zastępujemy się na lekcjach religii. Kiedyś ksiądz katolicki się rozchorował i przez miesiąc prowadziłem lekcje religii w całej szkole, a nie tylko dla moich dziewięciorga uczniów. Poprowadziłem typowo biblijne lekcje. I wiem, jak ciężką pracę ma ten ksiądz, bo dzieci są dzisiaj różne. Ale była to dla mnie wielka satysfakcja, bo Pan Bóg znowu mnie otworzył, pokazał jakąś nową perspektywę.

Kamil Durczok, redaktor naczelny portalu Silesion, kiedy wybudował dom w Szczyrku, dostał od księdza Byrta kartkę: „Kamilu, witamy w Szczyrku”. A potem został przez niego zaproszony na ekumeniczne spotkanie w kościele katolickim. – Czytałem fragment Ewangelii, a potem miałem miłe spotkanie z parafianami obu Kościołów. Jestem katolikiem i bardzo mnie zaskoczył ten gest ewangelickiego księdza – mówi Kamil Durczok.

Ks. Jan Byrt:

– Kontakty z katolikami, tak jak się układają w Szczyrku, to chyba nigdzie w Polsce. Ksiądz z księdzem, ludzie z ludźmi...

– Jako jedyna parafia w Polsce komunii świętej udziela-
my z kielichów prezydenckich. Mamy kielich od prezydenta
Lecha Kaczyńskiego, Bronisława Komorowskiego i Andrzeja
Dudy – dodaje ksiądz Byrt.

Rozruszać Szczyrk

Pochodzi z Wisły, gdzie rodzice mieli gospodarstwo. Jak na
góry duże, bo siedmiohektarowe. Do tego pięć krów, koń,
świnie, kaczki, gęsi... Od dziecka pracował na roli, podobnie
zresztą jak czworo rodzeństwa. Rodzina była ewangelicka
z dziada pradziada. – Jezus był na pierwszym miejscu w rodzi-
nie. Nie poszliśmy spać, zanim nie zaśpiewaliśmy kilku pieśni
i nie pomodliliśmy się – wspomina ksiądz Byrt. Ale nie miał
zamiaru zostać księdzem. Od 14. do 19. roku życia pracował
na stoisku ze sprzętem AGD w domu towarowym w Wiśle.
Myślał o studiach ekonomicznych.

– Prowadziłem spotkania młodzieżowe w mojej parafii.
Na jedno z nich zaprosiłem dziennikarza radiowego Mar-
ka Cieślara. Spytał, o czym ma mówić. Powiedziałem: wy-
jaśnij, jak powstało Słowo Boże, Stary i Nowy Testament.
Było nas na sali około 80. Na wstępie Cieślar zapytał: „Kto
z was przeczytał Słowo Boże? Ale całe, od Księgi Genesis
do Apokalipsy”. Wstało 11 osób. Ja nie, bo nie przeczyta-
łem w całości, tylko fragmenty. Cieślar powiedział wtedy ta-
kie znamienne zdanie: „Jeśli kiedyś stanimy przed bramą
Królestwa Bożego, to jedno z pierwszych pytań Pana Boga
będzie: »Czy chociaż raz w życiu przeczytałeś moje Słowo
Boże? Jeśli nie przeczytałeś, to nie jesteś mnie godzien“.
Mnie to tak wtedy uderzyło, że wróciłem do domu, otworzy-
łem Biblię na pierwszej stronie i zacząłem czytać. I podczas
tego czytania, gdzieś po półtora miesiąca, wszedłem na taki
werset ze Starego Testamentu: „Jeśli mnie szukać będziecie,
to mnie znajdziecie”. I wtedy odnalazłem żywego, realnego
Boga. Miałem 20 lat. Od tego momentu nie myślałem już
o studiach ekonomicznych, ale o Nim.

Jan Byrt pojechał do Warszawy, do Chrześcijańskiej Aka-
demii Teologicznej. Zdał egzaminy wstępne. Studia trwały
pięć lat. – Były trudne merytorycznie, bo byłem po zasadni-
czej szkole zawodowej, potem po wieczorowym liceum. Ale
duchowo dużo mi dawały, to były dla mnie przepiękne lata.

Po studiach, w 1989 roku, został wikariuszem biskupa
diecezji cieszyńskiej Jana Szarka. – Miałem wspaniałego
zwierzchnika, który stał na czele diecezji i wiele rzeczy przy
nim się nauczyłem. Na przykład, że czas trzeba wykorzystać
maksymalnie dla Bożej sprawy, nie jest ważny nasz urlop, bo
ten urlop będziemy mieć kiedyś w Królestwie Bożym. Że nie
jest ważny luksus, ksiądz nie musi jeździć jakąś superlimu-
zyną (ks. Byrt ma 17-letniego busa, który jest wykorzysta-
wany do prac transportowych w parafii). Ważne jest to, że
w Królestwie Bożym jest to, czego oko nie widziało i ucho
nie słyszało.

Kiedy biskup Szarek został w 1991 roku konsekrowany
na biskupa Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Polsce,
spytał księdza Byrta: „A może byś poprowadził ten Szczyrk?
Może byś go rozruszał? Spróbuj na pięć lat”.

Nie miał zamiaru zostać księdzem.
Od 14. do 19. roku życia pracował
na stoisku ze sprzętem AGD
w domu towarowym w Wiśle.
Myślał o studiach ekonomicznych.

Z tych pięciu lat zrobiło się prawie 27. Jak zaczynał, mało
ludzi chodziło do kościoła. Nabożeństwa odbywały się raz
w miesiącu o 14.00 w niedzielę. Stwierdził, że pora jest zła
i zmienił na każdą niedzielę o 11.00. Wprowadził godziny
biblijne w środy o 17.00. Zaczął z parafianami czytać Słowo
Boże. Wprowadził lekcje religii, spotkania dla młodych ludzi.
Odwiedził wszystkie domy, pytając, czy mieszkańcy są ewan-
gelikami, czy katolikami. Jeśli byli ewangelikami, pytał, czy
mają dzieci ochrzczone i czy żyją w związku małżeńskim, czy
mają tylko ślub cywilny. I ludzie duchowo odżyli, zaczęła ro-
snąć liczba wiernych na nabożeństwach.

Modlitwa o żonę

– U nas jest niepisana zasada, że najpierw przyrzeczenie trzeba
złożyć Bogu, czyli najpierw wyświęcenie, a potem można zło-
żyć przyrzeczenie małżonce – mówi ksiądz Byrt o swoim mał-
żeństwie. – O żonę należy się modlić. To Bóg ma ci ją wybrać,
bo ja mogę wybrać źle. W wieku 14-15 lat zacząłem się modlić
o partnerkę, którą Pan postawi na mojej drodze. Spotykałem
różne dziewczyny, ale to nie była jakaś wielka miłość. Pewnego
razu, na trzecim roku studiów teologicznych, miałem mieć let-
nią praktykę w Wiśle. Ale koleżance, która miała jechać z grupą
na obóz na Mazurach, coś wypadło i zaczęła szukać zastępstwa.
Początkowo odmówiłem, ale w końcu dałem się przekonać.
I tam przyjechała moja przyszła małżonka ze swoją grupą.

– Miłość od pierwszego wejrzenia?

– Nie, tak delikatnie przyglądałem się. Po ośmiu latach
znajomości wzięliśmy ślub. Miałem 30 lat.

– Wyobraża sobie ksiądz życie w celibacie, bez rodziny?

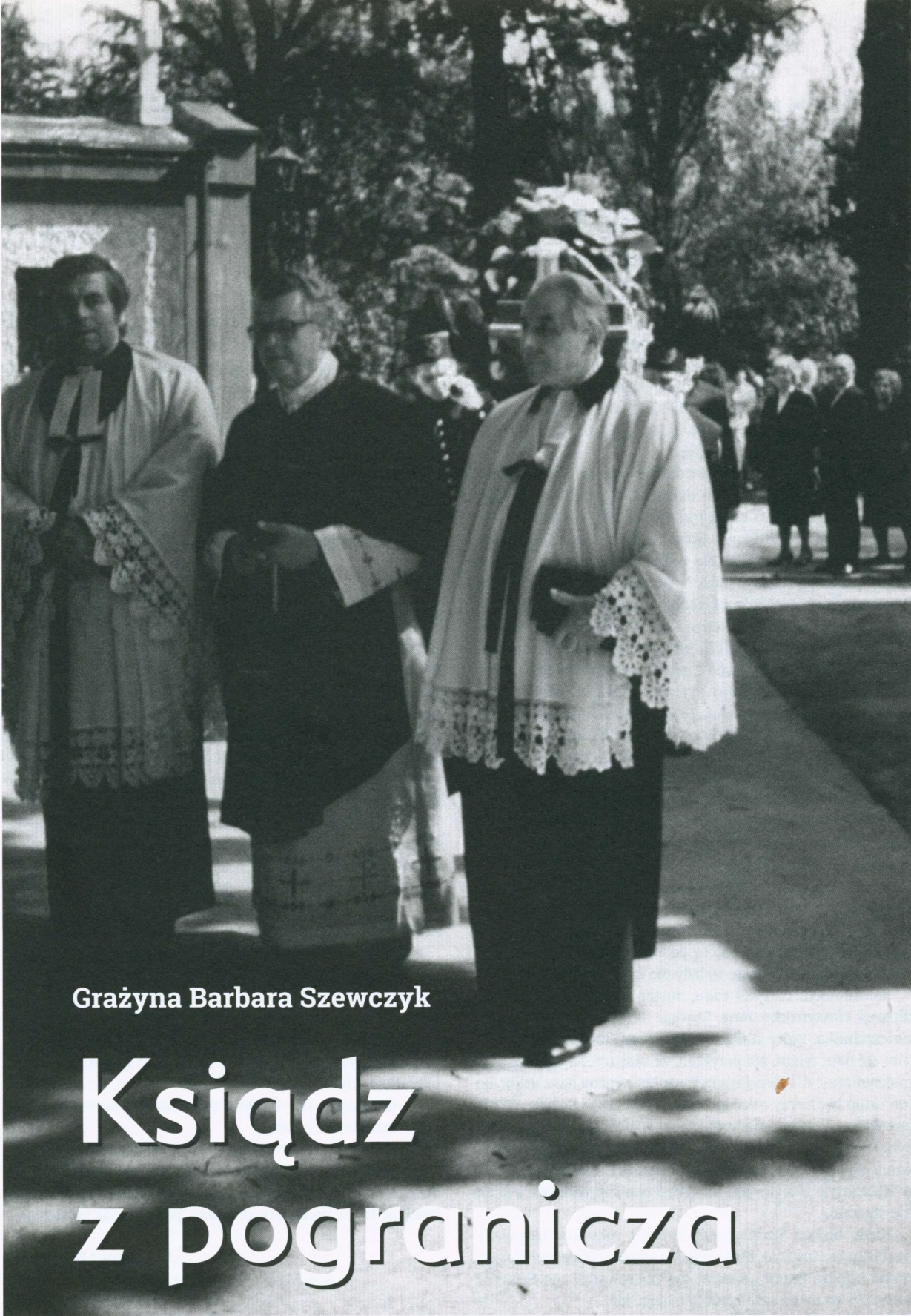
– Zostałem kiedyś zaproszony do mojego przyjaciela, który
jest księdzem katolickim. Po powrocie mówię do żony: wiesz
co, moja kochana żoneczko. Tam jest wszystko na wysokim
poziomie, ale strasznie zimny jest ten dom. Nie ma życia.
A u nas zawsze ktoś na ciebie czeka. Nie wyobrażam sobie,
żeby mogło być inaczej.

– Ale ksiądz ma w tym momencie typowe problemy
z dziećmi, kłótnie z żoną...

– Żeby nie idealizować, jesteśmy normalną polską rodziną,
która życie swoje oddaje każdego dnia Bogu i, tak jak Jezus
uczył, staramy się żyć w Bożej miłości do siebie i do bliźniego.
Dziękuję Bogu, bo to, o co prosiłem, podał mi jak na tacy. ■

Waldemar Szymczyk

– członek Rady Redakcyjnej „Fabryki Silesia”, dyrektor
wydawniczy Imago PR



Grażyna Barbara Szewczyk

Ksiądz z pogranicza

Wśród ewangelików zasłużonych dla kultury Górnego Śląska szczególne miejsce zajmują duchowni, którzy inicjując po II wojnie światowej dialog między polskimi i niemieckimi chrześcijanami, przyczynili się do budowania trwałych mostów między obu narodami i dwoma wyznaniem, wspierając proces pojednania.

Taką postacią był ksiądz Rudolf Baron, urodzony 3 września 1921 w Golasowicach, w powiecie pszczyńskim, zmarły 27 grudnia 2003 roku w Neumünster w północnych Niemczech. Związki, jakie pastora Barona łączyły z jego rodzinną ziemią, naznaczone były nie tylko przeżyciami z okresu dzieciństwa i z lat wojny, ale i osobistymi kontaktami z Polakami i ze Ślązakami, przedstawicielami różnych generacji i zawodów.

Na ziemi pszczyńskiej

Urodzony w rodzinie zamożnego rolnika Rudolf Baron po ukończeniu niemieckiej szkoły powszechnej w Golasowicach podjął naukę – wbrew woli swojego ojca, który pragnął, by najstarszy syn objął po nim gospodarstwo – w prywatnym niemieckim gimnazjum w Pszczynie, w słynnym Hochbergianum. „1 września 1934 roku rozpocząłem naukę w gimnazjum w Pszczynie – pisze we wspomnieniach. – Język polski był tam przedmiotem obowiązkowym. Uczyla mnie polska nauczycielka pani Ziembowa, która bardzo mnie polubiła [...]. Poziom nauczania w gimnazjum był bardzo wysoki”. (R. Baron: *Erinnerungen*, rękopis, z jęz. niemieckiego przełożyła G.B. Szewczyk). W pamięci ucznia utrwaliło się kilka nazwisk nauczycieli (np. nazwisko ówczesnego dyrektora gimnazjum, dr. Ranhoschka), a także kilka wydarzeń, np. wycieczki szkolne nad jezioro Paprocany, do rezerwatu żubrów w Jankowicach, a także szeroko komentowane zajęcie majątku pszczyńskiego księcia przez polskie władze w 1937 roku, do którego należał internat zamieszkiwany przez uczniów gimnazjum. Po wygaśnięciu konwencji genewskiej uczniowie Hochbergianum utracili możliwość zdawania niemieckiej matury w macierzystej szkole. Rudolf Baron, w przeciwieństwie do szkolnych kolegów, spośród których większość przystąpiła do egzaminu dojrzałości w Gdańsku, postanowił w 1938 roku kontynuować naukę w polskim gimnazjum w Żorach. Tam zawiązały się jego pierwsze przyjaźnie z polskimi uczniami, a niektóre z nich pielęgnowane były po 1945 roku. Po wybuchu II wojny światowej i zamknięciu polskiej szkoły Rudolf Baron powrócił do Pszczyny. W marcu 1940 roku otwarto w budynku byłego polskiego gimnazjum Oberschule Pless. W szkole tej zdał maturę na początku kwietnia 1941 roku; 9 kwietnia tego roku został powołany do służby wojskowej w niemieckiej armii. Poszczególne stacje w długiej, trwającej cztery lata odysei wojennej na froncie wschodnim opisał Rudolf Baron we wspomnieniach. Jego głęboka „luterska wiara”, pobożność i obowiązek pomagania innym, wartości, które wyniósł z rodzinnego domu, a także znajomość języka polskiego pozwoliły mu przeżyć wojenne inferno. Dwaj młodszy bracia księdza Barona zginęli na polach walki w ostatnich miesiącach wojny.

77

Kontakty z Polską

Na początku 1945 roku Baron znalazł się we Flensburgu, mieście położonym niedaleko duńsko-niemieckiej granicy; tam zastał go koniec wojny. Decyzja o pozostaniu na północy Niemiec, gdzie poznał swoją przyszlą żonę i znalazł w jej rodzinie wsparcie, zbiegła się z otwarciem wydziału teologicznego w murach zniszczonego uniwersytetu w Kilonii; pod koniec 1945 Rudolf Baron rozpoczął studia na kierunku teologii protestanckiej. Potem pracował jako wikariusz, a następnie jako proboszcz w parafiach w Hennstedt i w Bad Segeberg. Rodzice pozostali na gospodarstwie w Golasowicach do 1963 roku.

Po raz pierwszy ksiądz Baron przyjechał na Śląsk w odwiedziny do bliskich w październiku 1955 roku. Poznał wtedy proboszcza ewangelickiej parafii księdza Józefa Kropa (1912–1982), z którym połączyła go serdeczna przyjaźń. Intensywne kontakty z Polakami rozwinęły się dopiero na początku lat 70. Pastor



ARCHIWUM PRYWATNE GRAŻYNY B. SZEWCZYK

Baron zaczął wtedy wspierać działalność nowo utworzonego stowarzyszenia Deutsch-Polnische Gesellschaft w Holsztynie, którego celem było popularyzowanie i upowszechnianie polskiej kultury wśród Niemców. Organizował np. regularne wyjazdy młodzieży niemieckiej z parafii w Bad Segeberg do Polski i zapraszał do Niemiec osoby z Śląska i z różnych miast Polski. Szczególną wagę przywiązywał do pielęgnowania kontaktów z parafiami ewangelickimi w Pszczynie, Golasowicach, Cieszynie, Wiśle, Chorzowie, Katowicach, a także we Wrocławiu.

W latach 80., w stanie wojennym i po jego zniesieniu ksiądz Baron dla domów dziecka w Pszczynie i w Chorzowie, dla parafii ewangelickich w Pszczynie, Żorach, Golasowicach, Chorzowie, Katowicach, Mikołowie i innych miastach przewoził papier do drukarek, czasopisma i literaturę religijną. Zaopatrywał w żywność najbardziej potrzebujące rodziny, angażował się w wymianę chórów. Krąg przyjaciół pastora Barona stawał się na Śląsku coraz większy. Obok księży – we wspomnieniach opisuje swoje spotkania zarówno z księżmi ewangelickimi najstarszej generacji, np. z J. Kropem, J. Motyką, A. Jaguckim, E. Romańskim, jak i z młodszymi wiekiem duszpasterzami: Janem Grossem, Pawłem Anweilerem, Janem Badurą, Ryszardem Boguszem, Tadeuszem Makulą, Tadeuszem Szurmanem, Jerzym Romańskim i in. – obejmował także pisarzy, nauczycieli akademickich, pedagogów, ludzi ze świata kultury i gospodarki. Niemiecki ksiądz odprawiał nabożeństwa z polskimi, celebrował nabożeństwa żałobne zmarłych polskich przyjaciół, uczestniczył w ekumenicznych spotkaniach, w polsko-niemieckich sympozjach, debiutował także jako tłumacz polskiej poezji i prozy.

Ponad podziałami

W ostatnich latach życia ksiądz Baron starał się wspierać wszelkie inicjatywy służące polsko-niemieckiemu dialogowi młodzieży. Kilkakrotnie zapraszał grupy studentów z Uniwersytetu Śląskiego do Bad Segeberg, pośrednicząc w organizowaniu spotkań z władzami i parlamentarzystami landu Szlezwik-Holsztyn i towarzysząc im w zwiedzaniu instytucji oświatowych, kulturalnych i użyteczności publicznej, a także w rozmowach z wybitnymi osobistościami. Dla Liceum im. Bolesława Chrobrego w Pszczynie i dla Liceum im. Karola Miarki w Mikołowie znalazł partnerskie gimnazja w Niemczech. Wiele wysiłku, pomysłowości i energii twórczej włożył w nawiązanie partnerskich kontaktów między miasteczkiem Klein Rönnau, należącym do jego parafii, a Pszczyną. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że gdyby nie osobiste zaangażowanie księdza Barona, nie doszłoby nigdy do podpisania oficjalnej umowy, ani do umieszczenia w centrum Klein Rönnau, zamieszkiwanej przez dość konserwatywną społeczność Niemców, tablicy upamiętniającej to wydarzenie.

Ksiądz Rudolf Baron przebywał często w Katowicach, Mikołowie, Pszczynie i Golasowicach także z innych powodów. Interesowała go historia tych miejscowości, stosunki wyznaniowe, począwszy od czasów reformacji. Studiując na parafiach zgromadzone tam materiały, w tym stare kroniki, księgi kościelne, pamiętniki duchownych, odwiedzał przy okazji miejsca swojej młodości. Z godnym podziwu uporem starał się rekonstruować dzieje członków własnej rodziny i gimnazjalnych kolegów. Nie chodziło mu jedynie o porządkowanie faktów z przeszłości, ale także o informacje dokumentujące przemiany dokonujące się w życiu kulturalnym i ekonomicznym miast śląskich. Kiedy spotykał się z żyjącymi w Niemczech od 1945

Niemiecki ksiądz
odprawiał nabożeństwa
z polskimi, uczestniczył
w ekumenicznych
spotkaniach, w polsko-
niemieckich sympozjach,
debiutował także jako
tłumacz polskiej poezji
i prozy.

roku mieszkańcami Pszczyny, potrafił wznieść się ponad uprzedzenia narodowe i skierować ich zainteresowanie nie tylko w stronę przeszłości, ale i teraźniejszości Śląska. Był jednym z nielicznych Niemców, którzy swobodnie poruszając się w języku polskim i niemieckim, zachowali dar opowiadania o historii i współczesności swojej rodzinnej ziemi w sposób budzący zaciekanie i uwagę.

Rok przed swoim odejściem pastor Baron napisał: „Utraciłem moją małą wspaniałą ojczyznę, tę, która kiedyś odcisnęła na mnie swoje piętno kulturowe. Nigdy nie próbowałem przywiązywać się sentymentalnie do ojczyznianej idylli. Odzyskałem moją małą ojczyznę dzięki przyjaźniom. Dały mi one pewność, że na Górnym Śląsku Niemcy i Polacy stanowili kiedyś wspólnotę. Dzięki Polakom poznałem dzieje kultury śląskiej i polsko-niemieckich związków, o których nie miałem pojęcia w młodych latach. Dzięki nim zacząłem znów należeć do mojej małej ojczyzny, Górnego Śląska, do mojej rodzinnej wioski, Golasowic, do miasta mojej młodości Pszczyny. Zaakceptowano moją ewangelicką wiarę (We wspomnieniach Baron przytacza fragment rozmowy z przesłuchującym go, w związku z zamiarem powrotu do Polski, oficerem brytyjskim: „Nigdy pan jako ewangelik nie powróci do tego kraju, każdy bowiem ewangelik jest dla Polaków Niemcem i wrogiem”). Wróciłem do mojej ojczyzny, mojej Heimat, bogatszy niż kiedyś”.

Słowa te charakteryzują stosunek księdza Barona do polskości; był zawsze człowiekiem niezwykle skromnym, z wielkim sercem, mądrym i otwartym na innych. Był jednym, co jest dzisiaj godne podkreślenia, z pierwszych inicjatorów polsko-niemieckiego dialogu w okresie, kiedy żelazna kurtyna dzieliła oba kraje i kiedy wydawało się, że na zawsze zostały zburzone wszystkie mosty porozumienia. Był przyjacielem młodzieży, wiedząc, że będzie w przyszłości pośredniczyła w nawiązywaniu kulturalnych i gospodarczych kontaktów między oboma narodami. Organizowana przez niego pomoc dla ludzi i górnośląskich instytucji w latach 80., a także zaangażowanie w partnerstwo miast nigdy nie zostały właściwie docenione przez polskie lokalne władze. Rudolf Baron nie oczekiwał nagród i wyróżnień, dziwiła go jednak w wielu przypadkach obojętność obdarowywanych.

Wspominając księdza Barona, należy także dodać, że był bardzo utalentowanym kaznodzieją – jego kazania skupiały tłumy wiernych na nabożeństwach – oraz duszpasterzem zaangażowanym w pracę z niemiecką młodzieżą, z którą wędrował szlakami ewangelicyzmu po całej Europie. Był duchownym wrażliwym na poetyckie słowo. Wyobraźnia oraz dobra znajomość języka polskiego pozwalały mu tłumaczyć poezję i prozę na język niemiecki. Jego zasługi dla popularyzowania kultury polskiej w Niemczech i literatury niemieckiej w Polsce zostały uhonorowane przez Górnośląskie Towarzystwo Literackie w Katowicach, które przyznało mu odznakę Przyjaciela GTL. Gdyby żył, opublikowałby z pewnością drukiem pozostawione w rękopisie wspomnienia. Przedstawiają one nie tylko dzieje jego pracowitego i bogatego życia, ale są przekazem pozwalającym zrozumieć kulisy niektórych ważnych wydarzeń na Górnym Śląsku. Wzbogacają wiedzę o skomplikowanych niemiecko-polskich stosunkach społecznych i wyznaniowych w latach 30. i po 1945 roku o osobiste przemyślenia ewangelickiego księdza – świadka minionych czasów i mieszkańca pogranicza, gdzie spotykały się trzy języki i trzy wyznania i gdzie pielęgnowano różne kulturowe obyczaje i tradycje. ■

Grażyna Barbara Szewczyk

– profesor, germanistka i skandynawistka, pracuje na Uniwersytecie Śląskim

Rudolf Baron

Wspomnienia

Katowice, 8.03.2002. Jest piątek. Moim starym golfem (rocznik 1981) jadę do Golasowic, aby pomodlić się przy grobie ukochanego wuja Adama. Kiedy mijam po drodze Żory, budzi się we mnie nagła chęć zobaczenia szkoły, w której kiedyś byłem uczniem.

80



ARCHIWUM PRYWATNE GRAŻYNY B. SZEWCZYK

Przed ponad 60 laty dojeżdżałem do niej codziennie, pokonując 16-kilometrową trasę przeważnie rowerem, rzadziej pociągiem ze stacji Pawłowice, dlatego budynek szkolny, położony trochę na uboczu, pozostał w mojej pamięci. Pograżony we wspomnieniach, niczym w lunatycznym śnie dotarłem w ciągu kilku minut do szkolnego budynku, na którym widniał napis: Liceum Ogólnokształcące im. Karola Miarki w Żorach (w okresie, kiedy uczęszczałem do tej szkoły, było to Gimnazjum Koedukacyjne im. Karola Miarki). Budynek wyglądał jak dawniej, mimo iż w pierwszym roku wojny – o czym dowiedziałem się później – został w dużej części zniszczony. Z aparatem fotograficznym w ręku zbliżyłem się do głównego wejścia, zastanawiając się, z której strony zrobić zdjęcie. Wtedy w bramie pojawił się jakiś mężczyzna, pytając: „Czy jest pan zainteresowany zwiedzeniem liceum? Tak, odparłem, dodając, że byłem kiedyś jego uczniem. „Kiedy? – jeżeli mogę zapytać”. Od 1938 do 1939 roku, odpowiedziałem. Mężczyzna dziwnie na mnie spojrzał. „Proszę wejść do środka”. Poprowadził mnie w głąb korytarza. Idąc za nim i wspinając się kilkoma stopniami w górę, czułem się, jak gdybym zatrzymał czas; byłem znów 17-letnim chłopcem. Zobaczyłem przed sobą wiele drzwi prowadzących do klas szkolnych i od razu poznałem, które z nich prowadziły do mojej. Mężczyzna na chwilę znikł. Z pokoju nauczycielskiego dochodziły jakieś głosy. Kiedy znów się pojawił, przedstawił się nazwiskiem Adam Herman, dodając, że jest nauczycielem matematyki. Zapytał też o mój adres. Z krótkiej rozmowy wynikało, że szkoła będzie niebawem obchodziła jubileusz 75-lecia swojej działalności i że chciałby mnie na to święto zaprosić. Zaproponował też dokładne zwiedzenie szkoły. Mogłem więc z okna klasy spojrzeć na podwórkę szkolną, wszedłem potem do sali gimnastycznej i do pracowni fizyki, która była kiedyś dla mnie wyjątkowym pomieszczeniem, ponieważ w niej pokochałem ten przedmiot. Potem wszedłem do mojej klasy; stoliki były ustawione w ten sam sposób, w jaki stały w 1938 roku, katedra i tablica znajdowały się w tym samym miejscu. Zrobiłem kilka zdjęć i wyszedłem na zewnątrz. Stał tam wciąż jeszcze Adam Herman, powtarzając: „Co za przypadek, jakie dziwne zrządzenie losu”. Zaprosił mnie do pokoju nauczycielskiego, podsuwając kronikę, a właściwie monografię szkoły z lat 1922–1997. Przedstawieni w niej zostali wszyscy dyrektorzy, nauczyciele i maturzyści z różnych lat, a także uczniowie kilku klas. Od razu przypomniałem sobie twarz mojego wspaniałego nauczyciela matematyki. Był wtedy oficerem rezerwy i znakomitym jeźdźcem. Dobrym uczniom udzielał lekcji jazdy konno w pobliskich koszarach. Należałem do nich. Profesor Ryszka zwrócił na mnie po raz pierwszy uwagę podczas egzaminów wstępnych. Kazał mi wtedy na tablicy podobnej do tej, którą zobaczyłem, rozwiązać matematyczne zadanie. I pochwalił mnie przed całą komisją. W ten sposób jako jedyny Niemiec w klasie zdobyłem sobie poważanie wśród szkolnych koleżanek i kolegów. Niektóre dziewczyny uważały mnie – być może z powodu bujnych, ciemnych włosów – za Żyda. Ale jedna z nauczycielek, której zdjęcie również dostrzegłem w szkolnej księdze, nie ukrywała wobec mnie niechęci. Była nauczycielką biologii. Kiedy szybko chciałem odpowiedzieć na jej pytanie i nie znajdując polskiego słowa użyłem języka niemieckiego, wpadła we wściekłość. Nie mogła jednak podważyć ogólnej oceny z egzaminu.

Wśród zaprezentowanych w monografii uczniów z roku 1938/1939 znalazłem także moje nazwisko: Rudolf Baron. Ponieważ jednak po

81

ukończeniu pierwszego roku w polskim liceum chciałem uczęszczać do klasy matematycznej, a takiej tutaj nie było, złożyłem w czerwcu 1939 roku w szkole w Rybniku papiery z prośbą o możliwość kontynuowania nauki. Miałem ją rozpocząć 1 września. W tym dniu nad Rybnikiem rozległy się pierwsze strzały. Od kwietnia 1940 roku do matury uczęszczałem do niemieckiego gimnazjum w Pszczynie.

Jechałem dalej, w kierunku Golasowic. Także tutaj zatrzymałem się przed moją starą szkołą podstawową, której dyrektorkę poznałem przed laty. Chciałem zobaczyć moją klasę, tę, w której siedziałem w 1933/1934 roku. Uczył mnie wtedy nauczyciel Bernhard Mauthe. To była prywatna niemiecka szkoła powszechna, finansowana przez Deutscher Schulverein (Niemiecki Związek Szkolny) w Golasowicach i powstała dzięki inicjatywie pastora Harlfingera w 1930 roku. Ówczesna państwowa szkoła mniejszościowa położona na wzgórzu, w Piórowicach (część Golasowic), nie cieszyła się dobrą opinią i została zlikwidowana. Do nowej szkoły uczęszczały dzieci z odległych wiosek, np. z Pniówka, które przewożono bryczkami. Ojciec mój chętnie pomagał w organizowaniu codziennych przewozów. Szkoła stała się wkrótce przedmiotem ataków wojewody Grażyńskiego, który nienawidził Niemców [...].

Po wygaśnięciu konwencji genewskiej wojewoda Grażyński stosował wobec uczniów z rodzin niemieckich drastyczne metody. Dzieci musiały zdawać egzamin do szkoły niemieckiej przed polską komisją. W tym czasie zaczął uczęszczać do szkoły mój najmłodszy brat Emil, i pamiętam, że zachowanie członków komisji budziło w całej rodzinie strach i zwątpienie. Także w niemieckim prywatnym gimnazjum w Pszczynie musiało się zastosować do zarządzenia wojewody, które nakazywało uczniom *untersekunda* [chodzi o średni poziom nauczania, ukończenie tej klasy było warunkiem dopuszczenia do małej matury – przyp. G.B. Szewczyk] zdawanie małej matury przed polską komisją. To było coś niesłychanego. Dzieci, dla których język niemiecki był językiem ojczystym, egzaminowane były w języku polskim. Dla niektórych stało się to przeszkodą nie do przezwyciężenia. Zamożniejsi rodzice posyłali swoje dzieci do gimnazjum w Gdańsku. Tam nie miały żadnych trudności ze zdaniem egzaminów. Tamtejsza matura w języku niemieckim była uznawana przez władze w Polsce. Nie mogłem, niestety, skorzystać z tego wybiegu. Dlatego postanowiłem, że w roku 1938/1939 będę kontynuował naukę w polskim liceum w Żorach.

Wracając do lat po ukończeniu szkoły podstawowej w Golasowicach (1933), pamiętam dokładnie czasy spędzone w gimnazjum prywatnym w Pszczynie. Mimo trudności z opłacaniem chętnie pragnąłem za wszelką cenę uczęszczać do tego gimnazjum. Mieszkalem najpierw w gospodarstwie zamożnego chłopca Reisa w Łące, który za pomoc w pracach polowych zapewnił mi nocleg i utrzymanie. Zacząłem też zarabiać własne pieniądze. Po pewnym czasie zwolniono mnie z opłaty szkolnej (20 zł miesięcznie). Codzienne dojazdy rowerem z Łąki do Pszczyny były niezwykle trudne, zwłaszcza w zimie. Rozumiał to dyrektor szkoły, katolicki ksiądz Karl Ranozek – kilka razy spóźniłem się na lekcje – i on właśnie umożliwił mi zamieszkanie w szkolnym internacie mieszczącym się w byłej willi generalnego dyrektora pszczyńskiego księcia. Aby móc zapłacić chesne, zacząłem pomagać kolegom w odrabianiu lekcji.

Krótko po wygaśnięciu konwencji genewskiej pozbawiono dyrektora gimnazjum prawa do pełnienia urzędu. Pewnego dnia wywołano kilkunastu uczniów z lekcji i nakazano im możliwie szybko udać się do internatu. Przybywszy na miejsce zobaczyli, że wyrzucono na zewnątrz wszystkie ich rzeczy. Nie wolno nam było wejść do środka. Uczeń, który sfotografował zrużniczone na jeden stos meble, został wezwany na policję. Związek Szkolny, przypuszczając, że doszło do jakiejś antyniemieckiej akcji, nie protestował, zakupił jednak dom w mieście, do którego dobudowano potem mały budynek, tak że wszyscy uczniowie zmieścili się w nowym obiekcie i dobrze się w nim czuli.

Ta piękna willa, jak i szpital joannitów zostały zburzone w latach 60. Były symbolami miasta i chyba dlatego musiały z niego zniknąć. Na tym terenie wybudowano brzydki, betonowy gmach szpitala. Nic nie pozostało z wcześniejszego piękna. Park przed willą stał się wysypiskiem śmieci. ■

Ks. Rudolf Baron,
pierwszy z lewej
w pierwszym rzędzie,
w białej albie cieszyńskiej.

Rudolf Baron wspomina
czasy przedwojenne.
Uczęszczał do szkół
niemieckich i polskich,
w Golasowicach
Pszczynie i Żorach.



Monika Kassner

Sola Scriptura

W swoich pismach Marcin Luter twierdził, że przed Bogiem jesteśmy tylko grzesznikami. Idąc tym tropem, jeden z teologów ewangelickich postawił tezę, że dobry luteranin zapytany o to, kim jest, powinien odpowiedzieć: „Przede wszystkim jestem nikim”.

84

85

ARKADIUSZ ŁAWRYWIANIEC

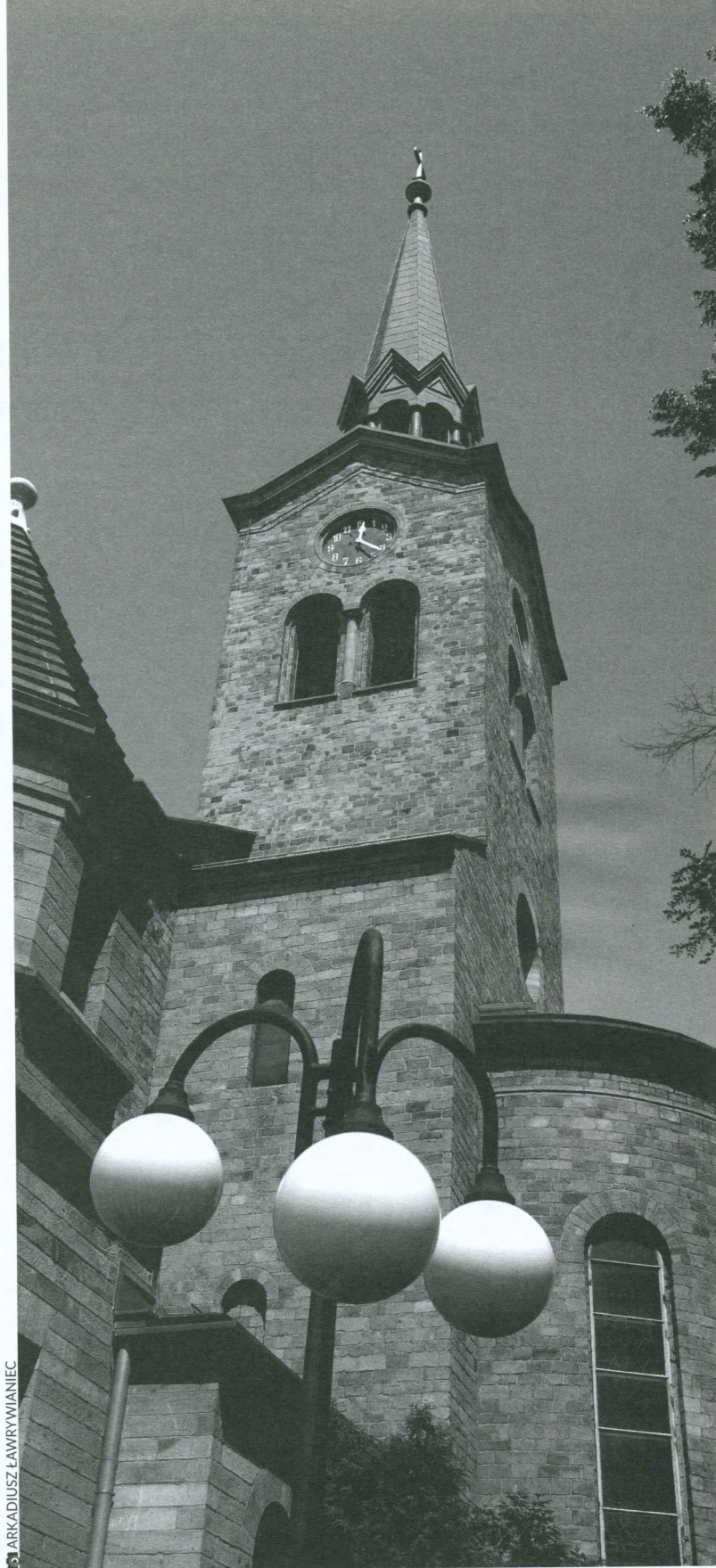
Czy w dzisiejszym świecie konsumpcjonizmu i egocentryzmu bycie nikim może być atrakcyjne? Czy ktokolwiek może świadomie i z własnej nieprzymuszonej woli zdecydować się na przyjęcie takiej postawy wobec Boga i świata?

Na pierwszy rzut oka teza ta brzmi nieprawdopodobnie i wydaje się być nie do przyjęcia w zderzeniu z kreowanym w mediach stylem życia, pogonią za sukcesem, karierą i chęcią posiadania coraz to nowych dóbr materialnych. Okazuje się jednak, że dla wielu ludzi szukających Boga właśnie ewangelickie pojmowanie wiary jest najprostszą i najszczerzą drogą do Niego.

Szczerść i prostota wyznania luterńskiego przyciągnęły do siebie wielu chcących głęboko przeżyć swoją wiarę i kierować modlitwy wprost do Boga, bez pośredników. Okazuje się, że konwersje na wyznanie ewangelickie nie są przypadkami jednostkowymi. Znam parę osób, które podobnie jak ja świadomie dokonały zmiany wyznania. Kilku naukowców prowadziło bądź próbowało prowadzić badania nad motywami, którymi kierowały się osoby przechodzące z Kościoła katolickiego do ewangelicko-augsburskiego. Jeden z wniosków prowadził do przekonania, że wzmożona ilość konwersji następowała w czasie zwrotnych sytuacji jednostkowych lub zewnętrznych. W Polsce chodziło o przemiany ustrojowe początku lat 90., a później śmierć papieża Jana Pawła II.

Oczywiście każdy przypadek jest jednostkowy i osobisty, a zatem inny. Dominujący w naszym kraju katolicyzm nieraz bywa powierzchowny i skupia się tylko na zewnętrznych formach kultu. Wielu katolików nie czyta Biblii i nie zastanawia się nad istotą wyznawanej przez siebie religii, a niedzielna msza święta jest po prostu przyzwyczajeniem.

Decyzja wiąże się z głęboką refleksją na temat wiary. Wielu konwertytów, będąc jeszcze młodymi katolikami, często podważało dogmaty Kościoła katolickiego oraz krytykowało nadmierny kult maryjny i świętych, a także spowiedź uszną. Słyszeli wtedy, jak było to i w moim przypadku, że prezentują myślenie ewangelickie. Będąc nastolatką, nie zastanawiałam się, co oznaczają te słowa. Zwłaszcza że moja przyjaciółka była luteranką i dzięki niej poznałam od wewnątrz ewangelicką wspólnotę mojej obecnej parafii. Wtedy też spotkałam nieżyjącego już biskupa Tadeusza Szurmana, który wówczas był proboszczem parafii w Świętochłowicach. Udało mi się kilkakrotnie uczestniczyć w rekolekcjach ewangelizacyjnych w Dziegiełowie i w turnusach rekolekcyjnych w Wiśle Jaworniku. Pociągała mnie prostota i czytelność naczelnych zasad wyznania luterńskiego: *sola Scrip-*



ARKADIUSZ LAWRYWIANIEC

Co czuje konwertyta po zmianie wyznania? Jedni uważają się za zwolnionych od wielu powinności i przymusów. Inni, poprzez prostotę obrzędów i czytelność zasad wiary ewangelickiej, odczuwają bliskość Boga i czują się silniejsi w wierze.

tura, solus Christus, sola fide i sola gratia (tylko Słowo, tylko Chrystus, tylko wiara, tylko łaska).

Podczas studiów czytałam o Lutrze i sięgnęłam też do jego pism. Wtedy jeszcze nie zdobyłam się na zmianę wyznania. Decyzję podjęłam już jako osoba w pełni ukształtowana i posiadająca rodzinę. Było mi łatwiej, ponieważ miałam oparcie w mężu, któremu również wyznanie ewangelickie nie było obce. Oboje poczuliśmy potrzebę wychowania dziecka blisko Boga i wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że od nas zależy, w jakiej wierze będzie wzrastało. Wybraliśmy Kościół luterański, którego formuła od dawna wydawała się nam najbardziej atrakcyjna.

Zmiana wyznania nie następuje z dnia na dzień. Jest to dłuższy bądź krótszy proces, zwykle trwa około roku. Po pierwszym spotkaniu z pastorem, który daje czas na ostateczne podjęcie decyzji, następuje szereg kolejnych spotkań, podczas których wyklada on zasady wyznania ewangelickiego, wskazuje na różnice między oboma Kościołami. Wtedy jest pora na zadawanie pytań i szczerą rozmowę. Uczestniczy się w nabożeństwach, w życiu parafii, czyta, dzieci chodzą na religię i biorą udział w zajęciach szkoły niedzielnej. Po procesie przygotowań, najczęściej przed niedzielnym nabożeństwem, następuje przyjęcie do wspólnoty przed pastorem w obecności świadka. Od tego momentu jest się jej pełnoprawnym członkiem.

Co czuje konwertyta po zmianie wyznania? Podobnie jak różne są źródła konwersji, tak różne są jej skutki. Jedni uważają się za zwolnionych od wielu powinności i przymusów. Inni, poprzez prostotę obrzędów i czytelność zasad wiary ewangelickiej, odczuwają bliskość Boga i czują się silniejsi w wierze. Kościół luterański poprzez skromną obrzędowość jest bliski Chrystusowi, bowiem zgodnie z Kazaniem na Górze duchowe ubóstwo jest szczególnym błogosławieństwem.

Konwersja jest jedną z najpoważniejszych decyzji życiowych, wiąże się nie tylko ze zmianą przekonań religijnych, ale także z przeobrażeniem swej tożsamości i spojrzenia na świat. Wybór bycia nikim przed Bogiem nie oznacza jednakże bycia nikim przed ludźmi. Przyjęcie wiary luterańskiej nie oznacza rezygnacji ze swoich planów życiowych, kariery zawodowej i pragnień. Należy je jednak skonfrontować z zasadami przyjętego świadomie wyznania i znaleźć kompromis między wiarą a życiem codziennym. Luteranin, choć zdaje sobie sprawę ze swej ludzkiej słabości, pełen pokory wobec Boga i ludzi świadomie pracuje nad sobą oraz angażuje się w sprawy wspólnoty parafialnej, swojej lokalnej społeczności, i nie tylko.

Życie wiele razy każdego z nas stawia przed wyborami. Jedni podejmują ich więcej, inni mniej. Wybieramy szkołę, małżonka, miejsce zamieszkania, pracę, i to nikogo nie dziwi. Mimo że są to arcyważne wybory determinujące nasze życie, uważa się je za naturalne, bo każdy z nas ich dokonuje. Wybór wiary bądź tożsamości, np. przynależności do konkretnego narodu czy grupy etnicznej, jest krokiem radykalnym i rewolucyjnym, wynika z głębokiej refleksji i nie zawsze jest mile widziany. Najważniejsze jest jednak życie w zgodzie z własnym sumieniem i podążanie wytyczoną przez siebie drogą. ■

Monika Kassner

– redaktor naczelna „Jaskółki Śląskiej”, wiceprzewodnicząca Ruchu Autonomii Śląska

Ariane Afsari

Nie tylko Luter, nie tylko Niemcy

Dopiero przyjmując ówczesny punkt widzenia na sprawy wiary, jesteśmy w stanie sobie wyobrazić, jak wielkie uczucie wolności towarzyszyło ludziom w dobie reformacji, która swym zasięgiem objęła także regiony Europy Środkowo-Wschodniej oraz ziemie znajdujące się poza dzisiejszymi granicami Niemiec, w tym Śląsk.

88

Wielonarodowy
i wielowyznaniowy Kluż
(niem. Klausenburg)
w Siedmiogrodzie
(obecnie Rumunia).

89



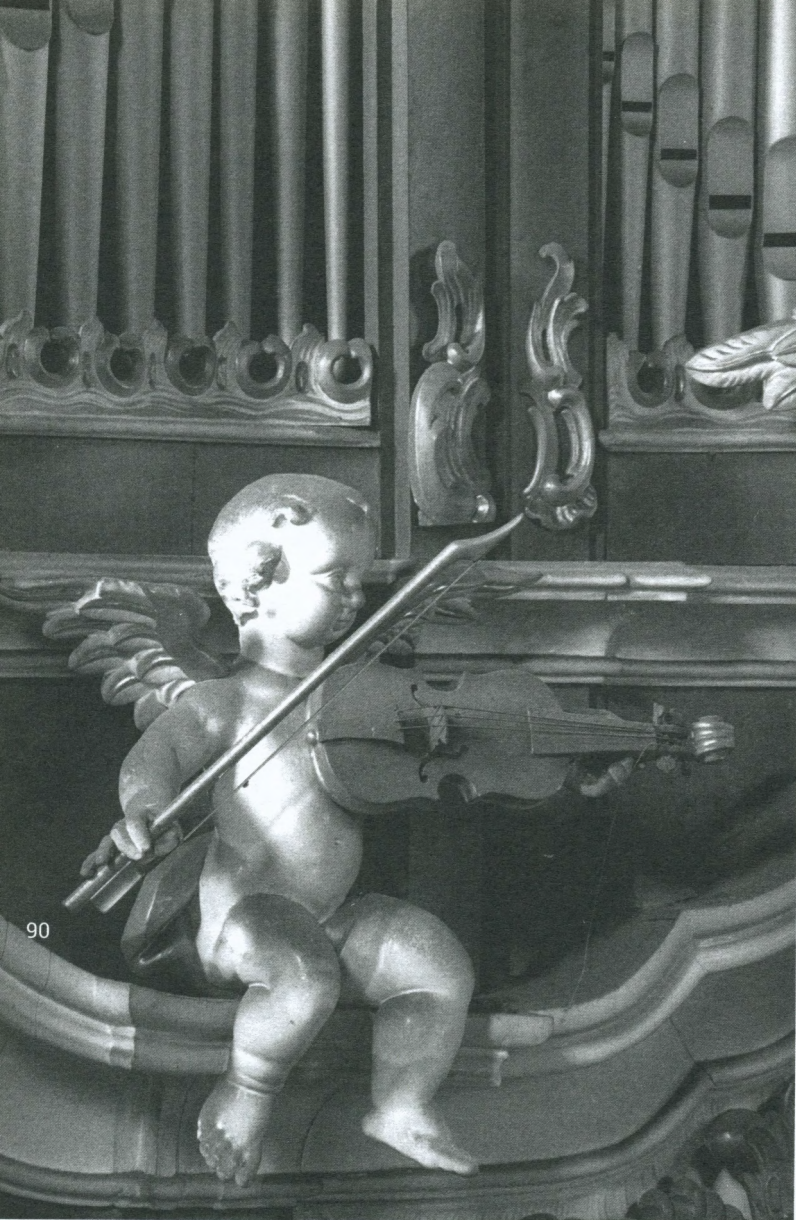


Figura anioła przy organach ewangelickiego kościoła Pokoju w Świdnicy.

Luter, przykładny katolik,
nie pragnął żadnego rozłamu.
Zresztą jego nauki nie
odbiegały zbyt daleko od
tych, które powagą swego
autorytetu głosił sam Kościół.
Wielu teologów uznało, że nie
są one zbyt radykalne.

W 2017 roku większość działań Niemieckiego Forum Kultury Europy Wschodniej w Poczdamie poświęcona jest jubileuszowi 500-lecia reformacji. Z naszej perspektywy ważne jest, by poszerzyć spektrum licznych w tym roku obchodów – notabene mających głównie charakter oficjalny i religijny – o kolejne istotne aspekty tego historycznego wydarzenia. A ono rozgrywało się przecież także na terenach położonych na wschód i południe od dzisiejszych granic Niemiec. Dotąd niewiele się o tym mówiło i pisało.

W naszych projektach w sposób szczególnie chodzi o to, by pokazać różnorodność i fenomen koegzystencji wielu wyznań, z jakimi w tym historycznym okresie mieliśmy do czynienia w wielu regionach Europy Środkowo-Wschodniej. Tym bardziej że dziś trudno sobie wyobrazić, jakie przełomowe znaczenie miała reformacja jako ruch odnowy wiary i Kościoła. Aby zrozumieć, jak wielką siłę oddziaływania miała refleksja nad zasadami wiary, że była w stanie zmienić całe państwa, należy uświadomić sobie rolę wiary w późnym średniowieczu i u progu czasów nowożytnych. Wtedy niemal każdy człowiek zabiegał o zbawienie swojej duszy. Ludzie tamtej epoki przyjęli pogląd, że już sama wiara we własne siły oraz w sens świadomego życia podążającego ścieżkami wyznaczonymi przez Chrystusa jest wystarczająca, by przypodobać się Bogu.

Hus i inni

Takie samo stanowisko reprezentował w Czechach Jan Hus, i to sto lat przed Marcinem Lutrem, choć dopiero ten ostatni zapoczątkował ruch odnowy Kościoła. Luter, przykładny katolik, nie pragnął żadnego rozłamu. Zresztą jego nauki nie odbiegały zbyt daleko od tych, które powagą swego autorytetu głosił sam Kościół. Wielu teologów, natchnionych wystąpieniami Lutra, uznało, że nie są one zbyt radykalne. Ich poglądy staną się popularne poza samymi Czechami i zrodzą ruchy odnowy wiary, które zadowolą się przede wszystkim w Królestwie Polskim i na Węgrzech. To one stworzą podstawy dla różnorodnych światopoglądów religijnych.

Podjęta przez Niemieckie Forum Kultury tematyka reformacji obejmuje okres od XVI do XX wieku i rozciąga się na poszczególne regiony od Morza Bałtyckiego po Karpaty. W trakcie licznych imprez oraz otwartych wykładów uniwersyteckich, organizowanych we współpracy z Domem Historii Brandenbursko-Pruskiej, Uniwersytetem w Poczdamie, Muzeum Filmu w Poczdamie oraz wieloma instytucjami kultury w Brandenburgii, prezentujemy sylwetki refor-



Otwarcie wystawy w Uście nad Łabą (Czechy). Foyer Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu im. Jana Ewangelisty Purkyniego.



Kościół Jezusowy w Cieszynie to największy ewangelicki kościół w Polsce.

matorów oraz historię percepcji ich dzieł, losy nowożytnych gmin protestanckich, znaczenie reformacji dla języka pisanego, a także aktualne projekty międzynarodowe realizowane z okazji rocznicowych obchodów reformacji w Niemczech. Tę różnorodność reformacji doskonale oddaje tytuł, jaki nadaliśmy naszym tegorocznym projektom: „Więcej niż tylko Luter”.

Głównym punktem naszych rocznicowych działań jest wystawa, która w zamysłu ma poszerzyć granice wytyczone przez „znak firmowy Lutra”. Ten „znak firmowy” ugruntowała działalność wielu instytucji, które w „dekadzie Lutra” przygotowywały się do tegorocznych obchodów. Debaty ostatnich lat ograniczały się głównie do jednego nazwiska. Ta zawężona perspektywa odnosi się, niestety, nawet do regionów znajdujących się w obecnych granicach Niemiec. Podczas gdy w minionej dekadzie jakkolwiek próba wyjścia z tematyką reformacji poza obręb danego landu często wydawała się nie lada wyczynem, to wraz z rozpoczęciem oficjalnych obchodów jubileuszowych i związanym z tym rozgłosem aspekty zjawiska reformacji, które miały miejsce poza dzisiejszymi granicami Niemiec, pozostały w cieniu. Jubileusz reformacji we wschodniej części Europy? O co chodzi? Skąd taki pomysł? Cóż nasi wschodni sąsiedzi mają z tym wspólnego?

Otóż bardzo wiele! Rozległe części Europy Środkowo-Wschodniej były przecież – i tak po części jest do dzisiaj – pod wpływem protestantyzmu, przy czym główną, choć nie jedyną, rolę w tym procesie odegrał oczywiście wittenberski teolog i reformator. Marcin Luter patronował powstaniu w 1525 roku pierwszego protestanckiego państwa, jakim były Prusy Książęce, których ziemie należą dziś po części do Rosji i do Polski. Także w wielu miastach Śląska czy Węgier bardzo wcześniej przedrukowywano pisma Lutra, które skłoniły wielu duchownych do głoszenia kazań zgodnie z „protestancką” nauką. To właśnie na wschodnich rubieżach Europy zdomowały się różnorodne światopoglądy religijne, a także różne odłamy w łonie reformacji. Stało się tak, ponieważ właśnie na tych ziemiach tolerowano wyraźnie większą ilość nauk niż tylko te firmowane przez autorytet papieża czy Lutra. W ten sposób powstały tu nader przyjazne warunki egzystencji dla ludzi poszukujących wolności wyznania. Na terenie Czech i Moraw luteranie byli obok utrakwistów i braci czeskich trzecią co do wielkości grupą reformatorską. Z kolei na ziemiach Królestwa Polskiego różnorodność wyznań była jeszcze bogatsza – do luteranizmu dołączyły wkrótce kalwinizm, unitarianizm (bracia polscy), którego wyznawcy negowali dogmat Trójcy Świętej, anabaptyzm i inne odmiany ruchów protestanckich. Na Węgrzech, które pod naporem Osmanów rozpadły się na trzy części, ta paleta wyznań była jeszcze barwniejsza i dłużej się zachowała.

Międzynarodowe wystawy objazdowe

Jesienią 2016 roku pod egidą Niemieckiego Forum Kultury Europy Wschodniej zorganizowano wystawę, której celem jest przekazanie wiedzy o dziedzictwie protestanckim. Na bazie tego projektu powstało siedem wystaw objazdowych uzupełnionych o sześć modułów regionalnych opracowanych w wersjach dwu- bądź trójjęzycznych, w tym w języku polskim i angielskim; sporządzono kilkanaście kopii tych wystaw. W zależności od miejsca prezentacji poszczególne tablice informacyjne uzupełniane są witrynami z eksponatami oraz innymi materiałami wystawienniczymi. Np. śląski moduł został opracowany przez Muzeum Śląskie w Görlitz, a moduł siedmiogrodzki powstał we współpracy z instytucjami kulturalnymi Kościoła

Ewangelicko-Augsburskiego w Rumunii. Wystawa trafiła już do Polski, Czech, Słowacji i Rumunii. Dalsze prezentacje są w planach. Projekt wsparła federalna minister ds. kultury i mediów.

Inna koncepcja polega na opracowaniu kulturalnego przewodnika śladami dwudziestu ważnych miejsc na mapie reformacji w Europie Wschodniej. Publikacja zostanie wydana w sześciu językach i będzie dystrybuowana z pomocą instytucji partnerskich. Z kolei w kwietniu 2017 roku odbyła się we Wrocławiu konferencja z udziałem instytucji z Polski, Czech, Słowacji, Węgier i Rumunii.

W jubileuszowym roku 500-lecia reformacji nie zabraknie głosu Europy Środkowo-Wschodniej. Dzięki wspólnemu zaangażowaniu ta część Europy może przywołać pamięć o tym, w jaki sposób przez setki lat funkcjonowała tu wolność wyznania i jak tę zasadę udaje się zachować obecnie. To doświadczenie – wykraczające poza aspekty stricte religijne – jest nad wyraz aktualne, szczególnie dziś, gdy poszukujemy sposobów na współistnienie wielowątkowej kulturowej tożsamości i tolerancji. Temu zagadnieniu poświęcimy ostatni kwartał 2017 roku.

W trakcie „Jesieni artystycznej” w śląskim Bukowcu podejmiemy temat wpływów reformacji na Śląsku; z kolei w ramach cyklu „Rozmowy poczdamskie”, na podstawie wyprodukowanego w 1956 roku w b. NRD filmu *Thomas Müntzer – film o niemieckiej historii*, zastanowimy się nad rolą reformacji i wojny chłopskiej we wschodnioniemieckiej kinematografii (w Muzeum Filmu w Poczdamie); podczas cyklu wykładów i wieczoru filmowego w kościele św. Mikołaja w Hamburgu porozmawiamy zaś o roli reformacji w Prusach Książęcych i w miastach Prus Królewskich, prowincji przyłączonej do Polski po wojnie trzynastoletniej postanowieniami pokoju toruńskiego (1466).

W dniach 4–8 października odbędzie się wycieczka studyjna do miejsc związanych z reformacją na Śląsku. Do udziału w niej zapraszamy przede wszystkim zainteresowanych studentów z Niemiec, Polski, Czech i Austrii. Ten region, leżący na styku Niemiec, Polski i Czech, należał bowiem do tych ziem, które wcześniej otwały się na wpływy reformacji. Przez ponad 200 lat historię Śląska znaczyły zmagania katolików i ewangelików. W okresie kontrreformacji luteranie zdołali zachować swą wiarę, o czym do dziś świadczą istniejące tu kościoły Łaski. Ich powstanie śląscy luteranie zawdzięczają szwedzkiemu królowi Karolowi XII, który dzięki militarnej przewadze w wyniku wojny północnej wymógł na cesarzu Józefie I Habsburgu szereg ustępstw na rzecz śląskich protestantów.

W programie wycieczki studyjnej szczególną rolę odgrywać będzie południowo-wschodnia część Śląska, czyli Górny Śląsk oraz pogranicze czesko-morawskie, które w XVIII i XIX wieku leżało w granicach Śląska Austriackiego i było częścią Korony Czeskiej, a tym samym wchodziło w skład monarchii habsburskiej. Dziś te ziemie należą do Republiki Czeskiej. Uczestnicy wycieczki zapoznają się z uroczym krajobrazem i zwiedzą najważniejsze miasta oraz miejsca regionu związane z reformacją. Naszymi przewodnikami i rozmówcami będą historycy, teolodzy i kulturoznawcy, którzy przybliżą nam kulisy społeczno-polityczne oraz znaczenie i skutki ruchu reformacyjnego w tym regionie – w kontekście historycznym i obecnym. ■

Tłumaczenie z jęz. niemieckiego: **Marcin Wiatr**

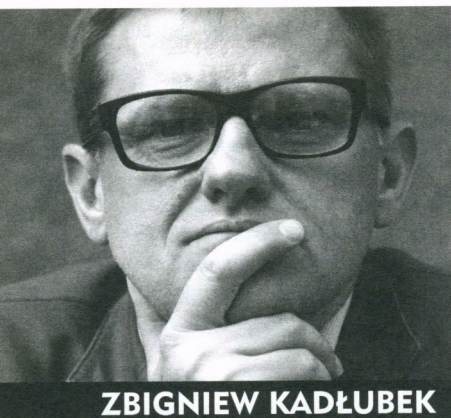
Ariane Afsari

– pracownik naukowy Niemieckiego Forum Kultury Europy Wschodniej w Poczdamie

93

Fulnek (Kraj Morawsko-Śląski w Czechach). Tu działała, wyłoniona z husytyzmu, wspólnota braci czeskich.

WIKIMEDIA COMMONS



ZBIGNIEW KADŁUBEK

Luter, czyli o odwadze

Jedyny prawdziwy deficyt tego świata i Górnego Śląska polega na braku odwagi. Jednym z największych nauczycieli odwagi był Marcin Luter. Gdy się mówi o energii luteranizmu działającej na Górnym Śląsku, wspomina się wkład ewangelików w polskość, w utrzymanie języka polskiego na Górnym Śląsku, zarówno w czasach habsburskich, jak i później.

Pastorzy bowiem, nawet ci niemieckojęzyczni, wedle wskazań Lutra, nauczali lud w ich języku, czyli po polsku, w śląskiej odmianie polszczyzny. I często tłumaczyli z niemieckiego na polski pieśni, kazania, rozważania. Szczególnie Śląsk Cieszyński (historycznie przecież część Górnego Śląska) przechował tę pamięć najsilniej i stworzył swoistą tożsamość śląsko-ewangelicko-polską. Fenomen na niebywałą skalę.

Nie zawsze też było tak słodko w tym naszym śląskim międzykonfesyjnym braterstwie, siostrzanej sympatii międzykościelnej, którą wielokrotnie z dumą podkreślamy. Górnoszląscy katolicy zarażeni niechęcią kontrreformacyjną do ewangelików często nimi pogardzali. Janosch gdzieś opisuje, że dzieci z katolickich rodzin rzuciły kamieniami na ewangelików. Z Żydów nie drwili i jakoś w ich kierunku nie ciskali kamieni. Ale ewangelików nauczyli się w kościele nie lubić. Dziwnie te Kościoły uczyły i uczą miłości bliźniego.

Jednak dla mnie najistotniejszą sprawą efektu działania Lutra na całym Śląsku było rozgorzenie autonomiczności Lutrowej. Akt odwagi Lutra to nie tylko wystąpienie autonomiczności chrześcijańskiej. To także lekcja, jak być autonomicznym jako człowiek, jak funkcjonować jako autonomiczne społeczeństwo. Zapomnienie o Lutrowej odwadze, zrekatolicyzowanie Górnego Śląska swoistą i daleką od Ewangelii odmianą katolicyzmu polsko-narodowo-romantycznego nie przyniosło dobrych skutków. Ani to bowiem nie pogłębiło wiary, ani do Boga ludzi nie zbliżyło. A już na pewno nie przyczyniło się do podniesienia obywatelskiej świadomości Górnoszlązaków.

Ale żebyśmy nie byli gołosłowni. Jest taka roślina, która często jako chwast zarasta grządki w ogródkach (jej kłocza odznaczają się niezwykle wprost witalnością). Nazywana jest w śląszczyźnie *wanieliczką*. Czyli *ewangeliczką*. Czyli zielskiem niepożądanym, które beczelnie się krzewi

i charakteryzuje się nadzwyczajną uporczywością. Owa *wanieliczka* to nic innego jak podagrycznik zwyczajny (*Aegopodium podagraria*). Patrząc zatem antropologicznie (czy też botanicznie) na język śląski, można wywnioskować, że ewangelicy byli jak chwast, który zarastał śliczne katolickie górnosłańskie poletka. Podagrycznik-wanieliczka jest zatem rośliną leczniczą, co głosi już jej nazwa, bo stosuje się ją (czy raczej dawniej stosowało) jako lekarstwo na podagrę (silne działanie moczopędne oraz przeciwzapalne). Ale tak samo nie chciało się widzieć na Górnym Śląsku *wanieliczki*, jak i ewangelików. To jest jeszcze jeden dowód, jakimi mitami karmimy się na Górnym Śląsku: że niby byliśmy/jesteśmy tolerancyjni, wielowyznaniowi, otwarci i wielokulturowi.

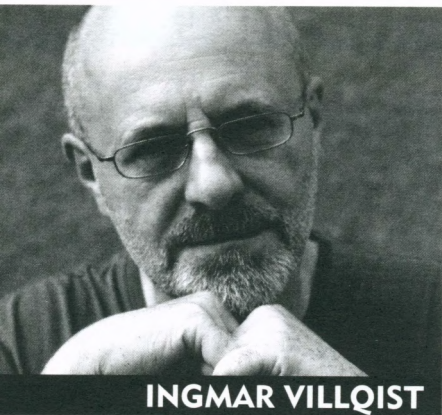
Ale też był pewien podziw dla ewangelickiej wytrzymałości i trwania przy nauce Lutra. Dobrze zrobioną konstrukcję czy też tylko po prostu solidnie przybitą deskę kwitowało się frazą *trzymie jak lutersko wiara* (dzisiaj rzadziej słyszane). To powiedzenie *trzymie jak lutersko wiara* było nieuświadomioną afirmacją ewangelicyzmu. Może było ukrytym i zazdrośnym podziwem dla luteranów. Albo tak: mieszały się w tej frazie i uznanie dla siły luterkańskiej, jak i przechwycenie przez lud wzgardliwego hasła kontrreformacyjnych działaczy, którym ewangelików nie udawało się ani pokonać, ani przekonać.

Myszę, że katolicy Górnosłańczacy zawsze zazdrościli górnosłańskim ewangelikom (być może nadal zazdroszą) odwagi, bezkompromisowości, śmiałości i przebojowości. Często też wykształcenia. Pewnej autonomicznej tężyzny, na którą katolików nie było stać.

Luter dodał człowiekowi śmiałości – choćby tylko w tej jednej formule: *simul iustus et peccator*. Wyraża ona dość prostą prawdę, że człowiek jest zarazem usprawiedliwiony przez doniosły moment śmierci na Krzyżu Jezusa (*iustus*), jak i ciągle jednocześnie pozostaje grzesznikiem (*peccator*), bo grzeszenie przynależy ludzkiej kondycji. Luteranin przeto działał i pracował spokojniej i pokorniej od katolika. Wiedział, że został zbawiony, ale ludzką jest sprawą uwikłanie w grzechy, którymi nie warto się aż tak przejmować, skoro wierzy. Katolik marzący o anielskim stanie łaski, a jednocześnie popełniający grzechy był rozrywany od środka i nie potrafił się zdecydować. Zasada *simul iustus et peccator* pomagała ewangelikom patrzeć na świat bardziej trzeźwo i kreować społeczne relacje solidniej. Pracując, a praca dla luteranów była jednocześnie zawodem i powołaniem, rzetelniej luteranin żył. I bez katolickiej hipokryzji.

Zachodność Górnego Śląska, górnosłańską industrializację zawdzięczają dzisiejsi Górnosłańczacy luteranom. Nie trzeba przywoływać szerokich passusów Maxa Webera, żeby uświadomić sobie, że rozwój gospodarczy Górnego Śląska ma swoje korzenie w luterkańskości. W innym przyjmowaniu wyzwań materialnego i materialistycznego świata. W odwadze luterkańskiej brania swoich losów we własne ręce. Podkreślana często i mityzowana do przesady pracowitość Górnosłańzaków ma swe początki w luteranizmie.

Ile Górny Śląsk zawdzięcza Lutrowi? Może nie dałoby się dzisiaj odróżnić Mazowsza od Górnego Śląska, gdyby nie Luter. To nie tylko węgiel, żłozła, huty przesunęły Górny Śląsk dalej na zachód, ale przede wszystkim odważna aktywność górnosłańskich luteranów. Jakiego dzisiaj chciałbym efektu Lutra dla Górnego Śląska? Odwagi, mocnej wiary, że da się zrobić coś nowego górnosłańskiego nawet w najtrudniejszych opresjach; że da się żyć z grzechami dalej, bo wiadomo, że ich już nie ma, ponieważ zostaliśmy raz na zawsze usprawiedliwieni. ■



INGMAR VILLQIST

NA TEMAT

Don Kichot

Kocham Śląsk i go nienawidzę. To herezja, wiem; nie wolno mi tak mówić, nie wolno tak myśleć; nie wolno o tym pisać. Autocenzura. Ale przecież jest tyle rzeczy, które mi się nie podobają, denerwują, zniechęcają, męczą, są takie, które brzydzą i odstręczają.

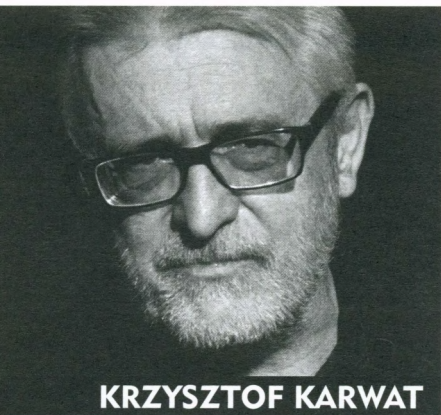
Co mam z tym zrobić? Z kim o tym porozmawiać? Mogę najwyżej co jakiś czas sączyć do cierpliwego ucha Zbyszka Kadłubka swoje żale i wątpliwości, ale Zbyszek ma przecież dosyć zmartwień ze swoim Śląskiem. Każdy z nas niesie tylko swój Śląsk na karku. Zbyszek Kadłubek zatracą się w miłości do Śląska, walczy, broni, nadstawia pierś, rzuca się na hordy wrogów, przeklina Śląsk, kocha i nienawidzi na przemian. Zbyszek to śląski Don Kichot; w pięknej, choć mocno zardzewiałej, płytowej zbroi wykutej z blach w Hucie Batory, pokrytej płaskorzeźbami opowiadającymi o długiej śląskiej historii, z wielkim, dwuręcznym (też zardzewiałym) mieczem u pasa (groźnym w ataku, bo Zbyszek celne i bolesne ciosy zadaje) i z długą lancą w dłoni wspartą o strzemiono; jak się rozpędzi w galopie na wroga, albo na samego siebie, zrówna lancę z końskim łbem, wtedy jest groźny, skuteczny, ale i obosieczny.

Don Kichot to mistrz ataku, najszlachetniejszy z rycerzy, walczy zawsze z otwartą przyłbicą, patrząc przeciwnikowi prosto w oczy, bije się *fair*, podaje dłoń przeciwnikowi; rad debaty, ciekaw argumentów – jak to rycerz. Jeśli nie walczy i ma wolną chwilę, opowiada mieszkańcom Śląska o ich krainie; jaka była, jaka jest, jaką mogłaby być; pięknie opowiada, pięknie pisze, bo to mąż uczony wielce, i oni go słuchają, choć nie zawsze wszystko rozumieją, bo styl opowieści ma wykwinny i daleki od dudniącego, bulgoczącego języka, jakim na co dzień posługują się mieszkańcy krainy, o której sprawę walczy. W każdym razie mieszkańcy Śląska wiedzą, że jakby znów jaki smok albo inne dziwo do ich przysiółków się zakradło, to Don Kichot na konia siądzie i smoka pogoni; na jakiś czas. Sami nie walczą z dwugłowymi smokami, zbierają się w gromadach, głowy pospuszczają, zerkają spode łbów i cicho dudnią po swojemu,

pilnują tylko, czy ich Don Kichot już ruszył na stwora. Roją o swojej wolnej krainie, dużo nie gadają, *wicami* strach, żalność, tęsknotę pokrywają; Panu Bogu świeczkę, a smokowi jałówkę. Zdarza się, że Don Kichot, umęczony przeganianiem smoków strzykających jadem, złazi z konia i wlokąc go za sobą za uzdę, człapie do jakiego przysiółka i pyta mieszkańców, czyby go aby nie wspomogli w tym przeganianiu. Wtedy oni w jeszcze ciaśniejsze grupki się zbijają, popatrują spode łba na Don Kichota (tak jak tylko oni potrafią) i jeszcze zajadlej bulgocą. A jak się Don Kichot zdenerwuje i pyta, czemu mu nie pomogą, to psy na niego spuszczaają, kamienie ciskają i drewnianymi widłami wygrażają.

No to wsiada Don Kichot na rumaka i tak od miasta do miasta, od osady do osady; walczy, tłumaczy, opowiada, spisuje swe dzieje; tu go wysłuchają w jakim dworze, tam pogonią, dadzą miskę zupy, z rzadka wdadzą się w dysputę, a jak już wysłuchają, przeczytają, to są wtedy na chwilę spokojniejsi, bo Don Kichot znów dał popalić tym *łonym* przebrzydłym i tak ukojeni idą spać; chowają się do swoich krecich nor – takie nasze swojskie pancerniki, przetrwalniki. Ale co ma innego Don Kichot robić, jak nie to, co robi; od tego jest błędnym rycerzem. Taką wybrał rolę i przyodział formę. Nijak się płyt pancerza zdjąć już z niego nie da, bo mu wrosły w członki. Nawet jak się będzie wściekać, zaklinać, że rzuci zbroję, miecz dwuręczny i lancę w kąt, to i tak mu nikt nie uwierzy. No bo kto *łonych* zięjącym ogniem będzie po hałdach ganiać, kto karku nadstawi, do paszczy lwów wlezie o swoje, nie-swoje wyklócać się.

Bieda w tym, że Don Kichot tak sprawny w ataku, bezbronny wydaje się być w obronie; ufny jak dziecko, z sercem wiarą przepętnionym, bo to rycerz prawdziwszy niż z niejednej śląskiej legendy. Martwię się o Don Kichota i nie raz go tym moim martwieniem zanudzałem; tłumaczyłem na wszystkie sposoby, że zamiast gonić *łonych* po postindustrialnych żelaznych ostępach, powinien staczać boje na zagranicznych turniejach; krusząc kopie z równymi mu cudzoziemskimi rycerzami; bo tam jego miejsce; a tu zawsze przyjechać może i chwalić się trofeami, bo to niebywałe wrażenie na tubylcach robi i bulgotać będą wtedy: „*Ja, ja... mo Kadłubek wiedza... Ja, ja... mo...*”. Ale Don Kichot nie chce mnie słuchać i do żadnych zamorskich krajów nie pojedzie; na razie się wściekł, pogonił konia, rzucił oręż i zabiera się do pisania swoich 95 tez. Przybije je pewnie na drzwiach jakiej dawnej sztygarki, tlenowni albo czegoś podobnego. OK. A jak się Don Kichot uprze i swojej nowej śląskiej religii się poświęci bez reszty, zakaże wiary w szyby kopalniane, kominy dumne, wieże wodne, żelastwo poskręcane, wszędzie z ziemi wylazące, w świętą industrię; huty ogromne, kopalnie, mity, kłamstwa, wojny, powstania, w *łonych*, *utopców* i wszelką inną gadzinę. Zakaże tego, przeklnie, kłatwą obrzuci i nowe głosić będzie. W co wtedy wierzyć? Czemu i komu cześć oddawać, jak wszystko zabierze. Na kogo wtedy użalać się: „*Co łoni to robiom?*” ... Może wymyśli jakichś nowych *łonych*, a może teraz będzie bez *łonych*. To kto my wtedy? Skąd my? Ku czemu my? *Po jakiemu my?* A może mu przejdzie? Odetchnie, ochłonie, na spacer na wiernym rumaku hałdami się przejdzie, przywiąże konia do jakiego żelastwa, siądzie sobie, żuru popije, zakąsi krupniokiem, poczyta *Cholonka*, uśmieje się, wzruszy. A jak z zarośli jacyś *łoni* wyleżą, to i tak ich przegoni. ■



KRZYSZTOF KARWAT

DALEKO STĄD

Miraż ekumenizmu

Scenka sprzed wielu lat. Redakcyjny kolega prosi mnie na stronę i teatralnym szeptem pyta: – Krzysztof, przepraszam cię, czy ty jesteś ewangelikiem? Jeśli nie chcesz, nie musisz odpowiadać.

Obawiał się, że jego ciekawość mogę uznać za niestosowną? A jednak nie wytrzymał, choć zaniepokoił się, że wyjdzie na gburę, który wlaź buciarą w czyjś życiorys. A swoją drogą, to dziwne, że w kraju uchodzącym za wyjątkowo rozmodlony tego typu pytania (i odpowiedzi!) wzbudzają lęki. Z czego się biorą?

– Niech pan przyzna, w dzieciństwie wmawiano panu, że w progu każdego naszego kościoła jest pochowana Matka Boska? I jak się wchodzi, to trzeba ją podeptać... – cieniutko ironizował ks. Tadeusz Szurman, przyszły biskup katowicki. – Nie, raczej nie... – odrzekłem niepewnie. – Choć rzeczywiście nigdy nie odważyłbym się otworzyć drzwi ewangelickiego kościoła. Pewnie żaden z moich rówieśników by tego nie zrobił. – No właśnie – kwaśno uśmiechnął się ks. Szurman.

Bo życie w diasporze jest trudne. Żadna tajemnica, niby zawsze to wiedziałem. A jednak dopiero, gdy bliżej zainteresowałem się grupami mniejszościowymi i innowierczymi (ach, tego słowa też biskup Szurman nie lubił!), zrozumiałem, że w ich obrębie działają dwa żywioły: jeden niejako do wewnątrz generuje niepokoje i kompleksy, bo jest się innym, więc słabym w obliczu siły większości, a drugi – nakierowany jest na zewnątrz, tropi rzeczywiste (ale też wyimaginowane) przejawy nietolerancji czy szyszan. Kto urodził się w diasporze, a jego wiara jest dostatecznie twarda – jak ta „spod Cieszyńska”, zwykło się mawiać – musi na takiej huśtawce emocjonalnej umieć się poruszać i starać się zachować jakiś balans. Czy dlatego ewangelicy w Polsce wolą się nie wychylać i niepytani raczej nie będą manifestowali swego wyznania?

To nie jest zarzut. Ten mechanizm działa w obie strony. Stąd ów szept mojego ciekawskiego kumpla, notabene uchodzącego za człowieka taktownego, który jednak nie mógł zrozumieć, dlaczego tak wiele publikacji prasowych poświęcam ewangelikom i innym mniejszościom wyznaniowym czy religijnym.

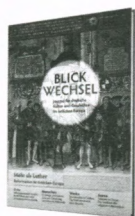
Jako się rzekło, bywa też odwrotnie – parę razy zdarzyło mi się być powiernikiem: „Wiesz, bo ja nie jestem katolikiem”. I sekundę później zwierzenie: „Jestem żydówką”. Albo: „Jestem ewangelikiem”. Niekiedy brzmiało to jak wyznanie grzechu, przyznanie się do winy, połączone z prośbą o wybaczenie i zrozumienie. A przecież – i to chcę mocno podkreślić – nie tylko luteranów, bo i należących do innych Kościołów protestanckich, cechuje właśnie owa „twardość”, a zatem także pewność przekonań, lojalność wobec „swoich” – przodków i współbraci. Nigdy nie spotkałem się z opinią, że wiara polskich ewangelików jest „powierzchowna” lub że charakteryzuje ich „religijność ludowa”, co bywa – w przypadku polskich katolików – rodzajem eufemizmu, mającego przykryć albo złagodzić moralną przyganę.

Nie umiem odpowiedzieć, dlaczego tak wiele razy zaglądałem do tych niewielkich przecież społeczności. Prawdopodobnie intrygowiała mnie właśnie owa inność, odmienność, by nie powiedzieć – „egzotyczność”. Zakładałem z nieznanych mi powodów, że ona może być źródłem ciekawszego, a może nawet „lepszego życia”, które chce i potrafi przeciwstawić się modelowi, siłą rzeczy narzucanemu przez większość. Czy dlatego w latach 90. odwiedziłem wszystkie – dokładnie wszystkie – Kościoły i związki wyznaniowe działające na Górnym Śląsku (i w województwie śląskim)? Może... Zajęło mi to kilka miesięcy. Wyjazdy wzmacniałem lekturą literatury religijnej, na ogół podsuwanej mi przez przełożonych danego zboru czy zgromadzenia religijnego.

Najważniejsze refleksje? Odniosłem wrażenie, że wszystkie te społeczności żyją z głęboko odcisniętym w sercu znamieniem klaustrofobii. Zrazu więc przepuszczałem między palcami rozmaitego typu żale i skargi, tym bardziej że mieszały się one z deklarowaną tolerancją, także dostrzeganą wśród katolickiej większości. Jak pogodzić jedno z drugim?! Nie umiałem odróżnić uczuć i doznań prawdziwych od tych spodziewanych czy pożądaných. Zresztą do dziś mam z tym kłopot, bo zwalczam w sobie politycznie poprawny dogmat, że każda mniejszość zawsze „jest bita”, więc „ma rację”, a każda większość musi dążyć do zglaszachtowania światopoglądowych „nierówności”.

Tym łatwiej przychodzi mi tak myśleć, bo śmiałem się do rozpuku, gdy znajoma opowiadała mi, jak to kilkadziesiąt lat temu, w latach jej dzieciństwa, jej ewangelicka babcia z pogardą oceniała świętujących imieniny sąsiadów, z poczuciem wyższości pryhajac: „Patrzaj dziolcha, te gupie Poloki to nawet niy wiedzom, kej się urodzili!”. Nie wiem, czy ta mądrość została wygłoszona w dialekcie śląskim, czy może jednak po niemiecku. Nie wiem też, czy nie była jedną z tych złotych myśli owej niemieckiej babci, które wnuczkę odstręczyły nie tylko od ewangelicyzmu, ale i wszelkiej religii. Nie wiem również, czy ta dezaprobata wobec „obyczajów polskich” była skierowana przeciwko śląskim katolikom, czy może jednak „imigrantom” z innych regionów Polski, którzy masowo po roku 1945 osiedli na Górnym Śląsku. Podejrzewam, że raczej ta druga ewentualność wchodzi tutaj w grę, bo przecież Górnoszlązacy katolicy ignorują imieniny i obchodzą – jak Bóg przykazał i jak protestanci ich nauczyli – urodziny, czyli Geburtstag, więc wiedzą i przez całe życie pamiętają, „kiedy się urodzili”.

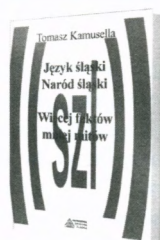
Czy to znaczy, że przynajmniej wśród Górnoszlazaków panuje naturalny ekumenizm? Wiem, co by odpowiedział biskup Szurman, gdyby jeszcze wśród nas był. Wiem, ale nie powiem. ■



Blick Wechsel

Journal für deutsche Kultur und Geschichte
Im östlichen Europa (nr 5/2017)

Deutsches Kulturforum östliches Europa e.V.,
Potsdam 2017, s. 58



Tomasz Kamusella

Język śląski. Naród Śląski

Wiele faktów, mniej mitów

Narodowa Oficyna Śląska, Zabrze 2017,
s. 152

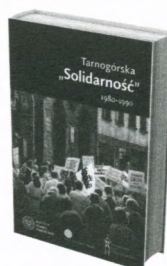


Kazimierz Kutz

Fizymatenta

Felietony

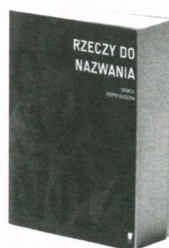
Wydawnictwo Agora,
Warszawa 2017, s. 368



Pod redakcją Krzysztofa Gwoździa
i Sebastiana Rosenbauma

Tarnogórska „Solidarność”

Instytut Pamięci Narodowej Komisja Ścigania
Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu,
Oddział w Katowicach, Terenowa Sekcja
NSZZ „Solidarność” Powiatu Tarnogórskiego,
Śląskie Centrum Wolności i Solidarności
w Katowicach, Katowice – Tarnowskie Góry
2016, s. 412



Redaktorzy tomu:
Adrian Głęń, Jakub Kornhauser

Rzeczy do nazwania

Wokół Kornhausera

Wojewódzka Biblioteka Publiczna
i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu,
Poznań 2016, s. 723

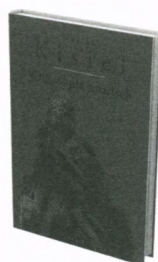


Praca zbiorowa pod redakcją Mikołaja
Iwańskiego

Perfums

Postówie do dezindustrializacji

Wydawnictwo Naukowe Akademii Sztuki
w Szczecinie, CWS Kronika w Bytomiu,
Szczecin – Bytom 2016, s. 173 (plus 43)



Marian Kisiel

Wieniec dla zmarłych

Wybór wierszy w układzie autora

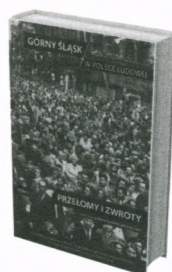
Górnośląskie Towarzystwo Literackie,
„Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe,
Katowice 2017, s. 83



Maciej Sojka

Bogowie osiedla (Heft 1 i 2)

Wydawca:
Wyimek, Tychy 2014/2015,
s. 128/136



Pod redakcją Adama Dziuroka
i Bernarda Linka

Górny Śląsk w Polsce Ludowej

Przełomy i zwroty (tom I)

Instytut Pamięci Narodowej Komisja Ścigania
Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu,
Oddział w Katowicach, Państwowy Instytut
Naukowy – Instytut Śląski w Opolu,
Katowice – Opole 2016, s. 304

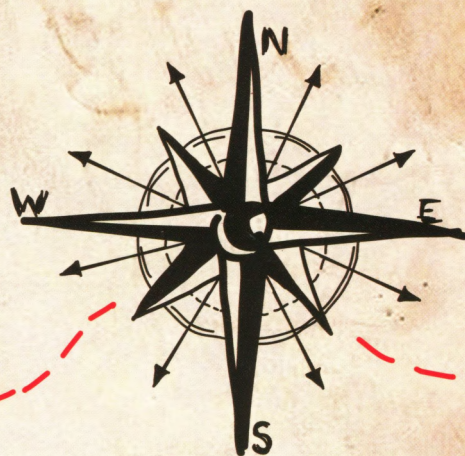


Czasypismo

nr 2 (10)/ 2017

Oddział Instytutu Pamięci Narodowej
– Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko
Narodowi Polskiemu w Katowicach,
Katowice, 2017, s. 208

NA TROPIE TOMKA



**Edukacyjna przygoda dla rodzin
inspirowana powieściami
Alfreda Szklarskiego**

➔ **Gdzie rośnie pieprz?**

➔ **Kto żyje w tipi?**

➔ **Czy sny mogą być prawdziwe?**

Odpowiedź znajdziesz w Muzeum Śląskim w Katowicach! Zabierz rodzinę w niezwykłą podróż po pięciu kontynentach.



➔ **REZERWUJ BILET**

bilety.muzeumslaskie.pl



Muzeum
Śląskie

Muzeum Śląskie w Katowicach
ul. T. Dobrowolskiego 1
40-205 Katowice
tel. 32 779 93 00
www.muzeumslaskie.pl



Śląskie.

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Muzeum Śląskie w Katowicach jest instytucją kultury Samorządu Województwa Śląskiego współprowadzoną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Muzeum Śląskie wyróżnione w międzynarodowym konkursie na najlepsze europejskie muzeum European Museum of the Year Award 2017



Wsparcie udzielone z funduszy norweskich i funduszy EOG, pochodzących z Islandii, Liechtensteinu i Norwegii, oraz środków krajowych.
www.eeagrants.org / www.norwaygrants.org



Szlak
Zabytków
Techniki



Muzeum
Śląskie

WSZYSTKO OSIĄGA SIĘ PRZEZ NADZIEJĘ...

KULTUROWE DZIEDZICTWO
REFORMACJI NA ŚLĄSKU

20.10.2017–30.04.2018

WYSTAWA CZASOWA – MUZEUM ŚLĄSKIE W KATOWICACH
UL. T. DOBROWOLSKIEGO 1



REFORMACJI

Muzeum Śląskie w Katowicach jest instytucją
kultury Samorządu Województwa Śląskiego
współprowadzoną przez Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.